

**Robert Sheckley**

# **Nieśmiertelność na zamówienie**

Już po wszystkim Thomas Blaine przypominał sobie każdy szczegół swojej śmierci. Wolałby, żeby doszło do niej w bardziej interesującej scenerii. Czemu nie zmarł podczas tajfunu, polowania na tygrysy lub wspinaczki po stromych górach? Czemu ta śmierć była tak pospolita, wręcz trywialna?

Niestety, zdawał sobie z tego sprawę, umarł w taki sposób, w jaki żył. Całe jego życie zmierzało ku takiej śmierci. O ile w dzieciństwie przeczuwał tylko mgliste przeznaczenie, to w wieku trzydziestu dwóch lat mógł mieć już pewność.

Mimo wszystko, gdy dojdzie już do śmierci, jest to ekscytujące wydarzenie. Myśl o niej fascynowała Blaine'a. Musiał sobie przypomnieć wszystkie ostatnie minuty oddzielające go od śmierci, czekającej na ciemnej autostradzie wiodącej do New Jersey. Czy miał jakieś przeczucie? Co robił, o czym myślał?

Ostatnie sekundy... Jak to się odbyło?...

\* \* \*

Jechał prosto pustą autostradą. Reflektory samochodu oświetlały jezdnię. Licznik wskazywał prędkość siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Daleko przed sobą zobaczył światła nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu, pierwszego od wielu godzin.

Blaine powracał do Nowego Jorku z tygodniowego wypoczynku w swojej chacie nad Zatoką Chesapeake. Przez siedem dni łowił ryby, wylegiwał się w słońcu na deskach przystani. Pewnego dnia popłynął żaglówką do Oksfordu na wieczorek taneczny w tamtejszym klubie jachtowym. Spotkał tam głuptaska z zadartym nosem, w niebieskiej sukience. Powiedziała mu, że wygląda jak poszukiwacz przygód z Mórza Południowych - smagły i wysoki. Cały następny dzień wylegiwał się na brzegu marząc, jak rzuca wszystko i po załadowaniu żywności na żaglówkę kieruje się w stronę Tahiti. Ale zapłału wystarczyło mu tylko na marzenia.

Od Tahiti oddzielał go nie tylko ocean, ale i cały kontynent, nie wspominając o bardziej prozaicznych przeszkodach. Teraz powracał do Nowego Jorku, gdzie pracował w szacownej firmie "Mattison & Peters" jako młodszy projektant jachtów.

Światła nadjeżdżającego samochodu zbliżyły się. Blaine zmniejszył szybkość do sześćdziesiątki.

Pomimo swojego tytułu, Blaine miał mało roboty. Stary Tom Mattison zostawił sobie projektowanie konwencjonalnych łodzi. Jego brat Rolf, znany jako Czarodziej Mistyki, cieszył się międzynarodową sławą konstruktora jachtów regatowych i żaglowców. Cóż więc pozostało Blaine'emu? Rysował plany instalacji i wystroju, kierował promocją nowych modeli, zajmował się reklamą. Była to odpowiedzialna praca i dawała swego rodzaju satysfakcję, ale miała mało wspólnego z projektowaniem jachtów.

Zdawał sobie sprawę, że powinien odejść, zacząć coś na własną rękę, ale wokół było tak wielu projektantów, a tak niewielu klientów. Jak powiedział pewnego razu Laurze, przypominało to projektowanie katapult lub wieży oblężniczych - interesująca, twórcza praca. Ale kto to kupi?

- Możesz znaleźć rynek dla swoich żaglówek - stwierdziła wprost, w sposób wymagający odpowiedzi. - Dlaczego nie zaryzykujesz?

- Działanie nie jest moją najmocniejszą stroną odpowiedział z chłopięcym, czarującym uśmiechem. - Jestem ekspertem od rozmyślań i uzalania się nad sobą.

- Inaczej mówiąc, jesteś leniem.

- Skądże. Zupełnie jakbyś zarzucała jastrzębiowi, że nie umie szybko biegać lub ubolewała nad koniem, że nie umie latać. Nie da się porównać odmiennych gatunków. Po prostu nie należę do przedsiębiorczego rodzaju w gatunku ludzkim. Dla mnie marzenia, wizje, plany odgrywają dużą rolę, ale jako podnieta do snucia miłych myśli, nie jako bodziec do działania.

- Słabo mi się robi, gdy mówisz w taki sposób westchnęła.

Oczywiście przesadzał. Ale było w tym, co mówił, sporo prawdy. Miał przyjemną pracę, odpowiednie wynagrodzenie, bezpieczne miejsce w świecie. Mieszkał w apartamencie w Greenwich Village, miał hi-fi, samochód, małą chatkę nad Zatoką Chesapeake, żaglówkę. Wzbudzał zainteresowanie Laury i kilku innych dziewcząt. Być może, jak wcześniej powiedziała Laura, ugrzązł w wygodnym ciepłku dotychczasowego życia. Ale co z tego? Przynajmniej miał wygodny punkt obserwacyjny.

Światła samochodu z naprzeciwka znalazły się bardzo blisko. Blaine zauważył nagle, że jedzie z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Zaczął zwalniać. Jego samochód gwałtownie zбочzył z trasy ku zbliżającym się światłom.

Pękła opona? Jakiś defekt w kierownicy? Zakreślił nią. Koła nie reagowały. Samochód uderzył o barierkę rozdzielającą oba pasma autostrady i wznosił się w powietrze.

Kierownica oddzieliła się od reszty maszynerii, silnik wył na najwyższych obrotach.

Ten drugi na próżno usiłował wyminąć przeszkodę. Blaine pomyślał: "Tak, więc jestem jednym z nich. Jednym z tych bękartów, o których się czyta, że stracili panowanie nad samochodem i zabili niewinnych ludzi. Chryste! Nowoczesne samochody, nowoczesne drogi, większa szybkość i wciąż ten sam słaby refleks..."

Nagle z niewyjaśnionych powodów kierownica zaczęła działać. Blaine zignorował ten fakt. Podczas gdy oba pojazdy zbliżały się do siebie, jego nastrój ze smętnego zmienił się w pełen euforii. Przez chwilę zapragnął zniszczenia, zatęsknił za bólem, okrucieństwem i śmiercią.

Obydwa samochody wpadły na siebie. Uczucie tryumfu znikło tak nagle, jak się pojawiło. Blaine poczuł tęsknotę za wszystkim, co zostawił za sobą, zrobiło mu się żal nie obejrzanym filmów, żal, że nigdy już nie popłynie żaglówką, nie przeczyta książki, nie poderwie dziewczyny.

Rzuciło nim do przodu. Kierownica złamała się w jego rękach. Drażek przebił mu pierś i złamał obojczyk, a głowa Blaine'a rozbiła przednią szybę z grubego szkła.

W tej chwili zrozumiał, że umiera.

Chwilę później był po prostu martwy.

2

Ocknął się w białym pokoju, leżąc w łóżku.

- Teraz jest żywy - powiedział ktoś.

Blaine otworzył oczy. Obok niego stało dwóch ubranych na biało mężczyzn. Wyglądali na lekarzy. Jeden z nich, niski, starszy mężczyzna, nosił brodę. Drugi, około pięćdziesiątki, miał brzydką twarz o czerwonej skórze.

- Jak się nazywasz? - zapytał sucho starszy.
  
- Thomas Blaine.
  
- Ile masz lat?
  
- Trzydzieści dwa. Ale...
  
- Stan cywilny?
  
- Kawaler. Dlaczego...
  
- Widzisz? - powiedział starszy mężczyzna zwracając się do kolegi. - Żadnych zaburzeń umysłowych.
  
- Trudno uwierzyć.
  
- Ależ na pewno. Uraz spowodowany śmiercią jest przeceniany, grubo przeceniany, czego dowiodę w następnej książce.
  
- Hm... Ale depresja po ponownym urodzeniu...
  
- Nonsens - przerwał stanowczo starszy mężczyzna. - Blaine, dobrze się czujesz?
  
- Tak. Ale chciałbym wiedzieć...

- Widzisz? - stary doktor powiedział z tryumfem. Ożywiony i przy zdrowych zmysłach. Teraz podpiszesz raport?

- Podejrzewam, że nie mam wyboru. Obydwaj lekarze wyszli.

Blaine popatrzył za nimi, zastanawiając się nad ich słowami. Do jego łóżka podeszła otyła pielęgniarka w typie matczynym.

- Jak się czujesz?

- Świetnie - odpowiedział. - Chciałbym tylko wiedzieć...

- Przykro mi, lecz lekarz zabronił odpowiadać na pytania. Wypij to, doda ci animuszu. O tak, grzeczny chłopiec. Nie zamartwiaj się, wszystko skończy się dobrze.

To oznacza, że coś jest nie w porządku! Co takiego? Co on tu robi, co się stało?

Wrócił brodaty lekarz. Wraz z nim przyszła jakaś młoda kobieta.

- Czy wszystko z nim w porządku, panie doktorze? zapytała.

- Jest zupełnie zdrow na umyśle. Nazwałbym to dobrze skojarzoną parą.

- A więc mogę zacząć wywiad?



- Oczywiście. Choć nie biorę odpowiedzialności za jego zachowanie. Uraz spowodowany śmiercią, choć jego znaczenie jest wyolbrzymione, mimo wszystko może...

- Tak. Wspaniale. - Podeszła do Blaine'a i pochyliła się nad nim. Była bardzo ładna. Miała regularne rysy twarzy, świeżą i promieniącą cerę. Długie, połyskujące brązowe włosy gładko przylegały do głowy, a wokół unosił się delikatny zapach perfum. Byłaby piękna, gdyby nie surowy wyraz jej twarzy. Trudno było wyobrazić ją sobie płaczącą czy śmiejącą się, a jeszcze trudniej - w łóżku. Sprawiała wrażenie osoby fanatycznie oddanej jakiejś idei, ale podejrzewał, że zależało jej tylko na osobistej korzyści.

- Dzień dobry, panie Blaine. Jestem Marie Thorne.

- Dzień dobry - odpowiedział pogodnym głosem.

- Panie Blaine, jak pan myśli, gdzie pan się znajduje?

- Przypuszczam, że w szpitalu, przynajmniej... - przerwał, zauważywszy w jej ręku mały mikrofon.

- Proszę, niech pan mówi dalej.

Dała znać ręką i kilku mężczyzn wtoczyło do pokoju jakiś sprzęt.

- Niech pan nie przerywa sobie. Proszę dokończyć zdanie.

- Do diabła - powiedział ponuro Blaine, przypatrując się przygotowaniom. - Co to jest? Co zamierzacie robić?

- Próbujemy panu pomóc - odpowiedziała Marie Thorne. - Czy nie chce pan z nami współpracować?

Skinął głową. Miał nadzieję, że się uśmiechnie. Nagle poczuł, że stracił pewność siebie. Czyżby coś mu się stało?

- Czy pamiętasz wypadek? - zapytała.

- Jaki wypadek?

- Czy pamiętasz, jak zostałeś zraniony?

Blaine wstrząsnął się na wspomnienie zbliżających się świateł, wyjącego motoru, zderzenia.

- Tak. Złamała się kierownica. Drażek przebił mi pierś. Potem uderzyłem się w głowę.

- Spójrz na swoją pierś - powiedziała miękko. Spojrzał. Był ubrany w białą pizamę, a na jego piersi nie było nawet jednej blizny.

- To niemożliwe! - krzyknął. Jego własny głos dochodził do niego z oddali, wydał mu się nierzeczywisty. Obawiał się zgrupowanych wokół łóżka mężczyzn; wymieniali uwagi o swoich urządzeniach, ale sprawiali na nim wrażenie duchów, istot niematerialnych. Ich słabe, nieciekawe głosy przypominały brzęczenie much uderzających o szybę.

- Ładna reakcja.

- O tak.

- Nie jesteś ranny - powiedziała to Marie Thorne.

Blaine spojrział na swoje nietknięte ciało i przypomniał sobie wypadek.

- Nie mogę w to uwierzyć! - krzyknął. - Jest doskonały.

- Wspaniała mieszanka wiary i niedowierzania.

- Proszę o ciszę - powiedziała Marie Thorne. - Proszę, niech pan mówi dalej, panie Blaine.

- Pamiętam wypadek. Pamiętam zderzenie. Pamiętam śmierć.

- Masz to?

- Do diaska, tak.

- Cudownie autentyczne.

- Wspaniale. Oszaleją z zachwytu!

- Proszę trochę ciszej - powiedziała. - Panie Blaine, pamięta pan umieranie?

- Tak. O tak! Umarłem!

- Spójrz na jego twarz!

- Ta prawie groteskowa ekspresyjność podkreśla realność sceny.

- Mam nadzieję, że Reilly też będzie tego zdania.

- Panie Blaine - podsunęła mu lustro. - Niech pan spojrzysz na swoje ciało. Niech pan spojrzysz na swoją twarz.

Spojrzał. Wstrząsnął nim dreszcz. Dotknął tafli lustra, potem przesunął drżącymi palcami po twarzy.

- To nie jest moja twarz! Gdzie jest moja twarz? Gdzie jest moje ciało?

Miał wrażenie, że śni mu się jakiś koszmar, z którego nie może się obudzić. Cienie mężczyzn okrążyły go, ich głosy brzęczały cicho. Zajmowali się swoimi maszynami i niby nie zwracali uwagi na Blaine'a, a jednak stanowili nieokreślone zagrożenie, śledzili każdy jego ruch. Marie Thorne pochyliła nad nim swoją ładną buzię o nieruchomych rysach, a jej czerwone małe usta wypowiedziały koszmarnie słowa.

- Pańskie ciało jest martwe. Zabite w wypadku samochodowym. Pamięta pan przecież, jak umierało. Ale nam się udało uratować tę część, która coś jest warta. Ocaliliśmy pańską psychikę i daliśmy panu nowe ciało.

Blaine otworzył usta chcąc krzyknąć, ale tylko powiedział cicho:

- To jest nieprawdopodobne.

Znów zabrzęczały głosy.

- Zbyt mało emocji.

- To zrozumiałe. Nikt nie zachowuje się przez cały czas jak szaleniec.

- Spodziewałem się nieco większej dozy dramatu.

- Nie jest potrzebna. Takie wyciszenie podkreśla tylko jego rozterkę.

- Być może tak jest, gdy akcja rozgrywa się na scenie. Ale weź pod uwagę, że jest to dokument. Ten biedaczyna właśnie zrozumiał, że zmarł w wypadku samochodowym i został wskrzeszony w nowym ciele. I co ma do powiedzenia? "To jest nieprawdopodobne". Do diabła, to nie jest właściwa reakcja na szok!

- Dla niego - jest. Dla ciebie - może nie.

- Panowie! - powiedziała Marie Thorne. - Niech pan mówi dalej, panie Blaine.

Blaine, pogrążony w swoim koszmarze, ledwo słyszał te głosy.

- Czy ja rzeczywiście umarłem? - zapytał.

Skinęła głową.

- I rzeczywiście urodziłem się ponownie w innym ciele?

Skinęła powtórnie, wyczekując.

Blaine spojrział na nią, na krzątających się wokoło mężczyzn. Dlaczego go niepokoją? Dlaczego nie zajmują się jakimś innym zmarłym? Zwłoki nie powinny być zmuszane do udzielania wywiadów. Śmierć - to odwieczny przywilej człowieka, układ z życiem dotyczący zarówno niewolnika, jak i uprzywilejowanego. Śmierć - to pociecha dla człowieka i jego prawo nie do podważenia. Ale może oni odebrali to prawo i teraz nie można uniknąć odpowiedzialności po prostu umierając?

Czekali, żeby coś powiedział. A Blaine zastanawiał się, czy ludzie obłąkani są w tej społeczności traktowani ulgowo. Łatwo mógłby to sprawdzić.

Ale nie każdy może być obłąkany. Blaine odzyskał panowanie nad sobą. Spojrział na Marie Thorne.

- Trudno mi opisać to, co czuję - zaczął powoli. Umarłem i teraz zastanawiam się nad tym zdarzeniem. Przypuszczam, że nikt tak naprawdę nie wierzy w swoją śmierć. Gdzieś w środku jesteśmy przekonani o swojej nieśmiertelności. Wydaje się, że śmierć spotyka tylko innych, ale nigdy ciebie. To prawie jak gdyby...

- Przerwij. Zaczyna zbyt filozofować.

- Myślę, że pan ma rację - powiedziała Marie Thorne. - Dziękuję panu, panie Blaine.

Mężczyźni, teraz już należący do świata realnego, zaczęli zwijać sprzęt.

- Zaczekajcie - poprosił Blaine.

- Niech pan się nie niepokoi - zapewniła go. - Jeszcze wrócimy. Teraz chcieliśmy zarejestrować pana emocjonalną reakcję.

- Świetny zapis.

- Godny archiwum.

- Zaczekajcie! - krzyknął. - Nic nie rozumiem. Gdzie ja jestem? Co się stało? Jak...

- Wyjaśnię wszystko jutro - zapewniła Marie Thorne. - Jest mi bardzo przykro, ale teraz muszę się pospieszyć, pokazać cały materiał panu Reilly'emu.

Mężczyźni zniknęli. Marie Thorne uśmiechnęła się uspokajająco i wyszła w pośpiechu.

Blaine poczuł, że chce mu się płakać. Otrząsnął się widząc powracającą pielęgniarkę.

- Wypij to - poleciła. - Będziesz po tym smacznie spał. Wypij do dna, jak przystało na grzecznego chłopca. A teraz zrelaksuj się, masz za sobą ciężki dzień. Śmierć i wskrzeszenie, i ten pozostały rozgardiasz.

Dwie wielkie łzy spłynęły po policzkach Blaine'a.

- Aj, aj - powiedziała. - Szkoda, że nie ma tu kamer. To są najbardziej autentyczne łzy, jakie kiedykolwiek widziałam. Wiele tragicznych i autentycznych zdarzeń widziałam w tym szpitalu, wierz mi. Mogłabym powiedzieć co nieco tym zarozumiałym chłopcom o ludzkiej naturze, choć im się wydaje, że znają każde drgnienie serca.

- Gdzie ja jestem? - zapytał senny.

- Możesz to nazwać pobytem w przyszłości.

- Och!

Zasnął.

3

Obudził się po wielu godzinach, spokojny i odprężony. Rozejrzał się dookoła i wszystko sobie przypomniał. Zginął w wypadku i w jakiś czas później został wskrzeszony. Stał tu doktor, który uważał, że przecenia się znaczenie urazu wywołanego śmiercią, i ludzie, którzy nagrywali jego reakcje i nazywali je materiałem godnym archiwum. I ładna dziewczyna, której twarz wyrażała tak mało emocji.

Ziewnął i przeciągnął się. Martwy. Zmarł w wieku trzydziestu dwu lat. Szkoda, stwierdził, a jednocześnie - jaka korzyść. Materiał w pierwszym gatunku i wielce obiecujący...

Zaniepokoił się swoim nonszalanckim stosunkiem do tego, co się stało. Nie powinien w ten sposób reagować. Próbował wzbudzić w sobie uczucie szoku, które - jak sądził - było bardziej na miejscu.

Jeszcze wczoraj - pomyślał - byłem projektantem jachtów, wracającym z Maryland. Dziś jestem człowiekiem wskrzeszonym w bliżej nieokreślonej przyszłości. Przyszłość! Wskrzeszenie!



Bez skutku, nie działało. Widocznie oswoił się z sytuacją. Niektórzy potrafią przywyknąć nawet do śmierci. Szczególnie do swojej śmierci. Pewnie dałoby się komuś takiemu ucinać głowę trzy razy dziennie i tak by mu to weszło w krew, że płakałby jak dziecko, gdyby zaprzestano tej czynności...

Pomyślał o Laurze. Czy płakała po nim? Czy się rozpiła? A może po prostu poczuła przygnębienie i wzięła środek uspokajający? A co z Jane i Miriam? Czy dowiedziały się o jego śmierci? Prawdopodobnie nie. Jeszcze wiele miesięcy po wypadku zastanawiała się, czemu nie dzwoni.

Dosyć tego. To wszystko tylko przeszłość. Teraz jest w przyszłości.

Cała jednak jego wiedza o przyszłości ograniczała się do białego pokoju, lekarzy i pielęgniarki, a także mężczyzn nagrywających jego reakcje i ładnej dziewczyny. Jak dotąd nie widział większych różnic pomiędzy obydwojema epokami. Ale niewątpliwie jakieś istnieją.

Przypomniawszy sobie artykuły w gazetach i opowiadania. Być może wykorzystywana jest energia jądrowa, uprawia się rośliny na dnie mórz, a na całym świecie panuje pokój; może wprowadzono powszechną kontrolę urodzin, odbywają się podróże międzyplanetarne, uznaje się wolną miłość i całkowitą równość, może też wynaleziono lekarstwa na każdą chorobę, a w społeczeństwie - mimo powszechnego planowania - każdy człowiek jest wolny.

Tak powinno być. Ale istniały jeszcze inne, mniej przyjemne warianty. Być może władzę na Ziemi sprawuje jakaś bezwzględna oligarchia i małuczcy walczą o swoją wolność albo jakieś dziwacznie wyglądające istoty pozaziemskie zmieniły ludzi w niewolników. Może jakieś straszliwe choroby zagrażają ludzkiej rasie lub wojna atomowa zniszczyła całą cywilizację lub... miliony innych możliwości.

A jednak - pomyślał Blaine - ludzkość na przestrzeni wieków dowiodła, że umie unikać skrajności; przepowiadano chaos, utopię, które jednak nie miały większego wpływu na rzeczywistość.

Blaine spodziewał się, że podobnie jest i teraz. Pewne problemy znikły, a na ich miejsce pojawiły się nowe. Spodziewam się, że w pewnym uproszczeniu - powiedział do siebie - ta przyszłość okaże się dokładnie taka sama, jak inne przyszłości w porównaniu do wcześniejszych czasów. Może nie jest to dokładny opis, ale nie jestem przecież futurologiem.

Jego rozważania przerwało wejście Marie Thorne.

\* \* \*

- Dzień dobry, jak pan się czuje? - zapytała.

- Jak nowo narodzony - odpowiedział szczerze.

- Wspaniale. Czy mógłby pan to podpisać? - podała mu długopis i kartkę.

- Jest pani cholernie efektowna. Co podpisuję?

- Niech pan przeczyta. Jest to oświadczenie uwalniające nas od prawnej odpowiedzialności za uratowanie panu życia.

- Rzeczywiście uratowała je pani?

- A jak pan myśli - skąd pan się tu wziął?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Uratowaliśmy pana. Odbyło się to jednak bez pana przyzwolenia, wbrew obowiązującemu prawu. Pracownicy Korporacji Rexa nie mieli okazji skontaktować się z panem wcześniej. Chcielibyśmy więc teraz dopełnić formalności.

- Co to jest, ta Korporacja Rexa?

Wyglądała na zaniepokojoną.

- Nikt jeszcze pana nie zapoznał z naszą rzeczywistością? Jest pan teraz w budynku, w którym mieści się zarząd Rexa. Nasza spółka jest także znana jako Flyier-Thiess w pana czasach.

- Kto to jest Flyier-Thiess?

- Nie zna pan? A Forda?

- Tak, Ford. A więc Korporacja Rexa jest równie znana jak w swoim czasie Ford. Czym się zajmujecie?

- Wytwarzamy System Energetyczny Rexa, wykorzystany w rakietach kosmicznych, urządzeniach reinkarnacyjnych, maszynach przenoszących w życie pozagrobowe i tak dalej. To dzięki Systemowi Energetycznemu Rexa wydostaliśmy pana z samochodu tuż po śmierci i przenieśliśmy do przyszłości.

- Podróże w czasie - powiedział Blaine. - Na jakiej zasadzie?

- Trudno mi to będzie wyjaśnić. Pan nie ma odpowiedniego przygotowania naukowego. Cóż, spróbujemy. Wie pan o tym, że czas i przestrzeń to jest to samo, że są to różne postaci tej samej rzeczy.

- Naprawdę?

- Tak. Podobnie jak masa i energia. W pańskich czasach naukowcy wiedzieli, że masa i energia są wymiennikami. Potrafili odkryć procesy rozpadu i syntezy, odbywające się we wnętrzu gwiazd. Ale nie byli w stanie ich odtworzyć, gdyż potrzebna była do tego ogromna ilość energii, umożliwiająca rozbitcie atomu i stworzenie nowego za pomocą syntezy.

- Wiem o tym. A co z podróżami w czasie?

- Podobnie. Przez długi czas wiedzieliśmy, że czas i przestrzeń to dwie postacie tej samej rzeczy. Wiedzieliśmy, że zarówno czas, jak i przestrzeń da się rozbić na podstawowe elementy i przekształcić jedno w drugie, wykorzystując olbrzymią energię. Odkryliśmy zmiany w przestrzeni w pobliżu supernowej. Zaobserwowano też zniknięcie gwiazdy Wolfa-Rayeta, kiedy to doszło w niej do przyspieszenia przetwarzania czasu. Potrzebowaliśmy jednak nauczyć się jeszcze wielu innych rzeczy. No i musieliśmy znaleźć źródło energii o odpowiedniej mocy. Gdy to nastąpiło, opanowaliśmy proces zamiany czasu w przestrzeń i odwrotnie. W tej chwili możemy przebyć, dajmy na to, dystans stu lat zamiast porównywalnego dystansu stu parseków.

- Jako tako zrozumiałem. Czy ma pani coś przeciwko temu, żeby powtórzyć mi to wszystko powoli?

- Później - odpowiedziała. - Czy mógłby pan podpisać to oświadczenie?

Na kartce było napisane, że on, Thomas Blaine, nie będzie zgłaszał żadnych pretensji pod adresem Korporacji Rexa w związku z jej samowolnym aktem uratowania mu życia w 1958 roku i przeniesienia tegoż życia w Odbieralnik w rok 2110.

Podpisał. - Teraz - rzekł - chciałbym wiedzieć...

Przerwał. Jakiś nastolatek wszedł do pokoju, niosąc wielki plakat.

- Przepraszam, pani Thorne - zapytał - ludzie z działu plastycznego chcieliby wiedzieć, czy tak jest dobrze? Chłopak rozwinął plakat. Widniał na nim samochód w momencie zderzenia. Wynurzająca się z chmur gigantyczna, stylizowana ręka wydobywała kierowcę z płonącego wraku.

REX TO ZROBIŁ - głosy wielkie litery.

- Niezły - stwierdziła Marie Thorne, patrząc uważnie. - Powiedz im, żeby dali intensywniejszą czerwień. Do pokoju weszło więcej osób. Blaine poczuł złość.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Wyjaśnię później - odpowiedziała Marie Thorne. Jak dobrze, że pani przyszła, pani Vaness! Co pani myśli o tym plakacie, jak mogą zareagować na niego kpiarze?

W pokoju przebywało z tuzin osób i wciąż nadchodziły nowe. Skupili się wokół Marie Thorne i plakatu, całkowicie ignorując Blaine'a. Jeden z mężczyzn, zajęty rozmową z jakąś siwowłosą kobietą, usiadł na brzegu łóżka. Blaine wybuchł:

- Dostyc tego! - wrzasnął. - Doprowadzacie mnie do szału. Co się z wami dzieje? Nie umiecie zachowywać się, jak przystało na ludzi? Wynoście się stąd!

- O, Boże - westchnęła Marie Thorne, przymykając oczy. - On rzeczywiście jest pełen temperamentu. Ed, porozmawiaj z nim.

Do łóżka Blaine'a podszedł tęgi, spocony mężczyzna w średnim wieku.

- Panie Blaine - zapytał z powagą - czy nie uratowaliśmy pana życia?

- Przypuszczam, że tak.

- Chyba orientuje się pan, że nie musieliśmy tego robić. Poświęciliśmy na to wiele czasu, pieniędzy, mieliśmy z tym masę kłopotów. Teraz jest pan z nami. Wszystko, co chcemy w zamian, to nadanie temu, co zrobiliśmy, rozgłosu.

- Rozgłosu?

- Oczywiście. Został pan uratowany przez System Energetyczny Rexa.

Blaine skinął głową. Rozumiał już teraz, dlaczego wszyscy dookoła traktują go w taki sposób. Poświęciwszy mu tyle starań, chcą wyciągnąć jak najwięcej korzyści.

- Rozumiem - powiedział. - Uratowaliście mnie po prostu po to, aby wykorzystać ten fakt w kampanii reklamowej. Czyż nie?

Ed nie wyglądał na uszczęśliwionego jego konkluzją.

- Dlaczego tak pan stawia sprawę? Pańskie życie warte było tego, by je uratować. My zaś prowadziliśmy kampanię reklamową, która potrzebowała jakiegoś mocnego chwytu. Zadbaliśmy o to, żeby i pan odniósł jakieś majątkowe korzyści. Być może nasze motywy nie były czysto altruistyczne, ale czy wolałby pan umrzeć?

Blaine potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie - zgodził się z nim Ed. - Pańskie życie przedstawia dla pana wielką wartość. Lepiej żyć, nawet w innym czasie. Czyż nie? Dlaczego zatem nie okaże pan odrobiny wdzięczności?

Dlaczego pan nie zacznie z nami współpracować?

- Chciałbym - odpowiedział Blaine - ale nie nadążam za wami.

- Rozumiem, ale zna pan przecież reguły obowiązujące w reklamie. Czas jest okrutny. Dziś jesteś na fali, jutro nikt się tobą nie zainteresuje. Musimy wyciągnąć z pańskiego ocalenia ile się da, dopóki jest to sprawa na czasie. Potem będzie za późno.

- Cieszę się, że ocaliliście mi życie, nawet jeśli nie był to czyn w pełni altruistyczny. Współpraca z wami sprawi mi przyjemność.

- Dziękujemy, panie Blaine - powiedział Ed. - I proszę nam przez chwilę nie przeszkadzać. Wprowadzimy pana we wszystko, jak tylko skończymy. Pani Thorne, ma pani głos.

- Dziękuję, Ed. Teraz słuchajcie: otrzymaliśmy pozwolenie na naszą akcję od pana Reilly'ego, postępujemy więc zgodnie z planem. Billy, dostarcz porannym gazetom wiadomość w rodzaju: "Człowiek z przeszłości".

- Już to zrobiliśmy.

- Cóż, jest to już wiadomość! Nieprawdaz?

- Sądzę, że nic się nie stanie, jeśli podamy tę informację jeszcze raz. A więc... "Człowiek z 1988 wydobyty..."

- Czy wolno mi się wtrącić? - powiedział Blaine. To był 1958.

- A więc "...z 1958 wydobyty tuż po śmierci ze zmiążdżonego samochodu i przeniesiony do ciała

żywiciele". Tu będzie krótka wzmianka o ciebie. Potem napiszemy, że dokonaliśmy tego dzięki Systemowi Energetycznemu Rexa, pokonując dystans stu pięćdziesięciu dwóch lat. Podamy również, ile spaliliśmy ergów energii, jeśli w ogóle coś spaliliśmy. Porozumiem się z inżynierem w sprawie odpowiednich terminów technicznych. Okay?

- Zaznacz, że żaden inny system nie mógłby tego dokonać. Napisz, że stało się to możliwe dzięki nowemu systemowi kalibracyjnemu.

- Nie wykorzystają tego.

- Nigdy nic nie wiadomo - powiedziała Marie Thorne. - Pani Vaness, potrzebujemy artykułu opisującego reakcję Blaine'a i eksponującego jego emocje. Niech pani opisz pierwsze zabawne przygody w nowej epoce. W jakichś pięciu tysiącach słów.

Siwowłosa pani Vaness skinęła głową.

- Czy mogę już teraz przeprowadzić z nim wywiad?

- Nie ma na to czasu - odpowiedziała Marie Thorne. - Niech pani sama coś wymyśli: przestraszony, zdumiony, zaskoczony, zaszokowany zmianami. Postęp naukowy. Chciałby pojechać na Marsa. Nie podoba mu się panująca obecnie moda. Uważa, że za jego czasów ludzie żyli może bardziej prymitywnie, bez takiej ilości gadżetów, ale byli szczęśliwsi. Blaine się z tym zgadza. Nieprawdaż?

Skinął głową z lekko ogłupiałym wyrazem twarzy.

- Wspaniale. W ciągu ostatniej nocy nagraliśmy jego spontaniczne reakcje. Mike, zrób z tego ze swoimi chłopakami jakąś piętnastominutową historyjkę. Na początku daj wstawkę o tym, jak Rex dokonał przeniesienia.



- Yhm.

- Dobrze. Panie Brice, niech pan zapewni nam czas w kilku programach rozrywkowych. Pan Blaine opowie o tym, co myśli o naszych czasach, jak je odbiera w porównaniu z dwudziestym wiekiem. Niech pan zadba, żeby za każdym razem wspomniano o Rexie.

- Ale przecież ja nic nie wiem o waszej epoce - powiedział Blaine.

- Zostanie pan wprowadzony. No dobrze, to wystarczy na początek. Teraz pójde poinformować pana Reilly'ego, co zamierzamy zrobić.

Podczas gdy inni opuszczali pokój, Marie Thorne odwróciła się w stronę Blaine'a.

- Pewnie myśli pan, że nasze zachowanie pozostawia dużo do życzenia. Cóż, interesy załatwia się zawsze w taki sam sposób, bez względu na czasy. Jutro stanie się pan sławnym i prawdopodobnie bogatym człowiekiem. Biorąc zatem pod uwagę wszystkie okoliczności, nie powinien się pan skarżyć.

Wyszła. Blaine patrzył za nią. Zastanawiał się, jaka obecnie obowiązuje kara za uderzenie kobiety.

Pielęgniarka przyniosła mu na tacy drugie śniadanie. Potem przyszedł brodaty lekarz, zbadał go i oznajmił, że jest całkowicie zdrowy. Nie zauważył u niego najmniejszych objawów depresji; uraz, spowodowany śmiercią, okazał się nieznaczny. Nie było więc żadnych przeciwwskazań, żeby Blaine mógł wstać i wyjść na miasto.

Pielęgniarka przyniosła ubranie; niebieską koszulę, brązowe luźne spodnie i miękkie buty z szerokimi przodami. Zapewniła go, że był to ubiór jak najbardziej typowy.

Blaine jadł z apetytem. Zanim jednak się ubrał, badawczo obejrzał swoje ciało w ogromnym lustrze łazienki.

Dawniej był wysoki i szczupły, miał czarne proste włosy oraz wesołą chłopięcą twarz. Przez trzydzieści dwa lata zdążył się przyzwyczaić do swojego ciała, poruszającego się lekko i szybko. Dobrze znosił drobne dolegliwości i przelotne niedyspozycje, pewne braki w wyglądzie nauczył się traktować jako cechy wyróżniające go z otoczenia i bardziej podkreślające jego indywidualność niż jego zdolności.

Dotychczas był zadowolony ze swojego ciała. Nowe zaszokowało go.

Patrzył na tę solidnie umięśnioną sylwetkę: szeroką w ramionach, o wypukłej klatce piersiowej i o nie imponującym, raczej niskim wzroście. Wyglądał na nieco przysadzistego; zbyt krótkie nogi zakłócały ogólną proporcję. Jego dłonie były duże, pokryte zgrubiałą skórą. Zacisnął pięść i spojrzał na nią z respektem. Prawdopodobnie jednym uderzeniem mógł ogłuszyć wołu.

Jego kwadratowa twarz, bez żadnego zarostu, charakteryzowała silnie zarysowana szczęka, szerokie kości policzkowe i rzymski nos. Miał kręcone włosy koloru blond, a oczy szaroniebieskie. Na swój sposób ta twarz była przystojna, lekko brutalna.

- Nie podobasz mi się - powiedział z emfazą Blaine. I nie cierpię kręconych blond włosów.

W jego nowym ciele z pewnością tkwiła znaczna siła, on nigdy jednak nie zachwycał się muskułami. Ciało to wyglądało niezdarnie, poruszało się bez wdzięku; trudno będzie sobie z nim radzić. To było jedno z tych ciał, które z hałasem siadają na krzesło, depczą po cudzych palcach, zbyt energicznie potrząsają ręką przy powitaniu, zbyt głośno rozmawiają i do tego obficie się pocą. Ubranie nigdy nie leży na nich dobrze. To ciało trzeba wciąż ćwiczyć. Być może będzie nawet musiał stosować jakąś dietę, odnosił bowiem wrażenie, że będzie miał skłonności do tycia.

- Siła fizyczna - to nie jest nic złego - mruknął pod nosem - o ile można jej odpowiednio użyć. W przeciwnym razie będzie tylko zawadzać i wywoływać zamieszanie podobnie jak skrzydła u ptaka dodo.

Już sama sylwetka nie zachwycała Blaine'a, a cóż dopiero ta twarz! Nigdy nie lubił marsowych, grubo ciosanych rysów. Pasowałyby do sierżanta czy podróżnika, przedzierającego się przez dżunglę, ale nie są odpowiednie dla człowieka, który wiezie życie w cywilizowanym świecie. Tego rodzaju twarz po prostu nie umie oddać subtelnych półtonów, wyrazić ukrytego znaczenia wypowiedzanej myśli. Co najwyżej można zmarszczyć brwi lub roześmiać się szeroko.

Spróbował swego chłopięcego uśmiechu: twarz w lustrze wykrzywił grymas godny satyra.

Zostałem wykantowany - powiedział z goryczą. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego umysł i ciało zupełnie nie pasowały do siebie. Współpraca między nimi wydawała się niemożliwa. Oczywiście, jego osobowość może po pewnym czasie zmienić wygląd zewnętrzny, z drugiej jednak strony - nie wiadomo, czy ciało nie wyrze swojego piętna na osobowości.

- Jeszcze zobaczymy, kto tu jest panem.

Na lewym ramieniu miał długą, poszarpaną bliznę. Zastanawiał się przez chwilę, po czym mogła być. Potem pomyślał o byłym właścicielu tego ciała. Może pozostał mu tylko mózg i wciąż czeka na swój szczęśliwy los?

Nie miało sensu rozważanie tego problemu. Być może później dowie się czegoś na ten temat. Po raz ostatni spojrzął w lustro.

Nadal nie podobał się sobie; obawiał się, że nigdy nie zaakceptuje tego widoku.

- Cóż - westchnął - bierz, co ci dają. Martwi ludzie nie mogą pozwolić sobie na grymasy.

To było wszystko, na co było go teraz stać. Odwrócił się tyłem do lustra i zaczął nakładać koszulę.

\* \* \*

Późnym popołudniem do jego pokoju weszła Marie Thorne. Bez żadnego słowa wstępu powiedziała:

- To koniec.

- Koniec?

- Koniec! Skończone! Mamy to z głowy! - popatrzyła na niego z goryczą i zaczęła przemierzać pokój wielkimi krokami. - Zaprzestano kampanii reklamowej związanej z twoją osobą.

Blaine popatrzył na nią. Wiadomość była interesująca, ale o wiele bardziej poruszyły go pierwsze oznaki emocji na twarzy panny Thorne. Zawsze całkowicie panowała nad sobą - bez reszty oddana pracy, nie pozwalająca sobie na sekundę luzu. Teraz na jej twarzy pojawiły się wypieki, wargi lekko drżały.

- Pracowałam nad tym pomysłem przez dwa długie lata. Po to, by ciebie tu sprowadzić, spółka wydała masę pieniędzy. A kiedy przyszło do zbierania plonów, ten cholerny staruch oznajmia, żebyśmy wszystko zostawili w spokoju.

Była piękna, ale najwidoczniej uroda nie sprawiała jej radości. Traktowała ją jak jeden z walorów, pomagających zrobić karierę. Podobnie jak na przykład tęga głowa. Blaine pomyślał, że może ją krzywdzi osądzając w ten sposób. Pozostanie jednak przy swoim, dopóki nie zdarzy się coś, co zmieni tę opinię.

- Ten cholerny głupi staruch - mruzczała do siebie Marie Thorne.

- Co za staruch?

- Reilly, nasz błyskotliwy prezes.

- To on zdecydował, że należy przerwać kampanię reklamową?

- Chciałby ją całkowicie wyciszyć. O Boże, tego już za wiele! Dwa lata!

- Ale dlaczego?

Marie Thorne potrząsnęła głową ponuro.

- Z dwóch powodów. Obydwa zresztą są bez znaczenia. Po pierwsze, chodzi mu o stronę prawną całego przedsięwzięcia. Powiedziałam mu, że podpisałeś odpowiedni dokument, a resztą zajmą się prawnicy, którzy nie widzą uchybień w naszym postępowaniu. A on wciąż marudzi. Nadchodzi czas jego reinkarnacji, nie życzy więc sobie żadnych zadrażnień z rządem. Wyobrażasz to sobie? Trzęsący

się z przerażenia staruszek na czele Rexa! Po drugie, rozmawiał z tym stetryczalym dziadkiem, któremu nie spodobał się ten pomysł! To wystarczyło. Dwa lata starań.

- Zaraz, zaraz - powiedział Blaine. - Wspomniałaś o jego reinkarnacji?

- Tak. Reilly ma zamiar spróbować. Osobiście uważam, że lepiej byłoby dla niego, gdyby umarł.

Nie zabrzmiało to miło. Marie Thorne powiedziała to jednak takim tonem, jakby chodziło o stwierdzenie najprostszego faktu.

- Sądzisz, że lepiej, by umarł, niż spróbował reinkarnacji?

- Tak. Och, zapomniałam, że jeszcze nic nie wiesz. Wolałabym, żeby wcześniej postanowił, że nie będziemy prowadzić kampanii. Ten sklerotyczny dziadek...

- Dlaczego Reilly nie zapytał się go wcześniej? - Pytał. Ale dziadek nie odpowiadał.

- Rozumiem. Ile ma lat?

- Dziadek Reilly'ego? Gdy zmarł, miał 81 lat.

- Co?

- Tak, zmarł jakieś sześćdziesiąt lat temu. Ojciec Reilly'ego również nie żyje. On jednak nigdy nie zabiera głosu. A szkoda! Miał głowę do interesów. Czemu się tak na mnie gapisz? Och, ciągle zapominam, że nie znasz tych spraw. To bardzo proste, uwierz mi.

Przez chwilę stała zamyślona. Nagle skinęła zamaszycie głową i po obróceniu się na pięcie podeszła do drzwi.

- Gdzie się wybierasz?

- Powiedzieć Reilly'emu, co o nim myślę! Nie może mi tego zrobić. Obiecał!

Odzyskała już kontrolę nad sobą.

- Jeśli idzie o ciebie, Blaine, przypuszczam, że nie jesteś nam dłużej potrzebny. Masz swoje życie, odpowiednie ciało. Sądzę, że możesz opuścić to miejsce, kiedy tylko zechcesz.

- Dzięki - powiedział, gdy wychodziła z pokoju.

\* \* \*

Ubrany w brązowe spodnie i niebieską koszulę opuścił szpital. Poszedł długim korytarzem, aż dotarł do drzwi. Stał przed nimi umundurowany strażnik.

- Przepraszam - zapytał Blaine - czy te drzwi wiodą na zewnątrz?

- Co?

- Czy te drzwi prowadzą na zewnątrz budynku?

- Tak, oczywiście. Na zewnątrz i na ulicę.

- Dziękuję.

Zawahał się. Potrzebował tego "wprowadzenia", które tyle razy mu obiecywano. Chciałby zapytać strażnika, jak wygląda teraz Nowy Jork, co się zmieniło od jego czasów. Czego powinien unikać. Ale strażnik z pewnością nie słyszał nigdy o Człowieku z Przeszłości. Patrzył uważnie na Blaine'a.

Blaine'owi nie odpowiadało wcale, że musi wyjść do obcego miasta, jakim był Nowy Jork w 2110 roku - bez pieniędzy, nie znając nikogo, nie wiedząc gdzie skierować swoje kroki, nie mając pracy. Do tego jeszcze skazany był na to nowe ciało. Nie było znikąd pomocy. Miał jednak poczucie własnej godności. Nie poniży się i nie będzie prosić o pomoc tę porcelanową lalkę, pannę Thorne, lub kogoś innego od Rexa.

- Czy potrzebuję jakąś przepustkę, żeby stąd wyjść?

- Nie - odpowiedział strażnik patrząc na niego podejrzliwie. - Hej, co się z tobą dzieje?

- Nic - odrzekł Blaine i tworzył drzwi. Wciąż nie mógł pojąć, dlaczego tak po prostu mogli go zostawić samemu sobie. Ale dlaczego by i nie? Znalazł się przecież w świecie, w którym rozmawia się ze zmarłymi krewnymi, w świecie statków kosmicznych i urządzeń przenoszących do wieczności, wreszcie - w świecie, w którym dla potrzeb kampanii reklamowej porywa się z przeszłości człowieka, a jeśli coś się nie uda - zwyczajnie wypuszcza się go na wolność.

Drzwi zamknęły się. Blaine opuścił ogromny, szary budynek Rexa. Przed nim rozciągał się Nowy Jork.



Na pierwszy rzut oka miasto przypominało surrealistyczny Bagdad. Zobaczył niskie pałace, których ściany zdobiła biała i niebieska ceramika. Między nimi wyrastały strzeliste czerwone minarety, a także inne budynki o niesymetrycznych kształtach, pokryte jaskrawymi chińskimi dachami lub kopułami z iglicą. Wyglądało na to, że w architekturze zapanował styl orientalny. Trudno było Blaine'owi uwierzyć, że to jest rzeczywiście Nowy Jork. Z ulgą zauważył pojedyncze wieżowce, wystające ponad azjatycką zabudowę.

Na ulicach prawie wcale nie było ruchu. Jechały motocykle i rowery, samochody nie większe niż porsche, ciężarówki wielkości buicka. Zastanawiał się, czy nie jest to czasem spowodowane koniecznością obniżenia poziomu zanieczyszczenia powietrza - nawet to się nie na wiele zdało.

Zdecydowanie większe natężenie ruchu panowało nad ziemią. Niektóre pojazdy zaopatrzone zostały w śmigła, inne - w silniki odrzutowe; przelatywały ciężarówki, jednoosobowe "samochody" wyścigowe, taksówki, podobne do helikopterów, a także autobusy, na których widniały napisy: "Port Lotniczy 2 Poziom" czy "Ekspres do Montauk". Połyskujące punkty oznaczały granice szlaków komunikacyjnych zarówno w pionie, jak i w poziomie. Pomiędzy nimi pojazdy wznosiły się i opadały, zakręcały i wymijały się. Ruch regulowały czerwone, zielone, żółte i niebieskie światła. Z pewnością obowiązywały jakieś przepisy, ale Blaine nie mógł się w nich połapać.

Pięćdziesiąt stóp nad nim znajdował się inny poziom ze sklepami. Jak dostawali się tam ludzie? Dlaczego w ogóle chciało im się żyć w tym hałaśliwym i zanieczyszczonym spalinami mieście? Panowało tu wyraźne przeludnienie. Miał wrażenie, że znalazł się na dnie morza pełnego ryb. Ilu tu mogło być ludzi? Piętnaście milionów? Dwadzieścia? Nowy Jork w 1958 roku wyglądał w

porównaniu z tym miastem jak spokojna wioska.

Poczuł, że musi się zatrzymać i uporządkować wrażenia. Ale chodniki pełne były spieszących się ludzi i gdy zwolnił kroku, zaczęli wpadać na niego, posypały się przekleństwa. W zasięgu wzroku nie mógł dostrzec żadnych ławek, nie mówiąc już o parku.

Zauważył, że grupa ludzi utworzyła kolejkę. Stanął na jej końcu. Powoli przesuwał się do przodu. Zaczynała go boleć głowa, z trudem chwycił oddech.

Szybko jednak odzyskał równowagę. Z uznaniem pomyślał o swoim nowym ciełe. Być może człowiek z przeszłości po prostu potrzebuje takiego organizmu, żeby móc sprostać rzeczywistości? Niewrażliwy system nerwowy ma więc swoje plusy.

Kolejka przesuwała się do przodu. Spoglądał na stojących z nim ludzi. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni wyglądali na biednych: zaniedbani i nieumyjni. Wokół nich unosiła się atmosfera przygnębienia.

Czyżby stał w kolejce po darmowe jedzenie?

Dotknął ramienia stojącego przed nim mężczyzny.

- Przepraszam, po co stoi ta kolejka?

Mężczyzna odwrócił głowę. Spojrzał na Blaine'a podkrążonymi oczami.

- Prowadzi do budki samobójców - powiedział, wskazując brodą w kierunku czoła kolejki.

Blaine podziękował i szybko opuścił szereg. Co za idiotyczny przypadek skierował go właśnie tutaj.

Budki samobójców! Nie, z własnej woli nigdy nie znajdzie się w jednej z nich. Nie może być aż tak źle!

Ale co to za świat, w którym istnieją budki samobójców? I to bezpłatne - do korzystania według uznania klienta... Na drugi raz musi być ostrożniejszy, zanim zdecyduje się przyjąć coś za darmo.

\* \* \*

Blaine wędrował dalej, rozglądając się na boki. Powoli przyzwyczajał się do tego jasno oświetlonego, zatłoczonego miasta. Podszedł do ogromnego budynku, przypominającego gotycki zamek. Wokół murów obronnych fruwały gołębie. Na najwyższej wieży paliło się jaskrawozielone światło, dobrze widoczne mimo zachodzącego słońca.

Blaine przez chwilę przyglądał się budynkowi. Zauważył, że o jego ścianę opiera się mężczyzna, palący cienkie cygaro. Wyglądało na to, że jest to jedyny człowiek w Nowym Jorku, któremu się nigdzie nie spieszy. Blaine podszedł do niego.

- Przepraszam pana - powiedział - co to za budynek?

- Mieści się tu zarząd Korporacji "Zaświaty".

Był to wysoki, bardzo szczupły mężczyzna, a jego twarz, pociągła i ponura, sprawiała wrażenie ogorzałej od wiatru. Wąsko osadzone oczy patrzyły prosto. Ubranie wisiało na nim - wyglądał jak człowiek z farmy, który tak bardzo przyzwyczał się do noszenia lewisów, że już nie mógł dobrze się czuć w ubraniu sztywnym na miarę.

- Robi wrażenie - powiedział Blaine, patrząc na zamek.

- Zbyt kowny - zauważył mężczyzna. - Pan nie jest nowojorczykiem, czyż nie?

Blaine potrząsnął głową.

- Ja również. Ale, mówiąc szczerze, myślałem, że wszyscy na Ziemi i innych planetach znają ten budynek. Czy ma pan coś przeciwko, żeby powiedzieć mi, skąd pan pochodzi?

- Skądże. - Blaine zastanawiał się, czy może powiedzieć prawdę. Nie, nie należało jej mówić całkiem nieznanemu osobie. Mógłby wezwać policję. Lepiej coś zmyślić.

- Rozumiesz, ja jestem z Brazylii.

- O?

- Tak. Dolina Górnej Amazonki. Moi najbliżsi wyjechali stąd na plantację kauczuku, gdy byłem małym chłopcem. Właśnie zmarł mój ojciec, pomyślałem sobie, że warto by było odwiedzić Nowy Jork.

- Słyszałem, że wciąż jeszcze są tam dzikie miejsca.

Blaine skinął głową, ciesząc się, że jego historyjka nie została zakwestionowana. Może nie jest to niezwykła opowieść, jak na te czasy? W każdym bądź razie - znalazł swój dom.

- Jeśli idzie o mnie - odezwał się nieznajomy - jestem z Mexican Hat w Arizonie. Nazywam się Orc,

Carl Orc. A ty Blaine? Miło mi, Blaine. Przyjechałem tu po to, by rzucić okiem na Nowy Jork i zrozumieć, dlaczego wciąż nim się przechwalają. Nie mogę powiedzieć, widok jest dosyć interesujący, ale ludzie, jak na mój gust, za bardzo się spieszą i za bardzo wrzeszczą. Nie chcę przez to powiedzieć, że powinniśmy się zabierać stąd do domu, ale rzeczywiście ci ludzie biegają jak kot z pęcherzem.

- Rozumiem ciebie.

Przez kilka minut wymieniali poglądy na temat poddenerwowanych, szalonych w swym pośpiechu nowojorczyków, porównując ich życie ze spokojnym i zrównoważonym spędzaniem czasu w Mexican Hat i Dolinie Górnej Amazonki. Zgodzili się ze sobą, że tutejsi ludzie po prostu nie umieją żyć.

- Blaine - powiedział Orc. - Cieszę się, że ciebie spotkałem. Co powiesz na jednego głębszego?

- Czemu nie - odpowiedział Blaine. Przy Orcu może uda mu się przebrnąć przynajmniej przez wstępne przeszkody. Może załatwi sobie jakąś pracę w Mexican Hat? Postanowił, że swą nieporadność wobec współczesności wytłumaczy pobytem w Brazylii i amnezją.

Przypomniał sobie nagle, że nie ma pieniędzy.

Zaczął obszernie wyjaśniać, jak to przez zapomnienie zostawił w hotelu portfel, ale Orc przerwał mu w pół słowa.

- Słuchaj, Blaine - spojrzał na niego stanowczo. - Chcę ci coś powiedzieć: taka historyjka nie przesłaby u większości ludzi, ale ja znam się na ludziach i rzadko się mylę. Trudno mnie nazwać biedakiem. Co powiesz na to, że ja stawiam?

- Ale ja nie...

- Jeśli masz jakieś skrupuły, jutro się zrewanżujesz. Ale teraz chodźmy zagłębić się w nocne życie tego miasta.

Okazja równie dobra jak inna, aby dowiedzieć się czegoś o tej przyszłości. Blaine pomyślał, że nic tak bardzo nie pomaga w zrozumieniu epoki, jak obserwowanie zrelaksowanych ludzi podczas zabaw i rozmów. Co bardziej symbolizuje Rzym, jeśli nie cyrk? Czyż rodeo nie było wizytówką Dzikiego Zachodu? Hiszpania miała swoje walki byków, a Norwegia narciarstwo. Co jest charakterystyczne dla obecnej cywilizacji? Mógłby się tego dowiedzieć czytając książki, ale nie byłoby to tak bezpośrednie przeżycie i tak ciekawe.

- Może wpadniemy do Dzielnicy Marsjańskiej? - spytał Orc.

- Prowadź.

\* \* \*

Szli labiryntem ulic, usytuowanych w różnych poziomach, pod podziemnymi arkadami i po nadziemnych kładkach. Część drogi przebyli pieszo, część windą, jechali również metrem i taxihelem. Nie zrobiło to żadnego wrażenia na przybyszu z Zachodu. Stwierdził, że przypomina mu Phoenix. Oczywiście, w nieco innej skali.

Dotarli wreszcie do małej restauracji, która nosiła nazwę "Czerwony Mars". Zamówili prawdziwą potrawę marsjańską. Blaine musiał przyznać, że jeszcze nigdy nic takiego nie jadł. Orc zaś oznajmił, że próbował marsjańskiego jedzenia kilka razy, w Phoenix.

- Całkiem dobre - zarekomendował - ale nie zaspokaja głodu. Potem wpadniemy na porządny stek. Menu spisane było w języku marsjańskim, bez żadnych angielskich tłumaczeń. Blaine zamówił to samo co Orc zestaw numer jeden. Przyniesiono im dziwnie wyglądającą sałatkę z drobniutko pokrajanych warzyw i mięsa. Spróbował - i widelec o mało co nie wypadł mu z ręki.

- Smakuje dokładnie jak potrawy Chińczyków!

- To zrozumiałe. Chińczycy pierwsi wylądowali na Marsie. Zdaje się, że w dziewięćdziesiątym siódmym roku. To, co się je na Marsie, jest chyba marsjańską potrawą, nie?

- Myślę, że tak.

- Poza tym, robią te potrawy z roślin, które, wywiezione na Marsa, uległy mutacji. Przynajmniej tak je reklamują.

Blaine nie wiedział, czy powinien czuć rozczarowanie, czy raczej odetchnąć z ulgą. Zjadł z apetytem C'kyo-Ourher, który smakował dokładnie jak krewetki po chińsku zmieszane z jarzynami, i Trrdxat, który z kolei okazał się nadziewanym jajkiem.

- Czemu nadali swoim potrawom takie dziwaczne nazwy? - zapytał, zamawiając na deser Hggshrt.

- Człowieku, ty rzeczywiście pochodzisz z dziury zabitej dechami. Chińczycy poszli na całego. Przetłumaczyli napisy, widniejące na pozostałościach po cywilizacji na Marsie i w niedługim czasie zaczęli mówić po marsjańsku, zapewne z silnym kantońskim akcentem. Ale nie było komu pokazać im, jak ten język brzmi naprawdę. Mówili po marsjańsku, ubierali się po marsjańsku, zaczęli myśleć po marsjańsku. Nazwij teraz któregoś Chińczykiem, a dostaniesz w dziób. On jest Marsjaninem!

Przyniesiono Hggshrt, który smakował dokładnie jak placuszek z migdałami.

Orc zapłacił. Gdy wychodzili, Blaine zapytał:

- Czy dużo jest marsjańskich pralni?

- Do licha i trochę. Roi się od nich.

- Tak myślałem - zadumał się nad marsjańskimi Chińczykami i ich przywiązaniem do tradycji.

\* \* \*

Złapali taxihel. Orc chciał jeszcze wpaść do Greens Club, o którym wspominali mu jego przyjaciele z Phoenix. Ten mały, intymny i komfortowy klub był znany w całym świecie: żaden z gości, zwiedzających Nowy Jork, nie mógł go pominąć. Miejsce to słynęło z pokazów życia roślin.

Dostali miejsce na małym balkonie, niedaleko ogrodzonego szklanym płotem środka, otoczonego trzema poziomymi stolikami. Za szklaną przegrodą znajdowało się coś jakby żywcem przyniesione z dżungli. Gęszcz roślin, różniących się od siebie kolorem i wielkością, lekko kołysał się na sztucznym wietrze. Rośliny te zachowywały się inaczej niż jakiegokolwiek inne, które kiedykolwiek widział. Wyrastały niesłychanie szybko wprost z korzenia lub maleńkiego ziarna, osiągały potężne rozmiary, dojrzewały, pokrywały się kwiatami i wreszcie następowało zapłodnienie, wysiew nasion i powolne obumieranie. Nie wszystkie gatunki odradzały się ponownie. Na tym małym obszarze toczyła się bezpardonowa walka o przetrwanie, o każdą piędź ziemi, każdy łyk powietrza, drobinę światła. Wygrywały mutanty, lepiej przystosowane do warunków. Czasem dominowała jedna roślina, której szczęśliwie udało się pokonać rywala, ale gdy tylko następowało obumieranie, na jej resztkach natychmiast wyrastały inne. Zmieniał się wygląd roślin, ich wielkość - wszystko w celu przetrwania. Ale nie pomagało ani zdeterminowanie, ani transformacja. Każdą roślinę czekała wcześniej czy później śmierć.



Widok ten poruszył Blaine'a. Czyżby to, co się działo teraz, w 2110 roku, miało być fatalistyczną przepowiednią przyszłości? Spojrzał na Orca.

- To, co robią w Nowym Jorku z szybko rosnącymi mutantami, jest rzeczywiście ekscytujące. Oczywiście nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak taki pokaz się skończy. Po prostu, ograniczają się do stworzenia odpowiednich warunków - i niech lepszy zwycięża. Słyszałem, że wymienia się rośliny co dobę - tak szybko zużywają swoje potencjały.

- A więc tak to się kończy - powiedział Blaine, patrząc na zmagania - na wymianie.

- Pewnie - odpowiedział Orc, nie zauważając filozoficznego podtekstu. - Przy tych cenach mogą sobie właściciele na to pozwolić. Ale to dziwactwo. Lepiej opowiem ci o pustynnych roślinach, które uprawiamy w Arizonie.

Blaine sącząc whisky, śledził walkę roślin. Orc kontynuował.

- W samym środku pustyni rosną u nas jarzyny i owoce. Udało nam się zaadaptować je do pustynnego klimatu i to bez dostarczania dodatkowych ilości wody. A co najważniejsze: ich cena jest konkurencyjna do tej, jaką chcą za zwykłe rośliny. Mówię ci, brachu, że za jakieś pięćdziesiąt lat wszystko ulegnie zmianie. Weź pod uwagę takiego Marsa...

Opuścili Green Club i skierowali się ku Times Square, zaglądając po drodze do barów. Mimo iż Orc miał kłopoty w utrzymaniu się prosto na nogach, to jednak jego głos bez trudu opisywał, jak to ludzie odkryją kiedyś sekret uprawy na samym piasku, bez żadnych nawozów. Blaine wypił dostatecznie dużo, żeby jego dawne ciało legło bez przytomności. Nowe zaś zdawało się całkowicie odporne na alkohol, co zresztą było przyjemne, ale nie na tyle, by Blaine'owi nie przeszkadzały wady jego ciała.

Przecięli Times Square i wpadli do baru na ulicy 44. Gdy serwowano im napoje, zatrzymał się przy nich mały człowieczek o niespokojnym spojrzeniu, ubrany w deszczowy płaszcz.

- Hej, chłopcy - powiedział niezobowiązująco.

- Czego, koleś?

- Może chcielibyście się zabawić?

- Czemu nie - odrzekł Orc. - Ale umiemy sobie radzić sami.

Człowieczek uśmiechnął się nerwowo.

- Nigdy nie znajdziecie tego, co ja mogę wam pokazać.

- Powiedz, co masz do zaoferowania.

- Cóż, chłopcy, to nie byle co!

Do baru weszli dwaj policjanci, rozejrzeli się powoli dokoła i wyszli. .

- No dobrze - zgodził się Blaine. - Co chcesz nam pokazać?

- Mów do mnie Joe - powiedział, krzywiąc twarz w nieokreślonym grymasie. - Mogę zarowadzić was do miejsca, gdzie odbywają się Transplanty. To najlepsza zabawa, nigdzie się tak nie ubawicie!

- Co, do diabła, znaczy: Transplant? - zapytał Blaine.

Spojrzeni na niego.

- Nic o tobie nie wiem, człowieku - stwierdził po chwili ciszy Joe. - Ale chyba pochodzisz z bardzo dalekich stron. Nigdy nie słyszałeś o Transplancie? Zadziwiasz mnie!

- Okay, jestem z daleka - uśmiechnął się Blaine przysunął swoją prymitywnie wyglądającą twarz do Joe. - Co to jest Transplant?

- Nie tak głośno - szepnął Joe, cofając się nieco. Spokojnie, koleś, zaraz ci wyjaśnię. Transplant - to nowa gra. Jesteś zmęczony życiem? Myślisz, że masz pecha? Zaczekaj, spróbuj jeszcze Transplanta. Widzisz, koleś, ludzie znający się na rzeczy mówią, że zwykły seks to ciepłe kluchy. Nie zrozum mnie źle, jest to dobre dla ptaszków, pszczółek, zwierzątek i prymitywów. Nadal porusza ich proste serca - i czemu nie? Ale prawdziwi koneserzy wolą Transplant. To demokratyczna zabawa, przyjacielu. Pozwala ci poczuć to, co czują inni. Uczy i rozwija, a nie jak zwykły seks - ogłupia. Czy kiedykolwiek chciałeś zostać wysokim południowcem? Proszę bardzo. Zastanawiałeś się, co czuje sadysta? Transplant umożliwi ci dokładne zbadanie tego problemu. A jest o wiele więcej możliwości. Na przykład - czy musimy przez całe swoje życie być mężczyznami? Dlaczego przez chwilę nie czuć tego, co kobieta? Transplant ci to z łatwością umożliwi.

- Voyeurism - powiedział Blaine.

- Znam te mądre słowa, ale one wcale nie mówią prawdy. Transplant umożliwia bycie wewnątrz, w samym środku ciała, poruszanie mięskami, doświadczanie przeżyć. Czy chciałeś być kiedyś tygrysem i bawić się ze swoją panią tygrysią? Mamy tygrysa. Ciekaw jesteś, co czuje człowiek, który jest nekrofilem, fetyszystą czy kimś tam jeszcze? Jest na to sposób: Transplant. Nasz katalog ciał do wypożyczenia ma grubość encyklopedii. A ceny wcale nie są wygórowane.

- Wynoś się - przerwał mu Blaine.

- Co się stało, koleś?

Blaine schwycił Joego za płaszcz, tuż przy gardle. Podniósł małego naganiacza na wysokość swoich oczu.

- Takie gnojki jak ty - zachwalają podobne zabawy od czasów Babilonu, a ludzie tacy jak ja - nie korzystają z ich usług. Wynoś się, zanim skręcę ci kark, ot tak, dla sadystycznego dreszczyku.

Postawił go na ziemi. Joe poprawił płaszcz i uśmiechnął się nerwowo.

- Nie wnerwiaj się, chłopie, już idę sobie. Kiedy ci minie ten podły humor, pamiętaj, Transplant czeka na ciebie.

Blaine zaczął się podnosić, ale Orc powstrzymał go. Mały człowieczek zniknął za drzwiami.

- Nie warto dla niego tracić czasu - powiedział Orc. To jest smutny, zapluty świat, przyjacielu. Lepiej się napijmy.

Blaine wlał w siebie whisky, wciąż pełen wzburzenia. Transplant! Jeśli nawet jest to rozrywka, która charakteryzuje 2110 rok, to on nie miał ochoty jej skosztować osobiście. Orc miał rację, jest to zapluty świat. Nawet whisky zdaje się tracić swój właściwy smak.

Uchwycił się blatu lady, aby utrzymać równowagę. Co się dzieje? Ta whisky rzeczywiście dziwnie smakowała. Kręciło mu się w głowie. Poczul, że Orc objął go ramieniem. Usłyszał jego głos.

- Wszystko w porządku, mój przyjaciel po prostu wypił o jeden kieliszek za dużo. Lepiej zabiorę go do hotelu.

Ale Orc nie wiedział, gdzie jest hotel Blaine'a. Nie wiedział nawet, czy w ogóle mieszka w jakimś hotelu. Orc, ten pozornie gadatliwy i prostoduszny Orc, musiał wsypać mu coś do kieliszka, podczas gdy rozmawiał z Joem.

Ale po co? Przecież wiedział, że nie ma pieniędzy. Dlaczego?

Próbował uwolnić się z jego objęć, ale nie miał dostatecznie dużo siły.

- Nie martw się, chłopie - usłyszał głos Orca. Zaopiekuję się tobą.

Pomieszczenie baru kręciło się powoli w głowie Blaine'a. Pomyślał, że chyba niewłaściwie postąpił, decydując się na poznawanie tego świata poprzez własne doświadczenie. Chyba zaciszny biblioteczny pokój okazałby się bardziej stosowny.

Wszystko nagle zawirowało. Blaine stracił przytomność.

6

Ocknął się w małym, słabo oświetlonym pokoiku, pozbawionym okien i drzwi, bez ani jednego mebla. W jedynym otworze znajdowało się urządzenie wentylacyjne. Podłogę i ściany pokrywała miękka wykładzina, nie prana już od dłuższego czasu. W pomieszczeniu panował zaduch.

Blaine usiadł i w tym momencie poczuł dwa niesłychanie mocne ukłucia. Opadł ponownie.

- Odpręż się - powiedział ktoś. - Musi upłynąć pewien czas, zanim przestanie działać środek oszłamiający.

Nie był sam. W rogu pokoju siedział mężczyzna, patrzył na niego uważnie. Miał na sobie jedynie szorty. Blaine spojrział na siebie i odkrył, że jest podobnie ubrany.

Podniósł się powoli i oparł o ścianę. Przez chwilę miał wrażenie, że ból rozsadzi mu czaszkę. A potem, gdy ból nie ustępował, prawie zapragnął, by tak się stało.

- Gdzie jestem?

- Koniec linii - powiedział z uśmiechem mężczyzna. Zostałeś zapuszkowany, tak jak ja. Teraz należy jeszcze opakować kolorowo i przykleić cenę.

Blaine nie mógł zrozumieć słów mężczyzny. Nie miał nastroju do tego, by się zastanawiać nad znaczeniem żargonu typowego dla 2110 roku. Trzymając się za głowę powiedział:

- Nie mam pieniędzy. Dlaczego więc uwięzili mnie?

- Daj spokój! Dlaczego uwięzili ciebie? Przecież chcą twojego ciała, człowieku!

- Mojego ciała?

- Tak. Na żywiciela.

Żywiciel. To coś takiego, co się teraz wykorzystuje. Cóż, normalne, potrzeba im ciał do różnych

celów. A skąd je wziąć? Nie rosną przecież na drzewach. Trzeba zabrać je innym ludziom. Nie każdy z radością rozstaje się ze swoim ciałem: życie ma tak niewielkie znaczenie bez tego worka z mięśni i kości, i innych dodatków. A więc jak zaspokoić popyt?

Rozwiązanie jest bardzo proste. Wystarczy znaleźć frajera, spoić go, zamknąć gdzieś, usunąć mózg - i gotowe.

Rozmyślanie na ten temat było dosyć wciągające, ale Blaine porzucił to zajęcie. Wyglądało na to, że jego mózg podjął wreszcie rozsądną decyzję - postanowił się unicestwić.

\* \* \*

Z czasem ból się wyciszył. Blaine usiadł. Ktoś położył przed nim na papierowym talerzu kanapkę. Obok stała filiżanka z ciemnym napojem.

- Możesz zjeść bez obawy - powiedział mu mężczyzna. - Teraz o nas dbają. Słyszałem, że na czarnym rynku cena ciała wynosi niemal cztery tysiące dolarów.

- Na czarnym rynku?

- Człowieku, co się z tobą dzieje? Ocknij się! Wiesz przecież, że skoro istnieje wolny handel ciałami, to jest też czarny rynek.

Blaine pociągnął łyk napoju. Okazało się, że jest to kawa. Mężczyzna przedstawił się jako Ray

Melhill, nawigator statku kosmicznego "Bremen". Promieniowała z niego pewność siebie człowieka, który jak kot zawsze spada na cztery łapy. Jak prawie każdy rudowłosy miał piegowatą białą skórę, jedynie na szyi widniała plama - pamiątka oparzenia.

- Powinienem uważać - opowiadał Melhill. - Trzy miesiące spędziliśmy na asteroidach i jedyne, co wypełniało mój mózg, to zabawa całą gębą. Wszystko by się dobrze skończyło, gdybym trzymał się chłopców. Niestety, zostałem dla pewnej dziewczynki. W dowód wdzięczności za zainteresowanie się jej wdziękami, poczęstowała mnie przyprawioną whisky.

Wyciągnął się na podłodze, podłożył ręce pod głowę.

- Że też mi się to przytrafiło! Zawsze ostrzegałem chłopaków, żeby trzymali się razem. Żeby uważali. I... Rozumiesz, nie tyle jestem wściekły, że umrę. Nie podoba mi się po prostu, że te sukinsyny dadzą moje ciało jakiemuś trzęsącemu się, obleśnemu grzybowi, żeby mógł poszaleć jeszcze przez jakieś pięćdziesiąt lat. Ta myśl doprowadza mnie do szału - staruch w moim ciele. Chryste!

Blaine przytknął ze smutkiem.

- Taka jest moja opowieść - zakończył Melhill, odzyskując powoli zwykłą pogodę ducha. - A co tobie się przytrafiło?

- To długa histońa. I dosyć skomplikowana. Naprawdę masz ochotę jej wysłuchać?

- Pewnie. Dużo czasu przed nami. Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Dobrze. Wszystko zaczęło się w 1958 roku. Zaczekaj, zaraz wyjaśnię. Jechałem samochodem...



\* \* \*

Kiedy skończył, położył się na wznak i westchnął.

- Wierzysz mi?

- Czemu nie. O podróżach w czasie słyszałem. Teraz są zabronione. No i jest to kosztowna rozrywka. A ci chłopcy od Rexa gotowi są na wszystko.

- Dziewczyny również - dodał Blaine.

Melhill przytaknął.

Przez chwilę panowała cisza.

- A więc mają zamiar wykorzystać nas jako żywicieli? - zapytał Blaine.

- Tak, do tego nas przeznaczono.

- Kiedy przyjdą po nas?

- Kiedy zjawi się klient. Jestem tutaj gdzieś od tygodnia, przynajmniej mam takie wrażenie. Każdy z

nas może być zabrany lada chwila albo posiedzimy jeszcze przez tydzień czy dwa.

- I zniszczą naszą świadomość?

Melhill skinął głową.

- Ale to jest morderstwo!

- Zgadza się. Ale jak dotąd jesteśmy żywi. Może policjanci przeprowadzą obławę.

- Wątpię.

- Prawdę mówiąc, ja również. Masz ubezpieczenie na życie po śmierci? Może przeżyjesz śmierć?

- Jestem ateistą - powiedział Blaine. - Nie wierzę w te bzdury.

- Ja również. Ale życie po śmierci jest udowodnione. - Nie rób mi wody z mózgu - odpowiedział gorzko. - Ależ jest to udowodnione naukowo!

Blaine spojrzał badawczo na młodego kosmonautę.

- Ray, czy mógłbyś mi w skrócie opowiedzieć, co się zdarzyło od 1958 roku?

- To nie będzie łatwe, tym bardziej że nie jestem tak zwanym uczonym człowiekiem.

- Chodzi mi o ogólny zarys. Co to za bzdury dotyczące życia po śmierci? Reinkarnacja i żywicieli? Co się przez ten czas stało?

Melhill westchnął.

- No dobrze. 1958. Gdzieś koło 1960 roku wylądował statek kosmiczny na Księżycu. Jakieś dziesięć lat później dotarliśmy na Marsa. Potem doszło do krótkiej wojny z Rosjanami o asteroidy. Odbывała się w przestrzeni kosmicznej, daleko od Ziemi. A może to nie byli Rosjanie, tylko Chińczycy?

- Bez znaczenia - przerwał mu Blaine. - Opowiedz mi coś o reinkarnacji i życiu po śmierci.

- Postaram ci się przekazać wszystko, czego dowiedziałem się w szkole. Kiedyś chodziłem na kurs "Ogólne zagadnienia dotyczące psychicznego przetrwania". Było to jednak dawno temu.

Zaczekaj - Melhill koncentrował się przez dłuższą chwilę. - Cudzysłów: "Od najwcześniejszych czasów człowiek zdawał sobie sprawę z istnienia niewidzialnego świata duchów i przypuszczał, że po swojej śmierci również zamieszka w tym świecie". Domyślam się, że znasz te wierzenia. Egipcjanie i Chińczycy, alchemia w Europie i tak dalej. Przejdę więc od razu do Rhine'a. Żył w twoich czasach. Badał zjawiska parapsychiczne. Słyszałeś o nim?

- Pewnie. Co odkrył?

- Ściśle mówiąc, nic. Ale wywołał zainteresowanie tym problemem. Potem Kralski z Wilna popchnął sprawę naprzód. Gdzieś około 1987 roku. Następnie pracował nad tym von Leddner. Sformułował ogólną teorię życia po śmierci, ale nie dostarczył żadnych dowodów. Wreszcie przyszedł czas na profesora Michaela Vanninga. Zebrał wszystkie dotychczasowe wyniki i stworzył spójną teorię na ten temat. A przede wszystkim - udowodnił istnienie życia po śmierci. Skontaktował się z duchami, rozmawiał z nimi, nagrywał je i tak dalej. Rozpętało to dyskusję, pobudziło wiele ruchów religijnych. Wrzawa ogromna. Pewien znany profesor z Harvardu, James Archer Flynn, zaprzeczył wynikom badań. Stwierdził, że są sfabrykowane. Kłócili się z Vanningiem przez wiele lat. Gdy Vanning zestarzał się, postanowił udowodnić całemu światu, że się nie myli. Przygotował różne słowa-klucze, mające wskazać miejsce, gdzie skrył przedmioty i obiecywał, że po śmierci poda odpowiednie dane, umożliwiające odszukanie ich. Innymi słowy, obiecał, że powróci, podobnie jak

Houdini, który nie dotrzymał słowa. Następnie...

- Przepraszam, że przerywam - wtrącił się Blaine - ale jeśli jest rzeczywiście życie po śmierci, czemu Houdini nie wrócił?

- Odpowiedź jest prosta, ale wyjaśnię ci to w swoim czasie. W każdym razie Vanning zabił siebie, zostawiając długi list pożegnalny, w którym napisał o nieśmiertelnej duszy człowieka i nieuniknionym rozwoju rasy ludzkiej. Można przeczytać go w prawie każdej antologii na ten temat. Później odkryto, że list ten był napisany przez ducha, ale to już inna historia. Na czym skończyłem?

- Na jego samobójstwie.

- Tak. I wyobraź sobie, po śmierci skontaktował się z profesorem Jamesem Archerem Flynnem, podał odpowiednie informacje i wszystko pasowało. Życie po śmierci rzeczywiście istnieje! - Melhill przeciągnął się. - Instytut Vanninga ostrzegł wszystkich, żeby nie wpadać w histerię. Ale nic to nie dało. Następne piętnaście lat przeszło do historii pod nazwą "szalone lata czterdzieste" - zwilżył wargi. - Szkoda, że mnie wtedy nie było na świecie. Wszyscy zaczęli żyć pełną piersią. "Nieważne co robisz: jesteś mordercą czy biskupem - na każdego czeka ciepłe miejsce w niebie" - głośzono z katedr. A więc cieszcie się życiem, chłopcy i dziewczęta, korzystajcie z tego, co daje wam ciało, albowiem po śmierci zostanieie go pozbawieni. I wszyscy ochoczo zaczęli się do tej filozofii stosować. Powstała nowa religia: "Realizacja". Jej wyznawcy głosili, że powinno się doświadczać wszystkiego, bez względu na to, czy coś jest dobre czy złe, ponieważ życie po śmierci odwołuje się do doświadczeń człowieka. Innymi słowy: czego nie zaznałeś na ziemi, nie przeżyjesz po śmierci. Zaspokój więc każde pragnienie, wykorzystaj każdy pomysł - nieważne czy etyczny. Żyj na najwyższych obrotach, umrzyj w sposób niekonwencjonalny. Świat dostał bzika. Fanatycy skupili się w klubach tortur, napisano encyklopedię na temat bólu, kolekcjonowano metody torturowania tak, jak gospodyni domowa zbiera przepisy potraw. Na każdym spotkaniu jeden z członków na ochotnika zgłaszał się na ofiarę. Pozostali w najbardziej wyszukany sposób zadreęczali go na śmierć. Chcieli doświadczyć wszystkiego, co było możliwe w dziedzinie przyjemności i bólu. Podejrzewam, że im się to udało - przetarł czoło. - Trochę interesowałem się tamtymi czasami.

- Domyślałem się tego - odpowiedział Blaine.

- Jest to interesująca epoka. Ale pewnego dnia nastąpił przełom. Przez ten cały czas Instytut Vanninga nie ustawał w przeprowadzeniu badań. Gdzieś około 2050 roku, w szczytowym okresie szalonych lat,

ogłosił wynik swoich dociekań. Potwierdzili istnienie wieczności - ale nie dla wszystkich.

Blaine spojrział zdziwiony, ale nie odezwał się ani słowem.

- Prawdziwy wstrząs. Ogłosili, że mają dowody wskazujące, iż tylko jedna osoba na milion przeżywa śmierć. Pozostałe po prostu umierają wraz z ciałem. Bach - i nie ma nic. Żadnego życia po śmierci. NIC.

- Dlaczego?

- Cóż, Tom. Gdybyś zapytał mnie, jak odbywają się loty kosmiczne, to mógłbym ci coś wyjaśnić, ale to nie jest moja działka - potarł czoło. - To, co przeżywa po śmierci lub też nie - to jest Myśl. Przez tysiące lat ludzie spierali się o to, czym jest świadomość, w jaki sposób odbywa się współpraca pomiędzy nią a ciałem. Do tej pory nie wiemy jeszcze wszystkiego, ale sformułowano szereg roboczych definicji. Obecnie uważa się, że myśl jest siatką energetyczną o wysokim napięciu, modyfikowaną przez ciało i modyfikującą je. Załapałeś?

- Myślę, że tak.

- Tak jak ja to rozumiem, myśl i ciało są złączone i wpływają na siebie. Ale myśl, świadomość może istnieć niezależnie od ciała. Zgodnie z tym co głoszą uczeni, niezależna myśl jest następnym etapem ewolucji. Twierdzą, że za miliony lat nie będziemy potrzebowali ciała, no, być może tylko do krótkiego okresu inkubacji. Osobiście, nie sądzę, że przetrwamy tak długo. I, cholera, nie zasługujemy na to.

- Zgadzam się z tobą, ale powróćmy do tematu.

- Mamy więc wysoce energetyczną sieć. Gdy ciało umiera, powinna ona odłączyć się od niego i egzystować samodzielnie, jak motyl wyłaniający się z poczwarki. Ale niestety, nie odbywa się to tak łatwo z powodu urazu wywołanego śmiercią. Część naukowców uważa, że uraz ten jest spowodowany niedoskonałością mechanizmu, mającego uwolnić psychikę od ciała. Ten proces

odbywa się zbyt gwałtownie, śmierć jest szokiem psychicznym, w rezultacie więc dochodzi do uszkodzenia siatki energetycznej i śmierci. Całkowitej.

- Dlatego więc nie wrócił Houdini - stwierdził Blaine.

- On i wielu innych. Ludźmi wstrząsnęła wizja nieodwracalnej śmierci i tak skończyły się szalone lata czterdzieste. W Instytucie Vanninga nie przerywano badań tym razem zajęto się dorobkiem niektórych religii Wschodu. Przeczuwano w nich, o co chodzi. Wzmacniano psychikę. Tego chciano się nauczyć w instytucie: sposobu wzmocnienia siatki energetycznej do tego stopnia, żeby potrafiła przetrwać śmierć.

- Udało im się?

- Tak. Mniej więcej w tym czasie zmienili nazwę na Korporację "Zaświaty".

Blaine skinął głową.

- Przechodziłem koło ich budynku. Zaczekaj! Powiedziałeś, że ratują psychikę wzmacniając ją i tak dalej. A więc nikt teraz nie umiera?

Melhill uśmiechnął się sardonicznie.

- Nie rozumij jak ciemniak. Myślisz, że dają nieśmiertelność za darmo? Dokonują skomplikowanych, kompleksowych zabiegów elektrochemicznych i uważają, że coś im się za to należy. I to dużo.

- A więc tylko bogaci idą do nieba.

- Dziwisz się? Przecież byle kto nie ma prawa się tam znaleźć.

- Tak, tak... Czyż nie można osiągnąć wzmocnienia psychiki w inny sposób? A joga, zen?

- Dają pewne rezultaty. Przeprowadzono co najmniej tuzin badań rządowych, można uczestniczyć w domowych kursach. Problem polega na tym, że są to metody, które dają efekty po jakichś dwudziestu latach treningu. To nie dla przeciętnych ludzi. W rezultacie - bez odpowiedniego przygotowania w korporacji - jesteś martwy.

- Czy tylko korporacja ma odpowiednie urządzenia?

- Jeszcze Akademia "Po życiu" i spółka "Niebiosy", ale cenią się równie wysoko. Rząd chciałby zmienić tę sytuację, nam to jednak niewiele pomoże.

- Niestety, masz rację - powiedział ponuro Blaine. Przez chwilę czuł ulgę. Zniknął strach przed śmiercią. Zamiast niego pojawiła się racjonalna pewność, że będzie żył jeszcze długo po rozstaniu się z ciałem. Świadomość możliwości nieograniczonego rozwoju, przebiegającego niezależnie od przypadkowego częstokroć ciała, oszołomił go. Ale dalsze słowa Melhilla rozwiały jego nadzieje. Czuł się, jakby obcięto mu skrzydła.

- A co z reinkarnacją, żywicielami?

- Powinieneś o tym wiedzieć. Przecież ty sam zostałeś reinkarnowany i teraz korzystasz z żywiciela. Nie ma trudności w przenoszeniu świadomości. Transplantacja polega na chwilowym wtargnięciu do czyjegoś mózgu, ale bez żadnych zakłóceń. Żywiciel staje się własnością reinkarnowanego. Oryginalna psychika zostaje usunięta, lecz gdy psychika usiłuje zawładnąć ciałem żywiciela, ponosi pewne ryzyko. Czasem nie jest w stanie zapanować nad nim - i niszczy siebie, ponawiając bezskuteczne próby. Jeśli wcale nie wejdzie do żywiciela, to często nie udaje się jej w ogóle przetrwać. Podczas reinkarnacji nie zawsze występują warunki umożliwiające przejście w stan życia po śmierci.

Blaine zrozumiał, dlaczego Marie Thorne uważała, że dla Reilly'ego lepiej byłoby, by umarł.

- Dlaczego ci, którzy mają zapewnione życie po śmierci, chcą się poddać reinkarnacji? - zapytał Melhilla.

- Ponieważ niektórzy starszycy boją się śmierci. Nie wiedzą nic pewnego o wieczności. A tu na ziemi mają władzę i pieniądze, mnóstwo ludzi na usługi. Kupują więc ciała legalnie. lub - jeśli nie mogą znaleźć czegoś odpowiedniego - idą na czarny rynek.

- Ciała na wolnym rynku są ofiarowywane dobrowolnie?

Melhill przytaknął.

- Ale kto sprzeda swoje ciało?!

- Biedacy, oczywiście. W zamian, według przepisów, powinni otrzymać nieśmiertelność. W rzeczywistości zadowolają się tym, co ktoś zechce dać.

- Kretyni.

- Tak myślisz? Obecnie - zresztą tak było zawsze - świat jest pełen chorych, mało zaradnych, tępych ludzi, których jedynym bogactwem jest ich ciało. Przypuśćmy, że mają kogoś na utrzymaniu. W dawnych czasach nie mieliby co sprzedać, aby zapewnić im byt. Teraz - przynajmniej mają swoje ciała.

- Być może. Ale ja nigdy nie pójdę w ich ślady. Nie sprzedam swojego.

Melhill wybuchnął śmiechem.



- Zabawny z ciebie facet. Ależ Tom, nikt ciebie nie będzie prosił. Wezmą je od ciebie nie dając ani centa.

Blaine nie mógł znaleźć stosownej odpowiedzi.

7

Czas mijał powoli. Dostali książki i gazety. Karmiono ich często i obficie. Ich bardzo cenne ciała nie mogły wszak stracić na wartości. W związku z tym potrawy podawane były w papierowych naczyniach. Nawet to, że przebywali razem, zawdzięczać mogli jedynie wartości swoich ciał. Stwierdzono wcześniej, że samotnie przetrzymywani osobnicy czasem dostawali obłądu, a to niszczyło cenne komórki mózgowe. Co więcej: nakłaniano ich, aby gimnastykowali mięśnie. Przyszły właściciel powinien być maksymalnie zadowolony z nabytku.

Blaine zaczynał cenić swoje ciało. Podczas ćwiczeń odczuwał prawdziwą przyjemność i podziw dla jego możliwości. Doszedł do wniosku, że otrzymał wspaniałe ciało, godne dumy. Nawet jeśli pozbawione było wdzięku, posiadało szereg zalet nie do pogardzenia. Z pewnością nie miało skłonności do kataru siennego, a jego zęby pozostawały w najlepszym porządku. Szkoda, że tak krótko miało mu służyć! Nie było to ciało, którego pozbyć się można z lekkim sercem.

\* \* \*

Pewnego dnia, tuż po kolejnym posiłku, w ścianie pojawił się otwór. Ukazał się w nim Carl Orc, chroniony stalową kratą.

- Hej - powiedział wysoki, smukły, pozornie prostolinijny Orc. - Jak się miewa mój koleś z Brazylii?

- Ty sukinsynie - odpowiedział Blaine, czując, że nie jest to adekwatne słowo.

- Tylko tacy mają się dobrze - usłyszał w odpowiedzi. - Nie bywacie głodni?

- Ty i twoje rancho w Arizonie!

- Dzierżawię je i zamierzam osiąść tam, gdy już przejdę na emeryturę. Będę hodował rośliny, przystosowane do warunków półpustynnych. Wydaje mi się, że wiem więcej o Arizonie niż wielu tamtejszych mieszkańców. Ale rancho wymaga nakładów. Ubezpieczenie na życie po śmierci również. Każdy stara się, jak może.

- Hiena również.

Orc westchnął głęboko.

- Cóż, interesy zawsze zostaną interesami. Podejrzewam, że mój nie jest gorszy od kilku innych. Świat, w którym żyjemy, jest podły i okrutny. Pewnie, gdy już będę na rancho, pewnego dnia poczuję skruchę i żal.

- Nie dożyjesz tego dnia - powiedział Blaine.

- Czyżby?

- Pewnej nocy ktoś spostrzeże, że podtruwasz mu napój. Skończysz życie w rynsztoku z rozłupanym łbem. I taki będzie twój koniec.

- Jedynie mojego ciała - skorygował Orc. - W tym czasie moja dusza pomaszeruje do świetlanej krainy. Zapłaciłem, gdzie trzeba i kupiłem sobie niebo.

- Nie zasługujesz na to!

Orc parsknął śmiechem. Nawet Melhill nie był w stanie powstrzymać się od uśmiechu.

- Mój biedny przyjacielu, nikt się tym nie przejmuje. Powinieneś wiedzieć nie od dziś, że życie wieczne nie należy do słabeuszy i mięczaków, bez względu na to, ile są warci. Tylko spryciarze z kieszeniami pełnymi mamony, umiejący dobrze urządzić się w tym życiu, załatwiają sobie nieśmiertelność.

- Nie wierzę! To nieuczciwe, to niesprawiedliwe!

- Jesteś idealistą - powiedział Orc, patrząc na niego z zainteresowaniem, jakby miał przed sobą ostatniego przedstawiciela gatunku moa.

- Możesz mnie nazywać, jak chcesz, ale jestem pewny, że nawet jeśli osiągniesz życie wieczne, to znajdzie się tam dla ciebie mały kącik pełen ognia!

- Żadne naukowe badania nie potwierdzają istnienia piekła. Zbyt mało jednak wiemy o tamtej krainie.

Może będę płonął. Może nawet powstała tam fabryczka, w której posklejają twoją roztrzaskaną psychikę... Ale skończmy kłótnię. Przykro mi, nadeszła już pora.

Orc zniknął. Krata otworzyła się, wpuszczając pięciu mężczyzn.

- Nie! - krzyknął Melhill.

Skupili się wokół kosmonauty. Unikając sprawnie jego ciosów, obezwładnili go i zakneblowali.

Gdy szykowali się do wyjścia z Melhillem z pokoju, w drzwiach pojawił się Orc.

- Puśćcie go - rozkazał. - Półgłówki, pomyliliście ludzi. Chodziło o tego - wskazał na Blaine'a.

Blaine, który już przygotował się psychicznie do straty przyjaciela, był zupełnie zaskoczony. Zanim zdążył otrząsnąć się i przygotować do obrony, już było po wszystkim.

- Przykro mi - powiedział Orc, gdy wyprowadzano Blaine'a. - Klient zażyczył sobie ciała dokładnie takiego jak twoje.

Blaine odzyskał nagle siły, próbował się wyrwać.

- Zabiję ciebie! - krzyknął w stronę Orca. - Przysięgam, że zabiję!

- Nie uszkodźcie go - powiedział Orc do zachowujących się obojętnie mężczyzn.

Jakąś szmatą zakryto mu usta i nos. Poczul słodki zapach. Chloroform. Gasnącymi oczami zobaczył

poszarzała twarz Melhilla, patrzącego przez kratę drzwi.

8

Po odzyskaniu przytomności najpierw sprawdził, czy wciąż jest Thomasem Blaine'em, czy nadal ma swoje ciało. Wszystko było w porządku. Na razie zabiegu nie przeprowadzono.

Leżał ubrany na dywanie. Po chwili usiadł. Ktoś zbliżył się do drzwi. Chyba przecenili wpływ chloroformu na jego ciało. Nadal ma szansę!

Stał przy framudze. Drzwi otworzyły się i ktoś wszedł szybkim krokiem do środka. Blaine doskoczył i zadał cios.

Próbował w trakcie osłabić siłę uderzenia, zmienić jego kierunek, ale na próżno: uderzona w szczękę Marie Thorne upadła bezwładnie na ziemię.

Przeniósł ją na dywan. Po kilku minutach ocknęła się. Poczuł na sobie jej wzrok.

- Blaine, jest pan kretynek.

- Nie wiedziałem, kto idzie - odpowiedział. Już w chwili, gdy to mówił, zdał sobie sprawę z tego, że kłamie. Rozpoznał ją dostatecznie wcześniej, ale wypełniała go wówczas jakaś wściekłość i nie dbał o konsekwencje. Czuł prawdziwą przyjemność, że może znokautować chłodną i powściągliwą Mañe Thorne. Uzmysłował sobie, że jest w nim coś, co wymyka się spod kontroli.

- Pani Thorne, dla kogo wykupiła pani znoje ciało?

Spojrzała na niego.

- Dla pana, skoro najwyraźniej nie potrafi pan sam o nie zadbać.

Jeśli tak, ma jeszcze przed sobą kawałek życia. Żaden gruby, obleśny staruch nie zawładnie jego ciałem. Wspaniale! Chciał żyć. Wolałby to jednak zawdzięczać komu innemu.

- Mógłbym lepiej sobie radzić, gdybym został zaznajomiony z tym światem.

- Zamierzałam wszystko wyjaśnić. Dlaczego pan nie poczekał?

- Po tym, jak mnie pani potraktowała?

- Przepraszam, jeśli byłam zbyt szorstka. Przygnębiła mnie decyzja pana Reilly'ego, dotycząca odwołania kampanii reklamowej. Ale czy pan nie rozumie? Gdybym była mężczyzną...

- Ale pani nie jest - przypomniał.

- Co za różnica? Podejrzewam, że ma pan przestarzałe poglądy na temat roli i miejsca kobiet.

- Nie sędę, że są przestarzałe.

- Oczywiście - wskazała na lekko zaczerwienione i trochę opuchnięte miejsce na szczęce. - No cóż, czy wyrównaliśmy rachunki? A może chciałby pan uderzyć mnie ponownie?

- Dziękuję, raz wystarczy.

Stała, niezbyt pewnie trzymając się na nogach. Objął ją ramieniem i momentalnie zmieszał się. Zawsze wyobrażał sobie, że jest wysportowana, o ciele twardym jak ze stali. Niespodziewanie odkrył, że trzyma w ramionach elastyczną miękkość. Patrzył na nią z tak bliska, że wyraźnie widział niesforne włoski, wymykające się z gładko zaczesanych pasm i mały pieprzyk na czole, tuż przy linii włosów. W jednej chwili Marie Thorne z niezbyt realnej postaci zmieniła się w ludzką istotę.

- Mogę stać bez pomocy - usłyszał.

Dopiero po dłuższej chwili opuścił rękę.

- Biorąc pod uwagę okoliczności - patrzyła na niego stanowczo - uważam, że nasze stosunki nie powinny wykraczać poza sferę ściśle oficjalną.

Jedno zaskoczenie po drugim. Ona również zaczęła widzieć w nim człowieka. Co więcej - dostrzegła, że jest mężczyzną, i to nią wstrząsnęło. Fakt ten sprawił mu dużą przyjemność, lecz nie dlatego (przynajmniej chciał, by tak było), że podobała mu się, czy pragnął jej. Ale dlatego, że zachwiał jej równowagę, zrobił rysę w pancerzu, który nosiła.

- Proszę bardzo, pani Thorne - odpowiedział.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Szczerze mówiąc, nie jest pan w moim typie.

- A jaki jest pani typ?

- Lubię wysokich, szczupłych mężczyzn, posiadających pewien wdzięk, obytych i wyrafinowanych.

- Ale...

- Czy pójdziemy na lunch? - zmieniła temat. - Poza tym, pan Reilly chciałby zamienić z panem kilka słów. Sądzę, że przedstawi jakąś propozycję.

Wyszedł za nią z pokoju, czyniąc sobie wyrzuty. Czy czasem nie drwiła sobie z niego? Wysoki, szczupły, pełen wdzięku, wyrafinowany mężczyzna. Cholera, taki przecież był! Wciąż jest w środku tej góry mięśni. Gdzie ona ma oczy! Już dawno powinna to sama zauważyć!

No i kto tu kogo wyprowadził z równowagi...

\* \* \*

Gdy siedzieli za stołem w stołówce u Rexa, Blaine nagle przypomniał sobie.

- Melhill!



- O co chodzi?

- Mówię o Rayu Melhillu. Zamknięto go wraz ze mną. Pani Thorne, czy nie mogłaby go pani wykupić? Zwrócę pieniądze najszybciej, jak to będzie możliwe. Siedzieliśmy z nim w jednym pomieszczeniu. To cholernie miły facet.

Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Odeszła. Blaine czekał zaciskając dłonie. Tak by chciał, żeby między nimi znajdowała się teraz szyja Orca! Marie Thorne wróciła po kilku minutach.

- Jest mi naprawdę przykro. Rozmawiałam z Orcem. Pan Melhill został sprzedany pół godziny później. Naprawdę jest mi przykro. Nie wiedziałam...

- W porządku - przerwał jej. - Zdaje mi się, że mam ochotę się napić.

Pan Reilly, mimo że siedział wyprostowany, nieomal ginał w przepastnym fotelu, przypominającym miękki tron. Był drobnym, łysym, starym człowiekiem upodabniającym się powoli do pająka. Wyszuszonej skóra ciasno opinała czaszkę, wyraźnie widać było zarys kości. Zdawało się, że krew bardzo leniwie płynie napuchłymi żyłami, w każdej chwili mogąc wstrzymać bieg. Mimo tych oznak starości, Reilly w niczym nie przypominał śliniącego się starucha. Wprost przeciwnie, z pomarszczonej, jakby małpiej twarzy patrzyły bystre oczy.

- A więc to jest nasz człowiek z przeszłości - powitał ich jego głos. - Proszę usiąść, sir. Właśnie rozmawiałem o panu z dziadkiem.

Blaine rzucił wzrokiem dookoła, jakby spodziewał się zobaczyć nieżyjącego od pięćdziesięciu lat mężczyznę, świecącego gdzieś w pobliżu. Ale w wysokim, bogato udekorowanym pokoju nic nie wskazywało na jego pobyt.

- Odszedł - wyjaśnił Reilly. - Kochany dziadek nie może długo trwać w postaci ektoplazmy. Ale i tak jest lepszy niż wiele innych duchów.

Na twarzy Blaine'a musiał się pojawić dziwny grymas, gdyż Reilly zapytał:

- Pan nie wierzy w duchy?

- Obawiam się, że nie.

- To naturalne. Przypuszczam, że to słowo kojarzy się panu z dwudziestowiecznymi przesadami i bajkami: szkielety, pogrążające łańcuchy i inne głupstwa. Ale znaczenie słów ulega zmianie.

- Tak, rozumiem - odpowiedział uprzejmie Blaine.

- Uważa pan, że plotę banialuki - powiedział dobrodusznie Reilly. - A tak nie jest. Niech pan weźmie

pod uwagę zmiany, jakie zaszły w znaczeniu słów w ciągu pańskiego wieku. Na przykład słowo "atom" było nadużywane w science fiction, lecz dla przeciętnego człowieka znaczyło ono niewiele. Podobnie jak pan ignoruje słowo "duch". A jednak kilka lat później ludzie zaczęli przywiązywać wagę do słowa "atom" - kojarzyło się im z czymś bardzo realnym, stanowiło zagrożenie. Nikt nie mógł go już ignorować! - uśmiechnął się. - Promieniowanie przestało być terminem pojawiającym się tylko w nudnych, naukowych książkach. "Choroba przestrzeni kosmicznej" w pańskich czasach nie budziłaby żadnych emocji, ale pięćdziesiąt lat później szpitale wypełniły się poskręcanyimi ciałami. Słowa zmieniają swoje znaczenie: wychodzą poza język akademicki i zaczynają żyć w umysłach ludzi, zatracając abstrakcyjny charakter. Zdarza się to zawsze, gdy teoria staje się praktyką.

- A duchy?

- To podobny proces. Panie Blaine, jest pan staroświecki! Powinien pan zmienić swoją koncepcję świata.

- To będzie trudne.

- Ale konieczne. Niech pan zauważy, że zawsze istniały pewne przesłanki świadczące o ich istnieniu. A kiedy życie po śmierci zostało udowodnione naukowo - przestając tym samym być jedynie mrzonką - duchy również stały się faktem.

- Sądzę, że wpierw bym musiał któregoś zobaczyć odpowiedział Blaine.

- Niewątpliwie dojdzie i do tego. Ale skończmy ten temat. Niech mi pan powie, jak podobają się panu nasze czasy?

- Jak dotąd - nie bardzo. Reilly zachichotał rozbawiony.

- Nie powie pan nic miłego na temat porwaczy ciał? Nie powinien był pan opuszczać budynku. Leżało to w interesie nie tylko pana, ale i naszym.

- Przepraszam, panie Reilly - wtrąciła Marie Thorne. - Ale jest to wyłącznie moja wina.

Reilly spojrzał na nią, potem ponownie zwrócił się do Blaine'a.

- Przykre, oczywiście. Powinien pan, szczerze mówiąc, wrócić do 1958 roku i dopełnić swego przeznaczenia. Pańska obecność tutaj jest w pewnym stopniu kłopotliwa.

- Ubolewam nad tym.

- Niestety, chyba poniewczasie, wspólnie z dziadkiem doszliśmy do wniosku, aby nie wykorzystywać pana publicznie. Ta decyzja powinna zapaść o wiele wcześniej. Pomimo naszych chęci może jednak dojść do rozgłosu. Jest bardzo prawdopodobne, że rząd podejmie działanie, skierowane przeciw korporacji.

- Sir - ponownie wtrąciła Marie Thorne - adwokaci są pewni, że nie mamy się czego obawiać.

- Och, oczywiście, nie zamkną nas w więzieniu. Ale weźmy pod uwagę rozgłos towarzyszący sprawie. Skandal! Rex musi być odbierany jako odpowiedzialna, poważna instytucja. Skandal wywoła insynuacje, że omijamy przepisy prawa... Nie, pan Blaine nie powinien przebywać tutaj jako żywy dowód popełnionego błędu. Dlatego chciałbym przedstawić panu swoją propozycję.

- Słucham.

- Przypuśćmy, że Rex wykupiłby panu ubezpieczenie na życie po śmierci. Czy zgodziłby się pan popełnić samobójstwo?

Blaine przez chwilę patrzył osłupiały.

- Nie.

- Dlaczego? - zapytał Reilly.

Przez chwilę przyczyny wydały mu się oczywiste. Kto, jaka istota chciałaby odebrać sobie życie? Na nieszczęście, niektórzy zdobywają się na to. Uporządkował swoje myśli.

- Przede wszystkim - nie jestem na sto procent przekonany o istnieniu zaświatów.

- Przypuśćmy, że uda się pana przekonać. Czy wtedy popełni pan samobójstwo?

- Nie!

- Pan jest krótkowzroczny! Niech pan weźmie pod uwagę swoją sytuację. Świat, w którym pan teraz żyje, jest dla pana obcy, groźny. Nie jest źródłem niczego przyjemnego. W jakim zawodzie zamierza pan pracować? Z kim pan nawiąże znajomość? O czym będzie pan rozmawiał? Nawet spacer po ulicy okazał się dla pana niebezpieczną przygodą!

- Taka sytuacja nie powtórzy się. Nie byłem jeszcze zorientowany w panujących tu zwyczajach.

- Ależ w każdej chwili może dojść do zagrożenia pańskiego życia. Nigdy nie pozna pan dostatecznie dobrze naszych czasów. Nie kłamie! Jest pan w takim samym położeniu, jak jaskiniowiec przeniesiony do dwudziestego wieku. Pewnie wspaniale sobie radził z mastodontami czy niedźwiedziami jaskiniowym, być może jakaś dobra dusza ostrzeże go przed gangsterami. Ale czy mu w tym pomoże? Czy dzięki temu uda mu się uniknąć przejechania przez samochód, wpadnięcia pod pociąg, zatrucia gazem czy skręcenia karku w wannie? Nic nie jest w stanie zastąpić doświadczenia, które zdobywa człowiek wychowując się w określonej cywilizacji. A przecież nawet najlepiej przystosowanym ludziom zdarza się chwila nieuwagi, którą przyplacają życiem. Cóż więc dopiero mówić o jaskiniowcu.

- Pan przecenia niebezpieczeństwo. - Blaine poczuł, że na jego czole zaczynają zbierać się drobne kropelki potu.

- Czyżby? Niebezpieczeństwo, na jakie jesteśmy narażeni w lesie, jest niczym wobec tego, które grozi nam w wielkim mieście. A gdy miasto rozrośnie się do wielkości molocha...

- Nie popełnię samobójstwa. Chcę zaryzykować. Skończmy rozmowę na ten temat.

- Dlaczego jest pan tak nieodpowiedzialny? - zapytał rozdrażnionym głosem Reilly. - Niech pan zabije siebie teraz. Przynajmniej oszczędzi to nam całej masy kłopotów. Skoro pan nie zastanowił się nad tym, sam przedstawię pańskie perspektywy. Być może szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dzięki instynktowi przeżyje pan rok. No, może dwa. Bez znaczenia. Wcześniej czy później i tak popełni pan samobójstwo. Należy pan do tego typu ludzi. To pańskie przeznaczenie - od pierwszej chwili życia. Zabije się pan na pewno, ale choć z ulgą opuści pan ciało, to jednak nie dostanie się do wieczności.

- Pan zwariował! - krzyknął Blaine.

- Nigdy się nie myłę w ocenie skłonności samobójczych - usłyszał spokojny głos. - Zawsze trafiam. Zresztą dziadek jest podobnego zdania. Tak więc, jeśli tylko...

- Nie. Nie odbiorę sobie życia. Obawiam się, że nie pozostaje panu nic innego, jak wynajęcie płatnego mordercy.

- Nie jestem człowiekiem tego pokroju. Nie chcę naciskać na pana. Ale zapraszam na moją reinkarnację. Dziś po południu. Zetknie się pan na moment z wiecznością. Być może zmieni pan zdanie.

Blaine wahał się. Na twarzy starca pojawił się uśmiech.

- Przymierzam, że nie będzie to dla pana niebezpieczne. Kupiłem swego żywiciela wiele miesięcy temu, bynajmniej nie na czarnym rynku. Szczerze mówiąc, nie czułbym się dobrze w czymś tak solidnie umięśnionym.

Rozmowa dobiegła końca. Marie Thorne wyprowadziła Blaine'a.

10

Pomieszczenie reinkarnacyjne przypominało salę widowiskową małego teatru. Blaine przypuszczał, że w zwykły dzień odbywają się tu konferencje i kursy dla kierownictwa spółki.

Teraz znajdowało się tu niewiele starannie dobranych ludzi. Pięciu mężczyzn w średnim wieku, z zarządu Rexa, zajęło fotele w ostatnim rzędzie. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Niedaleko nich siedział sekretarz z notatnikiem w ręku. Blaine i Marie Thorne usiedli z przodu, jak najdalej od grupy z tyłu.

Na rzęsiście oświetlonym podwyższeniu ustawiono aparaturę do reinkarnacji. Składała się z dwóch foteli obwieszonych przewodami, które biegły do dużej, czarnej metalowej skrzyni. Blaine nie mógł pozbyć się wrażenia, że za chwilę weźmie udział w egzekucji. Kilku ludzi z obsługi manipulowało przy skrzyni. Obok nich stał stary brodaty doktor i jego kolega o czerwonej twarzy.

Pan Reilly wszedł na podium, lekko skinął głową zgromadzonym i usiadł w jednym z foteli. Za nim wszedł mężczyzna około czterdziestki. Na jego pobladłej twarzy malowało się rozpaczliwe zdeterminowanie. To miał być przyszły żywiciel Reilly'ego. Usiadł na drugim fotelu, rzucił wzrokiem na obecnych, potem opuścił oczy. Wyglądał na zmieszanego. Na jego górnej wardze pojawiły się krople potu. Podobnie jak Reilly udawał, że nie dostrzega swego partnera.

Na podium ukazał się kolejny mężczyzna. Był łysy, ubrany w czarny garnitur, pod szyją miał koloratkę. Trzymał w ręku małą książkę w czarnych okładkach. Zaczął rozmawiać szeptem z mężczyznami siedzącymi w fotelach.

- Kto to? - zapytał Blaine.

- Ojciec James - odpowiedziała Marie Thorne duchowny z Kościoła Życia Pozagrobowego.

- Co to jest?

- Nowa religia. Słyszałeś o szalonych latach czterdziestych? Wtedy to przed kościołami stanął ważny problem do rozstrzygnięcia - ustosunkowanie się do życia po śmierci.

\* \* \*

Głównie chodziło o określenie statusu wieczności. Sytuacja uległa pogorszeniu, gdy Korporacja "Zaświaty" ogłosiła wyniki badań naukowych na ten temat. Choć starano się w publikacjach nie poruszać problematyki związanej z poglądami religijnymi, to jednak większość hierarchii kościelnych poczuła się urażona. Stwierdzono, że naukowcy przekroczyli swoje kompetencje.



Korporacja - świadomie lub nie - przyczyniła się do powstania nowego poglądu na życie po śmierci, pozostającego w sprzeczności z nauką kościołów. Głosiła, że zbawienia nie osiąga się dzięki moralnym, religijnym czy etycznym wartościom, ale dzięki bezosobowej aparaturze, nie selekcjonującej ludzi pod żadnym względem. W całym świecie odbywały się synody i kongresy. Na części z nich uchwalono, że to, co odkryto w wyniku badań naukowych, nie jest niebem, zbawieniem, nirwaną czy rajem - ponieważ nie dotyczy duszy. Psychika - jak twierdzili - nie jest jednoznaczna z duszą, ta druga nie wchodzi nawet w skład psychiki. Oczywiście, nauka odkryła sposób na przedłużanie egzystencji jakiejś części człowieka, ale te badania nie mają nic wspólnego z duszą i w związku z tym nie podważają wierzeń religijnych.

\* \* \*

- Zdaje się, że rozumiem o co chodzi. Starali się pogodzić naukę z dotychczasowymi wierzeniami. Ale czy tok ich rozumowania nie był zbyt skomplikowany dla zwykłych ludzi?

- Tak. Mimo że starali się wyjaśniać swój punkt widzenia jak najprościej, o wiele prościej ode mnie, przytaczali mnóstwo analogii. Inni w ogóle odrzucili wyniki badań naukowych, uznając je za błędne, za dzieło szatana. A jedna sekta rozwiązała ten problem ogłaszając, że dusza jest częścią psychiki.

- Podejrzewam, że właśnie wtedy doszło do powstania Kościoła Życia Pozagrobowego?

- Ma pan rację. Oddzielili się od innych religii. Według nich życie po śmierci jest ponownym narodzeniem się duszy, bez względu na przesłanki potwierdzające tę teorię lub też ją obalające.

- Coś przystającego do waszych czasów. Ale moralność...

- Z ich punktu widzenia wcale nie przekraczają nakazów moralności. Uważają, że moralny jest ten, kto po pierwsze dobrze egzystuje w społeczeństwie, a po drugie potrafi zapewnić sobie powodzenie.

Blaine nie miał odwagi kontynuować rozmowy na ten temat.

- Przypuszczam, że są popularni?

- Tak.

Chciał zapytać o coś więcej, ale w sali rozległ się głos Jamesa.

- Williamie Fitzsimmons - skierował się ku przyszłemu żywicielowi. - Czy znalazłeś się w tym miejscu z własnej, nieprzymuszonej woli, aby zakończyć egzystencję ziemską i zacząć nową, duchową?

- Tak, ojciec - wyszeptał bladymi wargami Fitzsimmons.

- Czy dokonano odpowiednich przygotowań umożliwiających ci tę egzystencję?

- Tak, ojciec.

Duchowny odwrócił się w stronę Reilly'ego.

- Kennethcie Reilly, czy znalazłeś się w tym miejscu z własnej, nieprzymuszonej woli, aby kontynuować swoją egzystencję na ziemi w ciele Williama Fitzsimmonsa?

- Tak, ojciec - powiedział z naciskiem Reilly.

- Czy sprawiłeś, by William Fitzsimmons dostał życia w wieczności, czy przekazałeś odpowiednią sumę na rzecz jego spadkobierców i opłaciłeś podatki związane z tymi transakcjami?

- Tak, ojciec.

- A więc rzeczy mają się następująco: nie dochodzi do żadnej zbrodni, tak w oczach prawa państwowego, jak i religijnego. Nie jesteśmy świadkami utraty życia, gdyż William Fitzsimmons będzie od dzisiaj przebywał w niebiosach, gdy Kenneth Reilly, zmieniając ciało, będzie kontynuował swoje ziemskie życie. Niech stanie się reinkarnacja!

Blaine miał wrażenie, że bierze udział w ceremonii przypominającej osobliwą mieszankę ślubu i egzekucji. Uśmiechnięty duchowny zniknął z podium. Ludzie z obsługi zajęli się obydwojma mężczyznami, sprawnie podłączyli elektrody.

Zapadła cisza. Część obecnych pochyliła się do przodu, w natężonym oczekiwaniu.

- Zaczynajcie - powiedział Reilly, patrząc na Blaine'a i uśmiechając się lekko.

Główny inżynier przekręcił pokrętko. Czarna skrzynia zabuczała głośno. Obydwaj mężczyźni drgnęli konwulsyjnie w swoich fotelach, potem ich ciała opadły bezwładnie.

- No i zamordowali tego biedaczynę, Fitzsimmonsa szepnął Blaine.

- Ten biedaczyna - odezwała się Marie Thorne doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Miał trzydzieści siedem lat i nic mu w życiu się nie udawało. Nie umiał zapewnić sobie pracy, mierne dochody nie wystarczały na nic. W żadnym wypadku nie mógł liczyć na życie pośmiertne. Wykorzystał swoją szansę. Co więcej - jego żona i pięcioro dzieci, dotychczas żyjący w nędzy,

dzięki sumie, jaką wpłacił pan Reilly, nie tylko mają zapewnione dostatnie życie, ale stać ich będzie na opłacenie przyzwoitego wykształcenia.

- Na ich cześć - hip, hip, hurra! "Na sprzedaż: ojciec, lekko używany, we wspaniałym stanie. Z przyczyn losowych. Okazja".

- Zachowuje się pan co najmniej dziwnie. Ale, ale, zdaje się, że już po wszystkim.

Od obu głównych aktorów odłączono przewody, czarna skrzynia została odsunięta na bok. Nikt nie przywiązywał wagi do starczych zwłok, wszyscy skupili się przy żywicielu.

- Jak na razie nic - zawołał brodaty lekarz.

Blaine wyczuł rosnące podniecenie na sali, jakby objawy strachu. Powoli upływały sekundy, ludzie z obsługi krzżeli się gorączkowo wokół ciała.

- Nadal nic! - lekko drżącym głosem zakomunikował lekarz.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Blaine.

- Tak jak mówiłam panu wcześniej, reinkarnacja jest niebezpiecznym zabiegiem. Psychika Reilly'ego jak dotychczas nie weszła w posiadanie swego żywiciela. Nie pozostało jej zbyt wiele czasu.

- Jak to?

- Ciało zaczyna umierać od chwili, w której opuszcza je psychika. Nawet gdy jesteśmy nieprzytomni, podświadomość kontroluje czynności organizmu. Ale w takim przypadku...

- Nadal nic! - dobiegł ich głos lekarza.

- Obawiam się, że już jest za późno - szepnęła Marie Thorne.

- Drżenie! Zdaje się, że poczułem drżenie!

Znów zapadła cisza.

- Uważam, że jest w środku! - krzyknął lekarz. Dajcie tlen, adrenalinę!

Do twarzy żywiciela przyłożono maskę tlenową, wstrzyknięto środki pobudzające. Ciało drgnęło, poruszyło się. - Udało mu się! - krzyknął lekarz, odejmując maskę tlenową.

Dyrektorzy z zarządu poderwali się z miejsc. Pospieszyli z hałasem na podium. Żywiciel mrugał oszołomiony. Otoczyli go gwarem.

- Moje gratulacje, panie Reilly.

- Dobrze panu poszło, sir.

- A już zaczynaliśmy się martwić, panie Reilly.

Żywiciel spojrzał na nich, otworzył usta.

- Nie nazywam się Reilly.

Doktor przecisnął się przez stojących wokół ludzi.

- Nie jest pan panem Reillym? A może mówimy z panem Fitzsimmonsem?

- Nie - powiedział żywiciel. - Nie jestem Fitzsimmonsem. Cholerny, głupi biedaczyna. I nie jestem Reillym. Reilly próbował dostać się do tego ciała, ale ja byłem silniejszy. To teraz jest moje ciało.

- Jak się pan nazywa?

Żywiciel wstał. Dyrektorzy rozstąpili się.

- Wszystko trwało zbyt długo - powiedziała Marie Thorne.

Na twarzy żywiciela nie malował się już strach Fitzsimmonsa ani jego rozpacz, ani depresja. Nie nabrała też charakterystycznej dla Reilly'ego pogody ducha, ani nawet rozdrażnienia.

Bezbarwne wargi prawie nie odcinały się od białej twarzy. Do wilgotnego czoła przywarł pukiel włosów. Wcześniej rysy budziły sympatię, wydawały się harmonijne. Teraz twarz przypominała maskę - była martwa i bez żadnego wyrazu. Jedyne oczy pozwalały przypuszczać, że w środku jest człowiek. Wielkie, cierpliwe, niestrudzone oczy Buddy.

- Zombie - szepnęła Marie Thorne, przywierając do boku Blaine'a.

- Kim pan jest? - ponownie spytał lekarz.

- Nie pamiętam - odpowiedział. Powoli odwrócił się i zszedł z podium. Dwaj dyrektorzy przecięli mu drogę.

- Wynoście się! To teraz jest moje ciało!

- Dajcie mu spokój - powiedział ponuro lekarz. Zombie odwrócił się i podszedł do Blaine'a.

- Znam ciebie!

- Co? Czego ode mnie chcesz? - zdenerwował się Blaine.

- Nie pamiętam - zombie patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. - Jak się nazywasz?

- Tom Blaine.

Zombie potrząsnął głową.

- Nic mi się z tym nazwiskiem nie kojarzy. Ale ja przypomnę sobie. Kiedyś... Moje ciało umiera, czyż nie? Zdażę sobie przypomnieć, zanim się rozpadnie. Ty i ja, rozumiesz, razem. Blaine, nie przypominasz sobie mnie?

- Nie! - krzyknął Blaine, usiłując tym krzykiem strząsnąć z siebie możliwość, że rzeczywiście łączy go coś z tą martwą istotą. - To absurd - pomyślał. - Jakie możemy mieć wspólne przeżycia? Czego on chce?! Nie. Blaine uspokoił się, ponieważ wiedział o sobie wszystko: kim był i kim jest. To stworzenie musiało chyba oszaleć. Albo się pomyliło.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Nie wiem - zombie machnął rękami, jakby usiłował wydostać się z sieci.

Blaine zrozumiał, jak on się czuje: dezorientowany, bez imienia, przyszłości. Chciał żyć - a stał się zombie.

- Jeszcze się spotkamy - zombie powiedział do Blaine'a. - Jesteś dla mnie ważny. Spotkamy się i przypomnę sobie wszystko o tobie i o sobie.

Odwróciwszy się, skierował się ku wyjściu. Blaine patrzył w ślad za nim. Nagle poczuł na ramieniu jakiś ciężar.

Marie Thorne zemdląła. Była to najbardziej kobieca rzecz, jaką do tej pory zrobiła.

następny



Główny inżynier i brodaty doktor spierali się ze sobą, stojąc obok aparatury reinkarnacyjnej. Nieco dalej stali ich asystenci. Problem był ściśle techniczny. Blaine stwierdził, że próbują określić przyczynę niepowodzenia. Obydwaj usiłowali przerzucić odpowiedzialność jeden na drugiego. Stary doktor uważał, że jest to wina niesprawnej aparatury lub wykorzystania nieodpowiedniej mocy. Główny inżynier zaklinał się, że jego maszyna jest całkowicie sprawna. Był pewny, że to lekarze źle przygotowali Reilly'ego.

Żaden z nich nie zamierzał ustąpić ani na krok. Obaj byli jednak ludźmi odpowiedzialnymi i wkrótce osiągnęli kompromis. Wina - zgodzili się - leży po stronie bezimiennego ducha, który nie pozwolił Reilly'emu na opanowanie żywiciela.

- Ale kto to może być? - zastanawiał się inżynier. Jakiś upiór?

- Możliwe - zgodził się lekarz. - Choć rzadko porywają się na opanowanie żyjącego ciała. Ale gadał takie głupstwa, że może być upiorem.

- Bez względu na to, kim jest, opanował ciało zbyt późno. Bez wątpienia mamy do czynienia z zombie. Cóż, nie ma co szukać winnych.

- Słusznie. Podpiszę, że aparatura działała bez zarzutu.

- Jasne. A ja, że nie popełniliście najmniejszego błędu.

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo.

W tym czasie dyrektorzy dyskutowali o wpływie następstw nieudanej reinkarnacji na działalność korporacji. Zastanawiali się też, w jaki sposób zredagować odpowiednią informację o przebiegu wypadków, czy dać pracownikom dzień wolny, aby mogli uczcić pamięć Reilly'ego i odprowadzić zwłoki do jego rodzinnego grobowca.

Zwłoki Reilly'ego leżały wciąż na fotelu. Zaczynały sztywnieć. Na twarzy malował się jakiś ponury grymas.

Marie Thorne odzyskała przytomność.

- Chodźmy - wyprowadziła Blaine'a z sali.

Pospiesznie przebyli długi korytarz o zielonych ścianach, wiodący do drzwi wychodzących na zewnątrz. Wezwała taxihel. Gdy już wlatywali w górę, Blaine zapytał:

- Gdzie lecimy?

- Do mnie. Za chwilę Korporacja Rexa zamieni się w dom wariatów - zaczęła poprawiać włosy.

Blaine spojrział przez szybę na rozciągające się w dole połyskliwe miasto. Z tej wysokości przypominało barwną mozaikę, jakby ilustrację do "Baśni tysiąca i jednej nocy". Ale gdzieś w dole, po ulicach i poziomach, krążył zombie, próbując przypomnieć sobie - jego.

- Dlaczego akurat mnie? - zapytał się głośno.

- Dlaczego pan i zombie? Cóż - a czemu nie? Czy pan nigdy nie popełnił błędu? - odpowiedziała pytaniem.

- Przypuszczam, że tak. Ale wszystko działo się dawno temu.

Potrząsnęła głową.

- Może te słowa byłyby słuszne w pańskich czasach. Dziś nic nie ulega przedawnieniu. Jest to jeden z cieni związanych z życiem po śmierci. Czasem błędy nie dadzą się pogrzebać: idą za kimś, bez względu na to, gdzie się uda.

- Teraz rozumiem. Ale ja nigdy nie zrobiłem nic, co by mogło być źródłem TEGO!

Wzruszyła ramionami jakby nie przekonana do końca.

- W takim razie jest pan lepszy niż większość z nas. Wydała mu się tak daleka i obca, jak nigdy dotąd. Taxihel zaczął zniżać lot.

Blaine pomyślał, że nie ma światła bez cienia. Naukowe udostępnienie wieczności z pewnością było dużym osiągnięciem rodzaju ludzkiego, ale niestety... Pojawiły się i pewne niedogodności. Zbyt cienka jest teraz bariera między życiem tu i tam. Umarli nie chcą leżeć cicho; czasem z różnych powodów pragną wrócić. Duchy również korzystają z odkrytych praw. Nie jest to jednak zbyt przyjemne z punktu widzenia prześladowanego.

Taxihel wylądował na duchu budynku. Marie Thorne zapłaciła za kurs i poszli do jej mieszkania.

Był to duży, pełen światła apartament. Meble i ozdoby, dobrane z dużym gustem, wyraźnie wskazywały, że mieszka tu kobieta. Kolory wnętrza były dosyć jaskrawe, ale być może ostra żółć lub intensywna czerwień kompensowały w jakiś sposób Marie Thorne ograniczenia w pracy. Pokoje były wyposażone w gadżety, które kojarzyły się Blaine'owi z przewidywaniami dwudziestowiecznych futurystów: samoregulujące się światło i klimatyzacja, fotele dopasowujące się do ciała, przycisk, po naciśnięciu którego otrzymywało się kieliszek martini.

Marie Thorne znikła w jednej z sypialń. Wkrótce wróciła, przebrana w luźną suknię i usiadła naprzeciw niego.

- No i cóż, Blaine, jakie są pańskie plany?

- Zdaje się, że na początek poproszę panią o pożyczkę.

- To ma pan zapewnione.

- W takim razie muszę znaleźć mieszkanie i poszukać sobie pracy.

- Nie będzie łatwo, ale znam kilka osób, które mogłyby...

- Nie, serdeczne dzięki - przerwał jej. - Mam nadzieję, że nie zabrzmiał głupio, gdy powiem, że wolałbym sam to sobie załatwić.

- Nie, nie powiedział pan nic głupiego. Myślę, że się panu uda. Co powie pan o obiedzie?

- Z chęcią. Gotować pani też potrafi?

- Zaprogramuję. Zastanówmy się, co myśli pan o świetnym marsjańskim jedzeniu?

- Nie, dziękuję. Marsjańskie jedzenie jest niezłe, ale trudno nim się najeść. A co pani powie o steku?

Marie nacisnęła odpowiednie klawisze. Jej automatyczny kucharz wykonał resztę. Dobrał z lodówki i spiżarni odpowiednie składniki potraw i wszystko przygotował. A gdy już w powietrzu rozprzestrzeniał się zapach gotowanych potraw, zamówił u dostawców produkty, które zużył.

Smakowało wybornie, ale Marie Thorne sprawiała wrażenie trochę zażenowanej. Przeprosiła Blaine'a za to, że wszystkie potrawy przygotowane zostały automatycznie. Wiedziała, że w jego czasach kobiety własnoręcznie otwierały zawczasu przygotowane przetwory i przygotowywały jedzenie według własnego smaku. Ale być może starała się usprawiedliwić - ówczesne kobiety miały więcej czasu na takie przyjemności.

W czasie gdy pili kawę, zaszło słońce.

- Jestem pani wdzięczny. Teraz, jeśli może mi pani pożyczyć odpowiednią sumę, zacznę swoje starania.

Spojrzała zdziwiona.

- W nocy?

- Znajdę pokój w hotelu. Jest pani bardzo miła i uprzejma, ale nie chciałbym nadużywać pani gościnności...

- Niech pan nie przesadza. Tej nocy może pan przespać się tutaj.

- Dobrze - odpowiedział. Nagle poczuł suchość w ustach, serce zaczęło mu szybciej bić. Wiedział, że za jej zaproszeniem nie kryje się nic osobistego, ale jego ciało zdawało się mówić co innego. Wyraźnie czegoś oczekiwało od chłodnej, opanowanej pani Thorne.

Zaprowadziła go do jednej z sypialń, dając zieloną piżamę. Wyszła i zamknęła drzwi. Niedługo potem położył się do łóżka. Światło zgasło, jak tylko wydał odpowiednie polecenie.

W chwilę później, właściwie dokładnie wtedy, gdy poczuł to swoim ciałem, drzwi otworzyły się. Ubrana w coś zwiewnego weszła do pokoju i położyła się przy nim.

Leżeli w milczeniu. Przysunęła się bliżej, Blaine wsunął ramię pod jej głowę.

- Myślałem, że nie jestem w twoim typie.

- Nie tak do końca. Powiedziałam, że wolę wysokich, szczupłych mężczyzn.

- Kiedyś taki byłem.

- Domyślałam się tego.

Milczeli. Blaine czuł się coraz bardziej nieswojo. Zastanawiał się nad jej słowami. Czy to oznacza, że się jej podoba, czy może takie zachowanie jest typowe dla tej epoki i jedynie świadczy o gościnności?

- Pani Thorne, zastanawiam się, czy...

- Och, przestań wreszcie gadać - nagle odwróciła się do niego. Jej oczy w półmroku wydawały się niezwykle duże. - Czy o wszystko musisz pytać, Tom?

Później, pełna rozmarzenia, powiedziała:

- Biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że możesz mi mówić Marie.

\* \* \*

Rankiem po toalecie Blaine zjadł z Marie śniadanie. Wręczyła mu małą kopertę.

- Jeśli będziesz w potrzebie, mogę pożyczyć ci więcej. A teraz, co się tyczy pracy...

- Jesteś mi bardzo pomocna, naprawdę wiele ci zawdzięczam, ale resztę wolałbym zawdzięczać sobie.

- Dobrze. Na kopercie jest mój adres i numer telefonu. Zadzwoń, jak tylko znajdziesz hotel.

- Zrobię tak - obiecał, patrząc na nią badawczo. Nie przypominała w niczym Marie z ostatniej nocy. Można byłoby pomyśleć, że to dwie różne osoby.

Gdy znalazł się przy drzwiach, dotknęła go lekko.

- Tom, proszę, bądź ostrożny. I zadzwoń.

- Dobrze.

Ruszył na podbój świata szczęśliwy i pełen siły.

12

W pierwszej chwili zamierzał szukać pracy przy projektowaniu jachtów. Porzucił jednak tę myśl, gdy wyobraził sobie projektanta z 1806 roku, wędrującego w podobnej sprawie po biurach konstrukcyjnych w 1958 roku. Mógł mieć facet nawet wielki talent, ale co by odpowiedział na pytania z zakresu wyliczania metacentrum, poziomów pływów mórz, miejsc największych naprężeń i najkorzystniejszego miejsca dla sonaru i radaru.

Kto zapłaci za jego naukę? Nie było sensu prosić o pracę w biurze projektowym. Może później, gdy się nauczy obecnej technologii, ale do tej pory trzeba z czegoś żyć.

Podszedł do budki, kupił mikrofilm z "New York Timesem" i przeglądaczkę. Gdy usiadł na napotkanej ławce, zabrał się do czytania ogłoszeń dotyczących pracy.



"Konserwator potrzebny do automatycznej kawiarni. Wymagana jest tylko znajomość podstaw robotyki".

"Czyszciciel kadłubów. Linie Mar-Goling. Koniecznie Rh+ i zabezpieczenie przed klaustrofobią".

"Człowiek do selekcji złomu elektronicznego. Wystarczy podstawowa wiedza dotycząca elektroniki. Jedzenie na miejscu".

Blaine uświadomił sobie, że nawet prace wymagające niskich kwalifikacji są dla niego zbyt trudne. Spojrzał na rubryki, gdzie zamieszczone zostały ogłoszenia o pracy dla uczniów.

"Potrzebny młody człowiek, interesujący się drukiem czasopism. Wymagania: podstawowa znajomość rachunku różniczkowego i całkowego oraz umiejętność praktycznego zastosowania wzorów Hooteana".

"Sprzedawca na Wenus. Płaca plus procent od sprzedaży. Konieczna znajomość podstawowego słownictwa języków: francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego i ourescz".

"Roznoszenie gazet. Agencja Eth-col. Konieczna umiejętność jazdy spreendingiem. Wymagana dobra znajomość miasta".

A więc nie nadaję się nawet na roznosiciela gazet! Poczul się zniechęcony. Znalezienie pracy okazywało się trudniejsze, niż myślał. Czyżby nikt w tym mieście nie kopał rowów, nie nosił bagaży? Może całą fizyczną pracę wykonują tutaj roboty, a może aby wozic piach taczkami, potrzebny jest co najmniej stopień naukowy? Co to za świat?

Spojrzal na pierwszą stronę gazety.

"Budowa nowej stacji na Oxa, Nowy Południowy Mars".

"Złośliwy upiór podejrzewany jest o spowodowanie serii pożarów w Chicago. Przeprowadzono stosowne egzorcyzmy".

"Bogate złoża miedzi wykryto w sektorze Sigma-G".

"Motłoch w Spencer Alabama zlinczował i spalił dwóch miejscowych zombie. Podjęto odpowiednie kroki przeciwko przywódcom".

"Jeden z naszych najlepszych antropologów twierdzi, że archipelag Tuamoto jest ostatnim zakątkiem dwudziestowiecznego życia".

"Stowarzyszenie do Spraw Ławic Ryb Atlantyckich będzie obradowało w Waldorf".

"Wilkołak wciąż nieuchwytny. W Tyrolu, w Austrii, zawiadomiono mieszkańców, aby nadal mieli się na baczności".

"W Izbie Reprezentantów upadła ustawa wprowadzająca zakaz polowań i popisów gladiatorских".

"Szaleniec zabił cztery osoby w San Diego".

"Liczba wypadków helikopterowych w ciągu jednego roku doszła do miliona".

Blaine odłożył gazetę. Był jeszcze bardziej przygnębiony. Duchy, wilkołaki, upiory... Nie podobały mu się te zamierzchłe słowa, które znów stały się aktualne. Spotkał już na swojej drodze zombie. Nie miał ochoty na nic więcej.

Poszedł dalej przez dzielnicę rozrywki. Oglądał połyskujące kopuły, plakaty reklamujące walki gladiatorów, odbywające się w Madison Square Garden, tablice ogłoszeń, zapraszające na trójwymiarowe filmy i widowiska, w których oddziaływano na wszystkie zmysły. Świetliste napisy informowały o koncertach i wenusjańskiej pantomimie.

Blaine przypomniał sobie ze smutkiem, że mógłby być jedynym pracującym w rozrywce, gdyby tylko Reilly nie zmienił zdania. Występowaliby w jednym z teatrów jako "Człowiek z Przeszłości".

Ależ tak! "Człowiek z Przeszłości"... w tej roli z pewnością by był dobry - co więcej - unikatowy. Korporacja Rexa uratowała mu w 1958 roku życie, aby wykorzystać jego umiejętności. Zmienili zdanie - ale on nie musi się do nich stosować. Swoją drogą... i tak nie ma wyboru.

Pospieszył do ogromnego biura i znalazł w spisie na ścianie nazwiska sześciu teatralnych agentów. Wybrał spółkę "Barnex, Scofield & Styles". Winda zawiozła go na osiemnaste piętro.

Wszedł do luksusowej poczekalni. Na ścianach wisiały duże trójwymiarowe fotografie aktorek. W najdalszym krańcu siedziała sekretarka. Spojrzała na niego pytająco. Podeszedł do biurka.

- Chciałbym z kimś porozmawiać na temat mojego występu.

- Przykro mi, ale nie mamy teraz wolnych miejsc.

- Ale to jest wyjątkowe, niepowtarzalne przedstawienie.

- Naprawdę jest mi przykro. Może niech pan spróbuje w przyszłym tygodniu.

- Niech pani posłucha. Moje przedstawienie to naprawdę coś wyjątkowego. Widzi pani - ja jestem

człowiekiem z przeszłości.

- Nie interesuje mnie, czy jest pan duchem Scotta Merrivale'a - odpowiedziała słodkim głosem. - Nie mamy miejsc. Niech pan spróbuje w przyszłym tygodniu.

Blaine obrócił się na pięcie. Niski, krępy mężczyzna przeszedł szybko obok niego, pozdrawiając sekretarkę.

- Dzień dobry, pani Thatcher.

- Dzień dobry, panie Barnex.

Barnex! Jeden z agentów! Pospieszył ku niemu, złapał go za rękaw.

- Panie Barnex, chciałbym wystąpić...

- Każdy chce - Barnex odpowiedział ze znużeniem.

- Ale ja mam nadzwyczajny pomysł!

- Każdy ma. Niech pan puści mój rękaw. Może w przyszłym tygodniu...

- Jestem z przeszłości! - krzyknął Blaine i natychmiast poczuł się głupio. Miał wrażenie, że za chwilę agent wyda polecenie, żeby zadzwonić na policję. Nie poddawał się. Naprawdę! Mogę tego dowieść! Ludzie z Korporacji Rexa porwali mnie z przeszłości. Wystarczy zapytać!

- Rex?... Tak, słyszałem u Lindy o jakimś porwaniu. Hm... Niech pan wejdzie do biura, panie...

- Blaine, Tom Blaine.

Wszedł za Barnexem do małego, zagraconego pokoju.

- Myśli pan, że się nadam?

- Być może - powiedział agent, wskazując Blaine'owi krzesło. - To zależy. Z jakiego okresu pan pochodzi?

- Z 1958 roku. Znam bardzo dobrze lata trzydzieste, czterdzieste, pięćdziesiąte. Nawiasem mówiąc, podczas nauki w college'u występowałem w teatrze szkolnym i pewna zawodowa aktorka powiedziała mi, że mam wrodzony...

- 1958? Dwudziesty wiek?

- Tak.

Agent potrząsnął głową.

- Niedobrze. Jeśli pan pochodził z szóstego wieku ze Szwecji lub siódmego z Japonii, mógłbym znaleźć dla pana pracę. Bez trudu załatwiam występy ludziom z pierwszego wieku Cesarstwa Rzymskiego lub z czwartego wieku z Saksonii. Ale trudno znaleźć ludzi z tamtych lat, odkąd podróże w czasie zostały zakazane. Okres sprzed Chrystusa też jest całkowicie nie obstawiony.

- A co z dwudziestym wiekiem?

- Nie mamy zapotrzebowania.

- Jak to?

- Tak. Wszystkie możliwe przedstawienia daje Ben Therler z 1953 roku.

- Rozumiem - powiedział Blaine, podnosząc się wolno. - Cóż, dziękuję panu.

- Nie ma za co. Chciałbym panu pomóc. Jeśli by pan pochodził z jakiegokolwiek miejsca sprzed jedenastego wieku. Ale okres dziewiętnastego i dwudziestego wieku nie cieszy się dużym zainteresowaniem. Zaraz, a może pojedzie pan do Therlera? Nie jest to zbyt prawdopodobne, ale może wykorzysta pana jako dublera albo coś w tym rodzaju...

Zapisał adres i podał kartkę Blaine'owi. Ten wziął papier, podziękował i wyszedł.

Stał przez chwilę na ulicy, przeżywając porażkę. Jego niezaprzeczalna umiejętność, unikalna wartość, zostały przekreślone istnieniem Bena Therlera z 1953 roku. Pomyślał, że rzeczywiście podróże w czasie powinny być bardziej elitarne. To nieuczciwe: porwać człowieka i zostawić go własnemu losowi.

Zastanawiał się nad Therlerem. Co to może być za człowiek? Wkrótce się okaże. Nawet jeśli nie skorzysta z jego usług, z przyjemnością porozmawia z kimś ze swojej epoki. No i może Therler, który przebywa tu dłużej, będzie w stanie znaleźć jakąś radę na kłopoty Blaine'a.

Wezwał taxihel i po piętnastu minutach znalazł się przed drzwiami mieszkania Therlera.

\* \* \*

Otworzył mu szczupły mężczyzna o przeciętnej aparycji, ubrany w szlafrok.

- Fotograf? - zapytał. - Przyszedł pan za wcześnie.

Blaine potrząsnął głową.

- Jestem z pańskiego wieku, z 1958 roku.

- Czyżby? - spojrzał na niego nieufnie.

- Mówię prawdę. Porwali mnie ludzie z Korporacji Rexa. Może pan sprawdzić moją prawdomówność.

Therler wzruszył ramionami.

- Cóż, w jakiej sprawie pan przyszedł?

- Miałem nadzieję, że może chciałby pan mieć dublera lub...

- Nie, nigdy nie korzystam z dublera - zaczął zamykać drzwi.

- Nie o to chodzi. Tak naprawdę przyszedłem po prostu porozmawiać z panem. Czuję się wyobcowany z dala od swoich czasów. Chciałem porozmawiać z kimś podobnym do mnie. Pomyślałem, że może i pan miałby ochotę.

- Ja? Och! - na twarzy Therlera pojawił się profesjonalny ciepły uśmiech. - Ma pan na myśli złote lata dwudziestego wieku! Z prawdziwą przyjemnością porozmawiam kiedyś z panem na ten temat, kolego. Stary, kochany Nowy Jork. Dodgersi i Yankesi, jednoślady w parku, tor do jazdy na wrotkach w Rockefeller Plaza. Pewnie, że brakuje mi tego. Ale obawiam się, że teraz nie mam czasu.

- Oczywiście - odpowiedział Blaine - innym razem.

- Cudownie! Naprawdę się cieszę na nasze spotkanie powiedział Therler, starając się uśmiechać jeszcze bardziej promiennie. - Zadzwoń do mojej sekretarki, dobrze, chłopie? Rozumiesz, mam wszystko zaplanowane z góry. Pewnego dnia przegadamy dobrych kilka godzin. Przypuszczam, że masz dolara czy więcej. Mógłbyś przyjść...

Blaine potrząsnął głową.

- No to na razie - powiedział z przekonaniem Therler. - I nie zapomnij zadzwonić do mojej sekretarki. Blaine pospiesznie wyszedł z budynku. Nie jest przyjemnie, gdy człowiek dowiaduje się, że ktoś zajął jego miejsce, ale jest jeszcze gorzej, gdy okazuje się, że wykopał go zwykły oszust, który nie zbliżył się do 1953 roku nawet o stulecie. Tor do jazdy na wrotkach w Rockefeller Plaza! Zresztą, nawet nie musiał popełnić tej pomyłki, żeby dało się na milę wyczuć szalbierza.

Niestety, Blaine był prawdopodobnie jedynym człowiekiem w 2110 roku, który się w tym orientował.

Tego popołudnia Blaine dokonał niezbędnych zakupów. Znalazł sobie tani hotel na Piątej Alei. Przez następny tydzień szukał pracy.

Wstąpił do restauracji, ale okazało się, że talerze myją tylko automaty. W dokach i portach większość



ciężkiej pracy wykonywały roboty. Pewnego dnia przyjęto go na okres próbny na kontrolera opakowań, ale po dokładnym sprawdzeniu jego ankiety personalnej dział kadr zwolnił go, przyjmując na to stanowisko małego mężczyznę o tępych oczach, który jednakże mógł się wykazać ukończeniem projektowania opakowań.

Blaine wracał w ponurym nastroju, gdy nagle rozpoznał w tłumie znajomą twarz. Znał tego człowieka bardzo dobrze. Był w jego wieku, rudowłosy, o lekko zadartym nosie, białej cerze i czerwonej plamie na szyi. Wydawało się, że wszystko mu się w życiu udaje.

- Ray! - krzyknął Blaine. - Ray Melhill! - przedarł się przez tłum i schwycił tamtego za ramię. - Ray, jak ci się udało wyrwać stamtąd?

Mężczyzna wyrwał się i wyprostował zagnieciony materiał.

- Nie nazywam się Melhill.

- Czyżby? Jesteś pewny?

- Oczywiście - zaczął odchodzić.

Blaine zagroził mu drogę.

- Chwileczkę. Wygląda pan dokładnie jak on, ma pan nawet taką samą bliznę. Czy na pewno nie jest pan Rayem Melhillem, nawigatorem na statku kosmicznym "Bremen"?

- Jestem zupełnie pewny - mężczyzna odpowiedział zimnym głosem. - Młody człowieku, musiał mnie pan pomylić z kimś innym.

Blaine przez chwilę stał oszołomiony. Mężczyzna oddalał się. Blaine pobiegł do niego, chwycił za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Ty cholerny złodzieju ciała! - krzyknął, uderzając jednocześnie obcego ręką w podbródek.

Mężczyzna zatoczył się na ścianę, a potem opadł nieprzytomny na chodnik. Blaine ruszył w jego stronę, ludzie rozpięzchli się na boki.

- Szaleniec! - krzyknęła kobieta. Ktoś jej zawtórował. Kątem oka Blaine dostrzegł, jak przez tłum przeciska się człowiek w niebieskim mundurze.

Policjant! Nurknął w tłum. Skręcił w jedną ulicę, potem w następną. Spojrzał do tył. Nikt go nie śledził. Podjął przerwany spacer do hotelu.

To było ciało Melhilla, ale Ray nie znajdował się już w nim. Nie dali mu żadnej szansy. Zabrali mu ciało i dostał je jakiś bogaty staruch. Jego gderliwa psychika nie pasowała do zbyt młodzieżowego odzienia.

Upewnił się, że jego przyjaciel nie żyje. Wypił na jego cześć kilka kolejek w pobliskim barze. Wrócił do hotelu.

\* \* \*

Gdy przechodził koło recepcji, zatrzymał go urzędnik.

- Pan Blaine? Mam dla pana wiadomość. Proszę chwilę poczekać - wszedł do biura.

Blaine stał, zdziwiony, zastanawiając się o kogo chodzi. Marie? Przecież jeszcze do niej nie zadzwonił. Obiecał sobie, że nie zrobi tego, dopóki nie znajdzie pracy.

Urzędnik powrócił niosąc kartkę.

Blaine przeczytał: "Na pana Blaine'a czeka połączenie w Łącznicy Duchów na ulicy 23. Godziny: od dziewiątej do piątej".

- Zastanawiam się, jak ktokolwiek mógł znaleźć moje miejsce pobytu?

- Duchy mają swoje sposoby - odpowiedział urzędnik. - Znałem pewnego człowieka, którego zmarła teściowa umiała go dopaść, mimo że trzy razy zmieniał wygląd. Nie pomógł nawet Transplant. Ukrył się przed nią w Abisynii.

- Nie mam żadnej teściowej.

- Nie? Kto mógłby chcieć się z panem spotkać?

- Dowiem się jutro i przekażę panu wiadomość - odpowiedział Blaine. Ale niepotrzebnie wysiłał się na sarkazm. Urzędnik pograżył się już w korespondencyjnym kursie Remontowania Silników Atomowych. Blaine poszedł do siebie.

Łącznica Duchów na ulicy 23 zajmowała duży budynek z szarego kamienia w pobliżu Trzeciej Alei. Nad drzwiami wyryte było: "Przeznaczony do bezpłatnego porozumiewania się między żyjącymi na Ziemi i poza nią".

Wszedł do budynku, zatrzymał się przed tablicą informacyjną. Podawała numery piętra i pokoi: "Informacje Wpływające", "Informacje Wychodzące", "Translacje", "Wyrzekanie się", "Egzorcyzmy", "Ofiary", "Usprawiedliwienia", "Egzorty". Nie był pewny, gdzie powinien się skierować, pokazał więc w informacji swoje wezwanie.

- "Informacje Wpływające" - oznajmiła mile wyglądająca siwowłosa recepcjonistka. - Niech pan pójdzie prosto korytarzem, aż do pokoju numer 32 a.

- Dziękuję - powiedział. Zawahał się, ale dodał: Czy może mi coś pani wytłumaczyć?

- Oczywiście. Co pan chciałby wiedzieć?

- Mam nadzieję, że nie wychodzę na głupka pytając, o co tu chodzi?

- Trudne pytanie - uśmiechnęła się. - Patrząc od strony filozoficznej, mógłby pan nazywać Łącznicę Duchów krokiem na drodze ku jedności, próbą wyzbycia się dualizmu między psychiką i ciałem, zastąpienie...

- Nie o to mi chodzi - przerwał jej - chciałbym wiedzieć dokładnie.

- Dokładnie? Cóż, Łącznica Duchów jest stworzoną przez osoby prywatne instytucją bezpłatną, służącą jako miejsce, w którym dokonuje się porozumienia z Przesionkiem Zaświatów. Niekiedy, oczywiście, ludzie obywają się bez naszego pośrednictwa, ale często potrzebują pomocy. Mamy odpowiednie wyposażenie, umożliwiające nawiązanie kontaktu. Również wykonujemy inne usługi, takie jak egzorcyzmy, wyklinanie, egzorty i tak dalej, które są konieczne od czasu do czasu, gdy ciało wchodzi w konflikt z duchem - uśmiechnęła się ciepło. - Czy moja odpowiedź coś panu wyjaśniła?

- Bardzo pani dziękuję - powiedział i poszedł do pokoju.

Było to małe szare pomieszczenie, w którym stało kilka foteli i urządzenie nagłaśniające, wmontowane w ścianę.

Blaine usiadł, zastanawiając się nad tym, co mu się tu przytrafi.

- Tom Blaine! - krzyknął jakiś bezosobowy głos w urządzeniu.

- O co chodzi? - Blaine poderwał się na nogi i skierował w stronę drzwi.

- Tom! Jak się miewasz?

Blaine, trzymając rękę na klamce, nagle rozpoznał głos.

- Ray Melhill?

- Zgadza się! Jestem tam, gdzie idą po śmierci bogacze. Nieźle, nie?

- To zaniedbanie waszych czasów - odpowiedział Blaine żartobliwie. - Ale, Ray, jak do tego doszło? Myślałem, że nie masz ubezpieczenia na życie po śmierci.

- Nie miałem. Ale pozwól, że opowiem ci całą historię. Przyszli do mnie jakąś godzinę po tobie. Byłem taki wściekły, że myślałem, że wyjdę z siebie. Pozostałem taki nawet, gdy mnie uspili, gdy mnie usuwali z ciała - gdy umarłem.

- Jak wygląda śmierć?

- Podobna jest do eksplozji. Miałem wrażenie, że się rozpryskuję, rosnę do rozmiarów galaktyki, rozpadam na fragmenty, na mniejsze okruchy, a każdy z nich jest mną.

- I co się dalej stało?

- Nie wiem. Może pomogło, że byłem taki wściekły. Rozprzestrzeniłem się na takim obszarze, że jeszcze trochę i bym zupełnie znikł - wtedy po prostu skurczyłem się i znów stałem sobą. Zgodnie z tym, co ci mówiłem, kilka osób na milion przeżywa, pomimo że nie poddali się treningowi. Okazało się, że należę do grona szczęściarzy.

- Domyślam się, że znasz moją historię - powiedział Blaine. - Próbowałem coś dla ciebie zrobić, ale było już za późno.

- Wiem. Mimo to dziękuję. I dzięki za przyłożenie temu draniowi. Temu, który nosi moje ciało.

- Widziałeś?

- Mam oczy szeroko otwarte. Swoją drogą, podoba mi się Marie. Miła dziewczyna.

- Dzięki. Ray, jak wyglądają Zaświaty?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Jeszcze nie przebywam w Zaświatach. Jestem w Przedsionku. Jest to miejsce, w którym następuje przygotowanie. Coś w rodzaju mostu pomiędzy Ziemią i Zaświatami. Trudno opisać. Rodzaj szarości, z Ziemią po jednej stronie i Zaświatami po drugiej.

- Dlaczego nie przeszedłeś na drugą stronę?

- Nie teraz. Stamtąd się nie wraca. Nie można kontaktować się z Ziemią.

Blaine chwilę się zastanowił.

- Kiedy zamierzasz przejść na drugą stronę, Ray?

- Na razie dokładnie nie wiem. Myślę, że pobędę w Przedsionku przez jakiś czas, aby dopilnować pewnych rzeczy.

- Aby ze mnie nie zdejmować oka? To chciałeś powiedzieć?

- No cóż...

- Dziękuję, Ray, ale nie rób tego. Idź do wieczności. Sam mogę zadbać o siebie.

- Pewnie - odparł Melhill. - Myślę jednak, że zostanę tu jeszcze trochę. Zrobiłbyś dla mnie to samo, nieprawdaż? Przestań się więc sprzeciwiać. A teraz słuchaj. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z grożących ci kłopotów? Blaine skinął głową.

- Mówisz o zombie?

- Nie wiem, Tom, kim on jest i czego chce od ciebie, ale na pewno ma złe zamiary. Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Ale nie o niego mi chodzi.

- Coś więcej?

- Obawiam się, że tak. Masz być straszony.

Tom roześmiał się mimo woli.

- Co ciebie tak śmieszy? - zapytał oburzony Melhill. Myślisz, że jest to przyjemność?

- Podejrzewam, że nie. Ale rzeczywiście mam być straszony?

- O Boże! Ależ z ciebie ignorant! Czy wiesz coś na temat demonów, upiórów? W jaki sposób powstają i jakie są ich pragnienia?

- Oświeć mnie.

- Kiedy umiera człowiek, są trzy możliwości. Po pierwsze, jego psychika może się po prostu rozprysnąć, zniszczyć i w ten sposób przychodzi całkowita śmierć. Po drugie, psychika człowieka



może przetrwać szok wywołany śmiercią i znajdzie się on w Przedsionku jako duch. Domyślam się, że już te dwie możliwości są ci znane.

- Mów dalej.

- Jest trzecia możliwość - jego psychika ulegnie podczas śmierci rozbiciu, ale nie do końca. Dociera do Przedsionka, ale jest obłąkany. I w ten sposób, przyjacielu, rodzą się demony.

- A więc demon - jest to psychika, która oszalała podczas śmierci, doznała urazu?

- Zgadza się. Jest obłąkana i straszy.

- Ale czemu?

- Demony straszą - powiedział Melhill - ponieważ wypełnia je nienawiść, wściekłość, strach i ból. Nie chcą odejść w Zaświaty. Chcą jak najdłużej przebywać na Ziemi: tu skupia się ich uwaga, tu chcą działać. Pragną straszyć ludzi, ranić ich, doprowadzać do obłądzenia. Straszanie jest dla nich najłatwiejsze, wynika z ich szaleństwa. Zauważ, Tom, że od początku istnienia ludzkości...

Od początku istnienia ludzkości zawsze istniały duchy, ale nie było ich dużo. Jedynie kilku ludzi na milion przeżywało śmierć. Tylko niewielka część spośród nich stawała się upiorami.

Wpływ tych demonów na ludzi był jednak kolosalny: spowodował zafascynowanie śmiercią, rozważania nad jej przypadkowością - ktoś, przed chwilą pełen życia, nagle stawał się zimny i nieruchomy. Potem zjawiał się straszliwy demon. Zaczęto celebrować śmierć. Otaczała ją głęboka tajemnica, kierująca myśli ku niebu. Każde pojawienie się demona powodowało powstanie plotek i opowieści - w rezultacie wydawało się, że jest ich tysiące. Dopatrywano się też ich w każdej drżącej gałęzi, ogniku na bagnie, poruszającej się zasłonie. Zrodziły się przesady i wierzenia, czarownice i magicy, złe duszki, diabły, zmory, wilkołaki i wampiry.

Wczesne naukowe badania, próbujące wykryć prawdę, przede wszystkim dowiodły istnienia szeregu oszustów, halucynacji i zwykłych pomyłek. Ale natrafiono też na przypadki nie dające się tak łatwo wyjaśnić.

Przesady zostały obalone. Statystycznie rzecz biorąc duchy nie istniały. Ale nadal istniało coś, co nie dało się zaklasyfikować. Ignorowano owo "coś" przez stulecia, dopóki nauka nie stworzyła w ostatnich czasach odpowiedniej teorii.

Wraz z naukowym odkryciem Zaświatów, demony zaczęły być czymś zrozumiałym. Nawet zaczęto klasyfikować szaleństwo według kryteriów stosowanych na Ziemi. Znaleziono melancholików, przesuwających się posepnie przez okolice, w których działały, szepczących hebefreników, opowiadających zabawne nonsensy, idiotów i imbecylów, którzy zdziecinnieli, schizofreników, wyobrażających sobie, że są zwierzętami, wampirami, wilkołakami i tak dalej.

Odkryto upiory rzucające kamieniami i podpalające domy, rozgadanych paranoików, którzy przyjmowali postać Lucyfera czy Belzebuba, Archaniołów, czy Duchów Bożego Narodzenia, proroków głoszących zgubę lub nawet postać samej Śmierci.

Straszyły rzeczywiście jak szaleńcy. Włóczyły się po starych budowlach, gadały nonsensy na seansach spirytystycznych. Zawracały ludziom głowę aż do momentu, w którym nie zabrano się do ich leczenia. Wówczas uciekły do Przedsionka, bojąc się, że ktoś może je wyleczyć.

\* \* \*

- Teraz już wiesz, jak się sprawy mają - zakończył Melhill. - Odkąd zaczęła działać Korporacja "Zaświaty", o wiele więcej osób przeżywa śmierć. Ale i więcej staje się szalona.

- W ten sposób rośnie liczba upiórów - uzupełnił Blaine.

- Zgadza się. Jeden z nich ma z tobą na pieńku - głos Melhilla stawał się coraz słabszy. - Tak więc bądź ostrożny. Muszę już iść.

- Co to za upiór? Czyj to duch? I dlaczego musisz już iść?

- Potrzeba wiele energii, aby przebywać na Ziemi wyszeptał Melhill. - Zużyłem prawie cały zapas. Czy nadal mnie słyszysz?

- Tak, mów dalej.

- Nie wiem, kiedy upiór da o sobie znać. I nie wiem, kto to jest. Pytałem, ale nie odpowiedzieli. Po prostu musisz być ostrożny.

- Będę - powiedział Blaine, trzymając ucho przyciśnięte do głośnika. - Ray, porozmawiamy jeszcze innego dnia?

- Myślę, że tak - głos Melhilla ledwo było słychać. Wiem, że szukasz pracy. Spróbuj u Eda Franchela, na ulicy 19 Zachodniej 322. Nie jest to przyjemna praca, ale dobrze płatna. I pilnuj się.

- Ray! - krzyknął Blaine. - Jaki to jest rodzaj upióra? Głośnik milczał.

Pod adresem podanym przez Melhilla znalazł niski, sypiący się budynek, otynkowany na brązowo. Wspiął się po schodach i nacisnął dzwonek, przy którym widniała karteczka: Przedsiębiorstwo Edwarda J. Franchela. Ogromny, łysy mężczyzna w podkoszulku otworzył drzwi.

- Pan Franchel? - zapytał Blaine.

- Tak - odpowiedział z uśmiechem. - Proszę do środka, sir.

Zaprowadził Blaine'a do mieszkania, wypełnionego zapachem gotującej się kapusty. Część pomieszczenia przerobiona została na biuro, w głębi można było dostrzec ciemny pokój stołowy.

- Proszę wybaczyć ten bałagan - powiedział gospodarz, wskazując Blaine'owi krzesło. - Zamierzam przenieść się do normalnego biura, jak tylko znajdę trochę czasu. Mam tyle zajęć... Ale czym mogę panu służyć?

- Szukam pracy.

- Do diabła! Myślałem, że jesteś klientem - odwrócił się w kierunku części mieszkalnej i krzyknął: - Alice, czy możesz wyłączyć wreszcie to cholerstwo?!

Dobiegające ich dotychczas głosy umilkły. Franchel zwrócił się do Blaine'a.

- Bracie, jeśli interes nie zacznie wreszcie prosperować, nie pozostanie mi nic innego, jak tylko kolejka samobójców. Chcesz pracy, tak?

- Tak. Ray Melhill poradził mi, żebym tu spróbował.

Franchel ożywił się.

- Co porabia Ray?

- Nie żyje.

- Skandal! To był człowiek z klasą, choć może trochę zbyt ostry. Pracował u mnie, gdy piloci statków kosmicznych strajkowali. Chcesz się napić?

Skinął głową. Gospodarz podszedł do szafki i wyjął butelkę whisky z ryżu "Moonjuice". Napełnił dwie szklanki z dużą wprawą.

- Na cześć Raya - powiedział. - Domyślam się, że go zapuszkowali?

- Zapuszkowali - potwierdził Blaine, domyślając się, że chodzi o kradzież ciała Melhilla. - Dopiero co rozmawiałem z nim w Łącznicy Duchów.

- A więc dostał się do Przdسیونka! - zauważył z podziwem Franchel. - Chłopie, dobrze by było, żebyśmy też mieli takie szczęście. A więc szukasz pracy? Hm, może uda mi się coś znaleźć. Wstań.

Obszedł Blaine'a dookoła, pomacał jego bicepsy i mięśnie na karku. Potem stanął przed nim i nagle zadał cios.

Blaine podniósł natychmiast prawą rękę, zasłaniając się.

- Dobra budowa, szybki refleks... - powiedział Franchel. - Myślę, że się nadasz. Wiesz co nieco na temat broni?

- Nie za wiele - odpowiedział Blaine, zastanawiając się, jaki to może być rodzaj pracy, którą naraja mu Franchel. - Jedynie znam antyki: colty, winchestery...

- Nie bujasz? Wiesz, zawsze chciałem kolekcjonować takie starocie. Na polowaniach nie wolno używać ani blasterów, ani żadnej broni miotającej pociski. Co jeszcze umiesz?

- Mógłbym walczyć na bagnety - zaproponował Blaine i jednocześnie pomyślał o tym, jak jego sierżant zareagowałby na taką przechwałkę.

- Naprawdę? Pchnięcie i sparowanie, i reszta? Niech mnie diabli! Byłem przekonany, że nikt już tego nie potrafi. Jesteś pierwszym od piętnastu lat człowiekiem, który mówi, że potrafi bić się na bagnety. Chłopie, jesteś zatrudniony.

Franchel podszedł do biurka, napisał coś na kartce i wręczył ją Blaine'owi.

- Idź jutro pod ten adres. Na miejscu powiedzą ci, co masz robić. Dostaniesz normalną płacę myśliwego, dwieście pięćdziesiąt dolarów za każdy dzień polowania. Masz może własną broń? Dostaniesz wyposażenie, ale potrąca ci jego koszt z wypłaty. I ja oczywiście mam swoje dziesięć procent. Zgadza się?

- Pewnie. Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o polowaniu?

- Nie ma o czym mówić. To nic wyjątkowego. Nie rozpowiadaj dookoła, że bierzesz w nim udział. Nie jestem pewien, czy polowania są nadal legalne. Chciałbym, aby Kongres zdecydował się wreszcie na brzmienie ustawy o samobójcach i dozwolonych morderstwach, inaczej nie wiadomo, na czym się stoi.

- Hm - zgodził się Blaine.

- Teraz prawdopodobnie zastanawiają się nad legalnymi aspektami pouczenia. Inni myśliwi też będą jutro w tym miejscu, którego adres ci dałem. Quarry powie ci wszystko, co warto wiedzieć. Pozdrów ode mnie Raya, dy będziecie ponownie rozmawiać. Powiedz mu, że przykro mi, iż został zabity.

- Przekażę mu - powiedział Blaine. Postanowił, że nie będzie zadawał więcej pytań. Bał się, że może swoją ignoracją spowodować wymówienie z pracy. Bez względu na to, na czym polega polowanie, na pewno jego ciało i on sam podołają trudnościom. Potrzebował pracy, jakiegokolwiek, żeby poczuć się pewnym siebie - i wypełnić pieniędzmi pusty portfel.

Podziękował Franchelowi i wyszedł.

Zjadł obiad w barze i kupił kilka tygodników. Był dumny ze znalezienia pracy, wreszcie uwierzył, że potrafi żyć samodzielnie w dwudziestym drugim wieku.

Jego dobry nastrój znikł bez śladu, gdy po drodze do hotelu zobaczył samotnego mężczyznę. Stał na brzegu chodnika i patrzył na Blaine'a wyblakłymi oczami Buddy. Jego podarte ubranie wisiało w strzępach, biała twarz rzucała się w oczy. Zombie.

Blaine pospieszył do hotelu, nie chcąc stykać się z niebezpieczeństwem. No cóż, jeśli mogą na niego patrzeć inni, może i zombie.

Pomimo tej refleksji, przez całą noc prawie nie zmrużył oka. Wciąż śniły mu się koszmary.

\* \* \*

Wczesnym rankiem Blaine wyszedł z domu, aby udać się pod adres podany mu przez Franchela. Gdy stał, czekając na autobus, był świadkiem zamieszania.

Jakiś mężczyzna zatrzymał się na krótko pośrodku chodnika pełnego ludzi. Śmiał się do siebie, zrobiło się wokół niego pusto. Miał około pięćdziesięciu lat, ubrany był jak solidny biznesman.

Nagle przestał się śmiać. Otworzył trzymaną w ręku teczkę i wyjął dwa długie, lekko wygięte sztylety. Odrzucił teczkę, zdjął z nosa okulary i również rzucił je na chodnik.

- Szaleniec! - ktoś krzyknął.

Mężczyzna zanurzył się w tłumie. Obydwa sztylety zabłysły w słońcu. Ludzie zaczęli krzyczeć, rozbiegali się na boki.

- Szaleniec, szaleniec!

- Wezwijcie policję!

Ktoś upadł. Klął trzymając się za zranione ramię. Twarz szaleńca zrobiła się purpurowa, z warg toczyła mu się piana. Pobiegł w kierunku większego ścisku. Ludzie, usiłując uciec mu z drogi, wpadali na siebie. Jakaś kobieta, obładowana zakupami, straciła równowagę. Wszystkie paczki rozsypały się po chodniku. Wojownik usiłował zranić ją w lewą rękę, ale nie trafił i pobiegł w głąb tłumy.

Zjawili się kilku policjantów w niebieskich mundurach.



- Położyć się na ziemię! - krzyczeli. - Wszyscy kładą się na ziemię!

Wstrzymano ruch. Ludzie, którzy znajdowali się w pobliżu szaleńca, upadli na ziemię. Również tam, gdzie stał Blaine, wszyscy się kładli.

Drżąca, dwunastoletnia dziewczynka pociągnęła Blaine'a za rękę.

- Niech pan się kładzie na chodniku. Chce pan, żeby trafili w pana?

Położył się. Wojownik zawrócił i biegł teraz w stronę policjantów, machając sztyletami i wydając jakiś obłąkany krzyk.

Natychmiast trzech policjantów nacisnęło spusty. Z ich broni wydobyły się lekko żółte promienie, które trafiając w szaleńca, przybrały czerwoną barwę. Ten krzyknął, odwrócił się i zaczął uciekać. Promień dosięgnął go. Reszką sił rzucił sztylety w stronę policjantów i opadł bezwładnie na ziemię.

Z góry nadleciała karetka. Szybko zanesiono do środka szaleńca i jego ofiary. Policjanci zaczęli rozganiać tłum, który się zebrał wokoło.

- No, koniec, rozejść się!

Tłum topniał. Blaine wstał i otrzepał się z pyłu.

- Kto to był?

- Wojownik, głuptasie - odpowiedziała dziewczynka. - Nie widziałeś?

- Widziałem. Wielu ich macie?

Przytaknęła z dumą.

- W Nowym Jorku jest więcej wojowników niż w innych miastach na świecie. Jedynie w Manili jest więcej, tam nazywają ich furiatami. Ale niczym się nie różnią od naszych. U nas jest ich z pięćdziesięciu rocznie.

- Więcej - wtrącił mężczyzna. - Może nawet z osiemdziesięciu. Ale ten nie reprezentował zbyt wysokiego poziomu.

Wokół Blaine'a i dziewczynki skupiło się kilka osób. Rozmawiali o wojowniku, podobnie jak w dwudziestym wieku świadkowie wypadku samochodowego.

- Ile osób dostał w swoje ręce?

- Tylko pięć. I wątpię, żeby kogoś zabił.

- Nie włożył w to serca - powiedziała starsza kobieta. - Kiedy byłam małą dziewczynką, nie dawało się ich tak łatwo pokonać.

- Cóż, wybrał zły punkt. Ulica 42 roi się od policjantów.

Zanim się rozkręcił, już został złapany.

Podszedł do nich wysoki policjant.

- No, dosyć rozmowy. Skończona zabawa, rozejdźcie się.

Rozproszyli się na boki. Blaine wszedł do swojego autobusu. Rozmyślał nad tym, dlaczego pięćdziesięciu lub więcej ludzi pewnego dnia dochodzi do wniosku, żeby zacząć walkę. Napięcie nerwowe? Wypaczona forma indywidualizmu? Przesłupstwo?

Przybył mu jeszcze jeden problem do zastanowienia.

15

Kamerdyner zaprowadził go do przestronnego pokoju, w którym stały ustawione rzędem krzesła. Siedzący na nich mężczyźni stanowili grupę głośno mówiących, wytrzymałych na trudy, żyłastych typków, z których każdy niewiele dbał o garderobę. Większość z nich dobrze się znała.

- Hej, Otto! Wzięłeś się za polowania?

- Aha. Nie mam forsy.

- Wiedziałem, że wrócisz do nas. Tim!

- Cześć, Bjorn. To jest moje ostatnie polowanie. - Na pewno. Do przyszłego.
  
- Nie, naprawdę zamierzam się wycofać. Kupuję farmę na północnym Atlantyku. Potrzebuję jeszcze trochę gotówki.
  
- Aby ją przepić.
  
- Tym razem na pewno nie.
  
- Theseus! Jak się miewa twoje zwichnięte ramię?
  
- Nieźle, Chico. Que tal?
  
- Całkiem, całkiem, chłopcze.
  
- O, pojawił się Sammy Jones, jak zawsze ostatni.
  
- Chyba się nie spóźniłem?
  
- Tylko dziesięć minut. Co z twoim cieniem?
  
- Sligo? Nie żyje. Polowanie na Asturiasa.
  
- Marnie. Zaświaty?

- Nie sędę.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Zawołał:

- Panowie! Proszę o uwagę.

Przeszedł na środek pokoju. Trzymając ręce na biodrach, stanął na przeciwko myśliwych. Był szczupły, żylasty, średniego wzrostu. Ubrany w czerwone bryczesy i rozpiętą pod szyją koszulę. Jego bystre oczy patrzyły z wąskiej, drobnej twarzy na siedzących mężczyzn, którzy pod tym spojrzeniem czuli się wyraźnie nieswojo. Wreszcie odezwał się.

- Dzień dobry panom. Nazywam się Charles Hull, jestem waszym pracodawcą i zwierzyną - mówiąc te słowa uśmiechnął się chłodno. - Przede wszystkim kilka słów na temat legalności naszego przedsięwzięcia. Mój prawnik zapoznał się ze wszystkimi ostatnio dokonanymi zmianami. Naświetli nam tę sprawę. Ma pan głos, panie Jensen.

Do pokoju wszedł mały, nerwowy człowieczek. Nałożył okulary i przeczyścił gardło.

- Tak, panie Hull. Panowie, co się tyczy obecnych przepisów prawnych, regulujących polowania, to zgodnie z poprawkami do Ustawy o samobójcach z 2102 każdy człowiek, który ma zapewnione życie wieczne, może wybrać sobie moment śmierci i jej rodzaj oraz miejsce, w którym dokona samobójstwa, o ile nie jest to czyn zbyt okrutny. Według obowiązujących przepisów ciało człowieka, który ma zapewnioną wieczność, nie jest równoznaczne z człowiekiem jako takim i zniszczenie go nie pociąga za sobą żadnej kary.

Podczas tego wyjaśniania Hull przemierzał pokój szybkimi, miękkimi krokami. Teraz zatrzymał się.

- Dziękuję panu, Jensen. Nie można więc w żaden sposób podważyć mojego prawa do samobójstwa. Również nie ma nic nielegalnego w wyborze takich jak wy mężczyzn do dokonania tego. Wasze

postępowanie nie może być w żaden sposób karalne, co gwarantują odpowiednie przepisy. Wszystko gra. Wątpliwości budzi jedynie ostatnia poprawka.

Skinął w kierunku Jensen.

- Ostatnia poprawka mówi, że człowiek może wybrać sobie rodzaj śmierci i tak dalej "o ile nie wiąże się to z naruszeniem cielesnej powłoki innych".

- Ten przepis jest źródłem kłopotów. Polowanie jest legalną formą samobójstwa. Czas i miejsce zostało już wybrane. Wy, myśliwi, tropicie mnie. Ja, zwierzyna, uciekam. Gdy któryś mnie dopadnie - zginę. Wspaniale, z jednym wyjątkiem. - Odwrócił się w stronę prawnika. Panie Jensen, może pan opuścić pokój. Nie chciałbym wpędzać pana w jakieś tarapaty.

Po wyjściu prawnika Hull kontynuował wątek.

- Jedyne problem polega na tym, że będę uzbrojony i będę robił wszystko co w mojej mocy, aby was zabić. Któregokolwiek. Wszystkich. A TO - jest nielegalne usiadł z wdziękiem na krześle. - Jednakże przestępstwo jest moim dziełem. Ja was zatrudniłem, a wy zupełnie nie orientowaliście się, że zamierzam się bronić. Oczywiście to, co proponuję, jest stworzone na użytek ewentualnej obrony. Jeśli zostanę przyłapany na próbie morderstwa, poniosę karę. Ale wy będziecie czyści jak łąza. Gdy któryś z was zabije mnie, tym samym uwolni mnie od ziemskiej sprawiedliwości. Jeżeli dojdzie do tego nieszczęścia, że zabiję wszystkich z was, będę zmuszony dokonać samobójstwa w bardziej prozaiczny, staroświecki sposób. Ale doprawdy, poczuję się rozczarowany. Ufam, że mnie nie zawiedziecie. Są jakieś pytania?

Myśliwi zaczęli wymieniać między sobą uwagi.

- Pewny siebie sukinsyn.

- Nie przejmuję się tym, wszyscy są tacy.

- Myśli, że fiest od nas lepszy - on i ta jego gadanina. - Zobaczymy, co będzie gadał, gdy znajdzie się w nim kawałek stali.

Hull uśmiechnął się zimno.

- Wspaniale. Sądzę, że wszystko jest jasne. Teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, powiedzcie mi swoje rodzaje broni.

Myśliwi jeden po drugim udzielali wyjaśnień.

- Maczuga.

- Sieć i trójzęb.

- Włócznia.

- Bolas. - Szabla.

- Bagnet - odpowiedział Blaine, gdy przyszła na niego kolej.

- Pałasz.

- Berdysz.

- Miecz.

- Dziękuję panom. Ja będę uzbrojony w rapier i oczywiście nie założę żadnego pancerza. Spotkamy się w niedzielę o świcie, na terenie mojej posiadłości. Kamerdyner da każdemu z was informację, w jaki sposób tam się dostać. Niech zostanie człowiek od bagnetu. Do widzenia pozostałym.

Myśliwi wyszli.

- Walka na bagnety jest niespotykaną umiejętnością. Gdzie się pan jej nauczył?

Blaine zawahał się, po czym powiedział:

- W wojsku, między rokiem 1943 a 1945.

- Jest pan z przeszłości?

Potwierdził.

- Interesujące - powiedział Hull, nie zdradzając najmniejszych oznak zaciekawienia. - A więc jest to pana pierwsze polowanie?

- Tak.

- Wydaje się pan osobą obdarzoną pewną dozą inteligencji. Przypuszczam, że wybrał pan tak niebezpieczną pracę z jakiś szczególnych powodów?



- Brak mi pieniędzy, a nie jestem w stanie znaleźć innego zajęcia.

- Oczywiście - zgodził się Hull, jakby znał wcześniej odpowiedź. - A więc wziął się pan za polowania. Nie jest to jednak zajęcie dla każdego. Potrzebne są szczególne zdolności, między innymi zdolność do popełnienia morderstwa. Czy jest pan pewny, że ją posiada?

- Ufam, że tak - odrzekł Blaine, choć jeszcze nie zastanawiał się nad tym problemem.

- Mam pewne wątpliwości. Pomimo swojego wyglądu nie stwarza pan wrażenia, że jest człowiekiem tego rodzaju. Jak pan postąpi, gdy okaże się, że pomylił się pan w ocenie swoich możliwości? Jeśli zawaha się pan w ważkim momencie, gdy stal uderzy o stal?

- Zobaczę.

Hull skinął głową.

- Ja również. Być może, jest w panu głęboko ukryta żądza krwi. Ta wątpliwość doda smaku grze. Choć może pan nie zdąży się w niej rozsmakować.

- Moje zmartwienie - odpowiedział Blaine czując, jak narasta w nim niechęć do swojego eleganckiego pracodawcy, pełnego retorycznych pytań. - Czy mogę zadać panu pytanie?

- Jestem do pana usług.

- Dziękuję. Dlaczego chce pan umrzeć?

Hull spojrział na niego i wybuchnął śmiechem.

- Teraz jestem pewny, że jest pan z przeszłości! Co za pytanie!

- Czy mógłby pan na nie odpowiedzieć?

- Oczywiście. - Hull wyciągnął się. W jego oczach można było dostrzec pewnego rodzaju rozmarzenie. Mam czterdzieści trzy lata. Oznacza to, że przeżyłem już mnóstwo dni i nocy. Jestem bogaty i zawsze mogłem robić wszystko, na co miałem ochotę. Znużyłem się przeżyciami. Kiedy byłem młody, każdy dzień przynosił mi ekscytację, przeżycie. Teraz wlecze się godzina po godzinie - bez końca. I nie przynoszą nic nowego. Nasza Ziemia nie ma już nic do zaoferowania. Kiedyś wyobrażałem sobie, że Ziemia jest skrzynią pełną klejnotów. Teraz okazało się, że są to tylko szkiełka - spojrzał na Blaine'a, sprawdzając efekt swoich słów. - Czekam na nudę. Wybrałem coś innego: ostatnią przygodę, którą może mi się przydarzyć na Ziemi - przygodę ze Śmiercią, bramą do wieczności. Rozumie mnie pan?

- Oczywiście - odpowiedział Blaine, coraz bardziej zirytowany pozą tamtego. - Ale po co ten pośpiech? Śmierć zaczeka, a życie może dostarczyć jeszcze wielu przyjemności.

- Mówi pan jak dwudziestowieczny optymista. - Hull roześmiał się. - Życie jest realne, należy je brać na serio... W pańskich czasach rzeczywiście musieliście w to wierzyć. Jaki mieliście przed sobą wybór? Ilu z was tak naprawdę wierzyło w wieczne życie?

- Pańskie słowa nie podważają mojego punktu widzenia - powiedział Blaine. Coraz bardziej denerwowało go, że musi zachowywać się z respektem.

- Ależ wprost przeciwnie! Zmieniły się poglądy na temat życia i śmierci. Zamiast stosować się do banalnych rad Longfellowa, wolimy filozofię Nietzschego - śmierć w odpowiednim czasie. Inteligentni ludzie nie trzymają się kurczowo życia, wiedzą, że przebywanie na Ziemi jest tylko częścią ich egzystencji. Czemu nie mieliby skrócić pobytu tutaj, skoro mają na to ochotę? Czemu zdolni uczniowie nie mieliby przyspieszyć swojej edukacji o rok czy dwa? Tylko przestraszeni głupcy starają się wydłużyć życie, choćby o dzień, choćby o sekundę.

- Przestraszeni głupcy - powtórzył Blaine - i ci, którzy nie mieli szczęścia zarobić dostatecznie dużo, żeby wykupić ubezpieczenie na wieczne życie.

- Bogactwo związane jest z pewnymi przywilejami Hull uśmiechnął się lekko - podobnie jak nakłada pewne obowiązki. Jednym z nich jest śmierć we właściwym czasie, zanim człowiek stanie się swoim własnym przekleństwem. Czyny są jednak ostatecznym kryterium wartości i to, jak zachowa się podczas swojej ostatniej przygody na Ziemi, wskaże czy, i na ile, jest godny bycia człowiekiem. - Jego oczy ożywiły się. - Nie chciałbym, doprawdy, zetknąć się z nią leżąc w łóżku. Nie życzę sobie zwykłej, pospolitej śmierci. Taki obraz budzi we mnie niesmak. Wolę umrzeć w walce!

Blaine mimo woli przytaknął. Pomyślał z żalem o swojej śmierci. Jakże zwykła i pospolita. W porównaniu z nią śmierć Hulla pełna była godności. Nie brak w niej było pretensjonalności, oczywiście, ależ ile siły! Hull przypominał jednego z dawnych samurajów, przygotowujących spokojnie harakiri. Człowieka, który podkreśla swoim czynem wagę życia. Ale harakiri istniało na pasywnym Wschodzie. Hulk jako człowiek Zachodu, wybrał stosowną śmierć - pełną walki i brutalności.

Podziwu godne, ale denerwujące dla człowieka, który jeszcze nie przygotował się do śmierci.

- Nie mam nic przeciwko panu ani innym, którzy wybierają rodzaj swojej śmierci, ale co stanie się z myśliwymi, których zamierza pan zabić? Oni nie chcą umrzeć i nie mają zapewnionej wieczności.

Hull wzruszył ramionami.

- Sami wybrali takie życie. Wolą igrać z ryzykiem niż spać spokojnie. Blaine, zmienił pan zamiary?

- Nie.

- A więc do niedzieli.

Blaine podszedł do drzwi i wziął od kamerdynera kartkę z instrukcjami. Gdy już opuszczał pokój, odwrócił się w stronę Hulla.

- Zastanawiam się, czy wziął pan pod uwagę ostatnią rzecz.

- O co chodzi?

- Musiał pan również pomyśleć o takim prawdopodobieństwie, że cały ten wypracowany system - naukowa wieczność, głosy zmarłych, duchy - jest zwykłym oszustwem na gigantyczną skalę, spreparowanym przez Korporację "Zaświaty".

Hull milczał przez chwilę. Gdy wreszcie odezwał się, w jego głosie słychać było cień poirytowania.

- Niemożliwe. Jedynie ludzie bez żadnego wykształcenia mogą tak myśleć.

- Być może, ale czy okazałby się pan głupcem, gdyby rzeczywiście to był jedynie dobry kawał? Do widzenia, panie Hull.

Wyszedł zadowolony, że choć na chwilę udało mu się wyprowadzić z równowagi tego przemądrzałego sukinsyna. I smutny, że jego własna śmierć miała być tak pospolita.

Następnego dnia, w sobotę, Blaine wstąpił do Franchela po broń i wyposażenie. Dostał zaliczkę, pomniejszoną o koszt ekwipunku i procent pośrednika. Pieniądze przydały mu się, gdyż pozostało mu tylko niewiele więcej niż trzy dolary.

Poszedł do Łącznicy Duchów, ale nie było żadnej informacji od Melhilla. Powrócił do pokoju. Resztę dnia spędził ćwicząc walkę na bagnety.

Wieczorem poczuł się poddenerwowany. Wpadł do małej knajpki, stylizowanej na dwudziestowieczny bar. Wyposażony był w drewniane stołki, balustrady z brązu, połyskujący bufet, na podłodze leżały trociny. Usiadł w jednej z kabin i zamówił piwo. Neonowe światło paliło się miękko, a z szafy grającej dolatywały melodie Glenna Millera i Benny Goodmana. Wypił piwo. Zapytał siebie ponuro, kim tak naprawdę jest. Czy rzeczywiście zatrudnił się jako zabójca człowieka? Jeśli tak, to co stało się z Tomem Blaine'em, byłym konstruktorem jachtów, który rozsmakował się w książkach, uwielbiał słuchać muzyki klasycznej i oglądać dobre sztuki? Co się stało z tym spokojnym, sardonycznym, zawsze ustępującym mężczyzną?

Na pewno tamten człowiek, gdyby miał jeszcze swoje miękkie, nerwowe, delikatne ciało, nie zdecydowałby się na zabójstwo!

Czyż nie?

Czyżby obecne ciało Blaine'a zwyciężyło jego psychikę i, kierując swymi instynktami, doprowadziło do wyboru takiego postępowania?

Przymknął oczy i pomyślał, że ma jakieś nonsensowne myśli. Prawda była prosta: zmarł w wyniku wypadku, został przeniesiony w inne czasy i nie mógł znaleźć innego zajęcia niż polowanie.

Ale pomimo dojścia do tego wniosku, nie uspokoił się. Nie miał już czasu na niezaangażowaną obserwację. Stał się jednym z aktorów występujących w 2110 roku. Musiał podjąć grę. Hamulce

przestały działać i nie pozostało mu nic innego, jak zjeżdżać coraz szybciej w dół ze stromej góry, zwanej Życiem. Być może teraz jest ostatnia szansa, aby spojrzeć wstecz, zastanowić się.

Nie. Już było za późno. Uprzytomnił to sobie na widok mężczyzny, który usiadł na przeciwko niego. Spojrzał na białą, nieruchomą twarz zombie.

- Dobry wieczór - odezwał się zombie.

- Dobry wieczór - odpowiedział poważnie Blaine. Chcesz się napić?

- Nie, dziękuję. Moje ciało nie reaguje na środki pobudzające.

- Przykre.

Zombie wzruszył ramionami.

- Mam teraz imię - powiedział. - Zdecydowałem, że dopóki nie przypomnę sobie swego prawdziwego, będę nazywał się Smith. Podoba ci się?

- Wspaniale brzmi.

- Dziękuję. Poszedłem do lekarza. Powiedział mi, że moje ciało nie jest w dobrym stanie. Brak sił życiowych, zdolności regeneracji.

- Nie mogą ci pomóc?

Smith potrząsnął głową.

- Ciało jest bez wątpienia zombie. Zbyt późno dostałem się do środka. Doktor dał mi najwyżej kilka miesięcy.

- Smutne - rzekł Blaine, czując narastające obrzydzenie na widok tej posępnej twarzy o ostrych rysach. Smith siedział w jakiś osobliwy sposób. Ubrany był jak robotnik, jego policzki wyglądały na świeżo ogolone, pachniał wodą toaletową, ale już wyczuwało się w nim zmianę. Dookoła oczu, nosa i ust skóra straciła swoją elastyczność. Na czole pojawiły się skazy podobne do śladów narzędzia na starej skórze. Z zapachem wody toaletowej docierał słaby odór rozkładu.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał Blaine.

- Nie wiem.

- A więc daj mi spokój.

- Nie mogę - powiedział przeproszającym tonem Smith.

- Chcesz mnie zabić?

- Nie wiem! Nie pamiętam. Zabić, chronić, zranić czy kochać - nie wiem jeszcze. Ale sobie przypomnę, obiecuję ci to.

- Zostaw mnie w spokoju. - Blaine czuł napięcie w mięśniach.

- Nie mogę. Nie rozumiesz? Nic nie jest mi znane, tylko ty. Dokładnie nic! Nie znam tego świata ani innego, żadnej osoby, twarzy, nic nie pamiętam. Jesteś ośrodkiem mego istnienia, jedynym powodem.

- Skończ z tym wreszcie!

- Ale ja mówię prawdę! Czy myślisz, że poruszanie tej rozpadającej się kupy mięśni sprawia mi przyjemność? Po co żyć, skoro nie wiem nic o przeszłości? Lepsza śmierć! Życie jest dla mnie więzieniem, śmierć przyniesie mi wyzwolenie. Marzę o niej. Ale jesteś jeszcze ty i dlatego wciąż chodzę po ziemi.

- Wynoś się! - powiedział pełen obrzydzenia.

- Ty jesteś moim słońcem i księżycem, gwiazdami i ziemią, moim wszechświatem, życiem, przyjacielem, wrogiem, kochankiem, mordercą, żoną, ojcem, dzieckiem, mężem...

Blaine zadał cios, uderzając Smitha w oko. Zombie spadł ze stołka. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, jedynie pod okiem pojawiła się czerwona plama.

- Twój znak! - powiedział Smith.

Pięść Blaine'a, już uniesiona do powtórnego ciosu, opadła. Smith podniósł się.

- Idę. Bądź ostrożny, Blaine. Nie umrzyj za wcześnie. Potrzebuję ciebie. Wkrótce wszystko sobie przypómnę i powrócę.

Opuścił bar.

Blaine zamówił podwójną whisky i przez długi czas siedział nad szklanką, starając się uspokoić swoje drżące ręce.



Do posiadłości Hulla dotarł odrzutowym autobusem. Do świtu pozostała jeszcze godzina. Ubrany był w tradycyjny strój myśliwych: koszulę khaki, takie same luźne spodnie, buty na gumowych podszwach i kapelusz o szerokim rondzie. Karabin i bagnet niósł schowane w torbie.

Przy bramie czekał na niego służący. Poprowadził go do niskiej rezydencji. Blaine dowiedział się, że lesista posiadłość Hulla rozciągała się na obszarze dziewięćdziesięciu akrów. Leżała między Keene i Elizabethtown w górach Adirondack. Tutaj, jak poinformował go służący, ojciec Hulla popełnił samobójstwo w wieku pięćdziesięciu jeden lat, zabijając podczas polowania sześciu myśliwych, zanim pokonał go człowiek z mieczem. Pełna chwały śmierć! Wuj Hulla z kolei wołał zostać wojownikiem w San Francisco. Policja musiała strzelić do niego dwanaście razy, zanim upadł. Zabił siedmiu przechodniów. Wiele pisały o tym wypadku gazety i w kronice rodzinnej zachowano kilka artykułów.

W ten sposób, uważał sługa, ujawnia się różnica temperamentu. Niektórzy, jak wuj, towarzyscy, lubiący rozrywki ludzie, chcieli umierać w tłumie, wywołując zainteresowanie. Inni, jak obecny pan Hull, bardziej woleli naturę i samotność.

Blaine przytakiwał uprzejmie. Zaprowadzono go do pokoju, w którym przebywali już pozostali myśliwi, pijąc kawę i dokonując ostatniego przeglądu broni. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to scena ze średniowiecza. Blaine'owi zdecydowanie przypominało to kadr z filmu.

- Przysuń swoje krzesło, kumplu - powiedział człowiek z toporem. - Witaj w naszym Towarzystwie Dobroczyńności i Opieki nad Mordercami i Zabójcami. Nazywam się Sammy Jones, jestem

najlepszym topornikiem w Ameryce, a może i w Europie.

Blaine usiadł. Przedstawił się obecnym. Pochodzili z różnych krajów, ale obowiązującym w rozmowach językiem był angielski. Sammy Jones, o szerokiej klatce piersiowej i mięśniach karku jak u byka, musiał stoczyć już niejedną walkę. Jego twarz pokryta była bliznami.

- Pierwsze polowanie? - zapytał, patrząc na nowy strój Blaine'a.

Ten przytaknął. Wyjął strzelbę z torby i umocował bagnet. Sprawdził umocowanie, poluzował i ponownie wyjął bagnet. - Rzeczywiście umiesz się tym posługiwać? - zapytał Jones.

- Pewnie - odpowiedział z większą pewnością, niż czuł.

- Mam nadzieję, że tak jest. Faceci tacy jak Hull mają nosa. Potrafią szybko dostrzec najslabszych i ich jako pierwszych eliminują.

- Jak długo trwa polowanie?

- Najdłuższe zajęło mi osiem dni. Na Asturiasa, gdzie zginął mój partner Sligo. Silna grupa potrafi ubić zwierzynę w ciągu jednego, dwu dni. Zależy od tego, jak bardzo jest przywiązany do życia. Niektórzy usiłują przeciągnąć polowanie tak długo, jak to jest możliwe. Uciekają przed nami. Chowają się w ciemnych, głębokich miejscach i chcą, żebyśmy tam za nimi wchodzili, narażając się na zdradzieckie pchnięcie. Tak zginął Sligo. Ale nie sądzę, żeby Hull był takim człowiekiem. Chce umrzeć jak wielki bohater, prawdziwy mężczyzna. Będzie krążył wokół nas, usiłując jak najwięcej osób nadziać na swój pogrzbacz.

- Mówisz tak, jakby ci się to nie podobało.

Sammy Jones uniósł brwi.

- Nie cierpię, jak wokół umierania robi się tyle hałasu. Ale oto nasz bohater.

Do pokoju wszedł Hull, jak zawsze elegancki. Dookoła szyi miał zawiązaną białą jedwabną chustkę. Niósł lekką torbę, u pasa wisiał mu cienki, ostry rapier.

- Dzień dobry, panowie - powiedział. - Broń przyszykowana, sznurowadła zawiązane? Wspaniale!

Podszedł do okna i odsunął zasłony.

- Jeszcze nie wzeszła jutrzienka - świetlisty blask na wschodzie nieba, zwiastun naszego Pana Słońca, które podąża panować nad światem. Muszę już opuścić to miejsce. Służący poinformuje was, kiedy upłynie moje półgodzinne wyprzedzenie. Wówczas możecie przystąpić do polowania - i zabić mnie. Jeśli będziecie w stanie.

Uklonił się i wyszedł.

- Boże, jak ja nie cierpię tych gogusiów! - krzyknął Sammy Jones, gdy tylko za Hullem zamknęły się drzwi. Wszyscy są jak dwie krople wody. Zachowują się tak godnie, tak heroicznie. Żeby wiedzieli, jakimi są głupcami w moich oczach! W oczach człowieka, który brał udział w dwudziestu ośmiu polowaniach.

- Dlaczego jesteś myśliwym? - zapytał Blaine.

Sammy Jones wzruszył ramionami.

- Mój ojciec był topornikiem. Nauczył mnie, jak się z tym obchodzić. Nic więcej nie umiem robić.

- Przecież mógłbyś nauczyć się czegoś innego?

- Pewnie tak. Ale ja lubię zabijać tych arystokratycznych zgniłków. Nienawidzę ich wszystkich, z ich wiecznością, na którą nie stać zwykłego człowieka. Sprawia mi przyjemność zabijanie ich i jeśli bym miał pieniądze, z chęcią bym płacił za ten przywilej.

- Hull lubi takich jak ty biednych ludzi. Smutny jest ten świat.

- Nie, tylko uczciwy. Wstań, poprawię ci pas u torby.

Kiedy już się z tym uporał, powiedział:

- Słuchaj, Tom, może byśmy się stowarzyszyli podczas tego polowania, co? Chronili nawzajem?

- Myślisz o ochranianiu mnie?

- Nie ma powodu do wstydu. Każdy musi się uczyć, zanim stanie się wytrawnym łowcą. I gdzie znajdziesz lepszego nauczyciela niż ja - najlepszy myśliwy ze wszystkich?

- Dzięki, ale sam będę osłaniał swoje plecy.

- Z pewnością sobie poradzisz. Pamiętaj, Hull jest szermierzem, a oni mają swoje tricki. Objasnię ci je, jak będziemy iść jego tropem.

Wszedł służący, niosąc stary, ozdobny zegar. Gdy minutowa wskazówka minęła dwunastkę, spojrzął chłodno na zebranych.

- Panowie. Minał już czas, jaki daje się zwierzyńie. Polowanie może się rozpocząć.

Myśliwi wyszli na dwór. Wstawał świt. Theseus, tropiciel, szybko znalazł ślady. Wiodły na zbocze góry. Rozciągnięci w długi sznur zaczęli się wspinać w górę.

Wkrótce słońce rozproszyło mrok. Theseus stracił trop, gdy ślad dotarł do gładkiej skały. Myśliwi łamaną linią kontynuowali wspinaczkę. W południe człowiek uzbrojony w miecz znalazł strzęp jedwabiu koloru khaki na gałązce krzewu. Z takiego materiału uszyty był strój Hulla. Kilka minut później Theseus znalazł ślady stóp na mchu. Prowadziły w dół ku wąskiej, zadrzewionej kotlinie. Myśliwi przyspieszyli.

- Tutaj jest! - krzyknął jeden z nich.

Blaine spojrział w stronę, skąd dochodził krzyk. Jakieś pięćdziesiąt jardów po prawej stronie znajdował się człowiek z gwiazdą. Zbiegł w dół. Był to jeden z najmłodszych uczestników polowania, pewny siebie Sycylijszyk. Jego broń składała się z rączki z jesionu, do której przymocowany był łańcuch. U jego końca wisiła ciężka, nieforemna kula. Machał swoją bronią nad głową, nucąc piosenkę.

Sammy Jones i Blaine ruszyli w jego stronę. W tym samym czasie Hull wypadł z zarośli z rapierem w rękę. Sycylijszyk pochylił się i zadał uderzenie zdolne powalić drzewo. Hull odsunął się nieco, wyminął kulę i zadał pchnięcie.

Młody człowiek zarzęził i upadł na ziemię, krwawiąc z przeciętego gardła. Hull postawił stopę na jego ~ piersi, wyciągnął rapier z rany i zniknął wśród krzewów.

- Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie walczą za pomocą gwiazdy. Jeśli raz nie trafisz, już nie masz czasu na powtórne uderzenie - powiedział Sammy Jones.

Sycylijszyk nie żył. Wśród krzewów wyraźnie rysował się ślad pozostawiony przez Hulla. Poszli za nim, wraz z innymi myśliwymi. Niektórzy ubezpieczali ich po bokach. Wkrótce ponownie dotarli do

litej skały i stracili trop.

\* \* \*

Szukali go przez całe popołudnie, bez większego szczęścia. Po zachodzie słońca zrobili postój. Po wystawieniu straży skupili się wokół małego ogniska, rozmawiając o przebiegu polowania.

- Jak myślisz, gdzie on jest? - zapytał Blaine.

- W każdym miejscu tej przeklętej posiadłości. Pamiętaj, że on zna tu każdy zakątek. My jesteśmy tu po raz pierwszy.

- A więc może się przed nami skryć tak, że go nie znajdziemy.

- Jeśli zechce. Ale on chce umrzeć, nie pamiętasz? Jak bohater. Będzie się starał więc być zawsze w pobliżu nas i walczyć.

Blaine popatrzył na ciemny las.

- Może jest tam, podsłuchuje nas.

- Bez wątplenia. Mam nadzieję, że strażnicy nie utną sobie drzemki.

Rozmowy ucichły. Blaine zapragnął, aby już był świt. Ciemność odwracała role. Myśliwi stali się zwierzyną, na którą polował okrutny, bezwzględny samobójca, dążący do zabrania ze sobą jak największej liczby ludzkich istnień.

Z tą myślą zasnął.

Jakiś czas przed świtem obudził go jęk. Chwyając za karabin poderwał się na nogi i spojrzał w ciemność. Rozległ się jeszcze jeden głośny skowyt, tym razem bliżej niego, a potem hałas dobiegający spośród drzew. Ktoś rzucił na ognisko garść liści.

W jasnym blasku płomienia Blaine ujrzał mężczyznę z dwoma krwawiącymi ranami. Był to jeden ze strażników, uzbrojony we włócznię. Jego rany nie wyglądały zbyt groźnie.

- Ten sukinsyn - wyjęczał włóczniarz - ten pieprzony sukinsyn.

- Uspokój się, Chico - powiedział jeden z mężczyzn, obmywając mu rany. - Udało ci się go dostać?

- Zbyt szybki. Nie trafiłem go - westchnął włóczniarz.

Nikt już nie zmrużył oka tej nocy.

\* \* \*

W pierwszych promieniach poranka myśliwi ruszyli ponownie. Byli wściekli. Pierwszy znalazł ślad

Theseus. Podążyli ku szczytowi.

Idący przodem Otto krzyknął nagle: - Hej! Mam go!

Ruszył w jego stronę Theseus, za nim pobiegli Blaine i Jones. Zobaczyli, jak Hull cofa się, śledząc poczynania Otta. Ten rozwinął swoje łąso, rzucił je w stronę Hulla. Trzy kule z ąelaza zaświstały przecinając powietrze. Wtedy Otto puścił koniec sznura. W tej samej chwili Hull upadł na ziemię. ąaso przeleciało nad nim i owinęło się dookoła drzewa. Otto pozostał bezbronny. Hull podążył w jego stronę, ale wcześniej dotarł do niego Theseus. Zaczęli walczyć: rapier z trójzębem. Nagle Hull odwrócił się i zaczął uciekać. Theseus zadał pchnięcie. Zwierzyna wydała jęk, ale nie ustawała w biegu.

- Zraniłeś go? - spytał Jones.

- Najwyżej drasnąłem - odpowiedział. - Najwięcej dostało się jego dumie.

Myśliwi pobiegli za Hullem, lecz ponownie stracili go z oczu. Ponieważ góra zwężała się, rozproszyli się tak, aby Hull nie mógł uciec i zejść ich od tyłu. Od czasu do czasu napotykali na zostawione przez niego ślady. Późnym popołudniem dotarli prawie pod sam szczyt. Wokół niego rozciągało się rumowisko skał, istny labirynt.

- Bądźcie ostrożni! - zawołał Jones do pozostałych.

Jeszcze nie przebrzmiało echo tych słów, jak zza skały wyłonił się Hull. Zaatakował starego Bjorna, którego bronią była maczuga. Jego rapier błysnął w słońcu. Wyraźnie starał się położyć Bjorna jednym pchnięciem i zniknąć, zanim pozostali zdążą pospieszyć mu na pomoc.

Ale Bjorn nie dał się zaskoczyć. Zaczął flegmatycznie parować pchnięcia. Hull zaatakował, zdenerwowany jego powolnością - i ledwo udało mu się uniknąć ciosu maczugi. Stary zbliżył się jednak zbyt szybko. Z szybkością błysku światła rapier zagłębił się w jego piersi i maczuga wypadła z bezwładnych rąk. Ciało Bjorna zaczęło staczać się w dół góry.



Myśliwi ponownie zamknęli koło. Hull zniknął w plątaninie głazów.

Blaine zauważył zbliżający się zachód słońca.

- Dzień się już kończy - powiedział do Jonesa.

- Zostało nam jeszcze z pół godziny silnego światła. Jones spojrzął na niebo. - Lepiej, żebyśmy teraz go dopadli, bo potem wyłuska nas wśród tych skał z dzieciinną łatwością. Szybciej ruszyli do przodu.

- Może stoczyć na nas głazy.

- Nie on - odpowiedział Jones. - Jest na to zbyt dumny.

W tym momencie Hull wyszedł zza wysokiej skały nie opodal Blaine'a.

- Bo roboty, karabinierze.

Blaine ledwo sparował pchnięcie. Ostrze rapiera minęło o cal jego szyję. Instynktownie cofnął się do tyłu. Potem z zaciekłością ruszył naprzód. Znikł z niego człowiek, który mógł mówić o sobie, że przypadkiem znalazł się w gronie myśliwych. Stał się istotą czerpiącą rozkosz z morderczej walki.

Zwierzyna unikała jego pchnięć z dużą gracją. Blaine szedł za nim krok po kroku, wściekłość kłębiła się w jego mózgu. Nagle został odcięty do tyłu przez Jonesa.

- Mój. Teraz jesteś już mój, Hull - powiedział Jones. - Wypróbuj na mnie swojego pogrzebacza.

Hull z nieruchomą twarzą zaatakował. Jones stał na lekko ugiętych nogach. Jego dłonie z łatwością poruszały toporem. Sparował pchnięcie Hulla tak mocno, że rapier ugiął się jak cienka gałązka.

Pozostali myśliwi dołączyli do nich. Zajęli miejsca na pobliskich skałach i z wysokości obserwowali pojedynek. Coraz to któryś udzielał Jonesowi rad.

- Przygwoźdź go do skały, Sammy!

- Nie, zrzuć go w przepaść!

- Może ci pomóc?

- Do diabła, nie! - odkrzyknął.

- Uważaj na siebie!

- Nie martw się - odpowiedział Jones.

Blaine stał z boku. Jego wściekłość minęła równie szybko, jak się pojawiła. Patrzył teraz na starcie dwóch przeciwników. Topór Jonesa nie był lekki, ale w jego ręku zdawał się nie ważyć więcej niż piórko. Teraz dopiero widać było różnicę pomiędzy Hullem - uzdolnionym amatorem a prawdziwym wyszkolonym mordercą - Jonesem. Hull nie miał żadnych szans. Jones spychał go w stronę urwiska. Gdy już dotarł na sam skraj przepaści, Jones zadał cios. Topór wbił się w bok Hulla. Ten krzycząc przeraźliwie spadł w przepaść. Po chwili dobiegł ich głuchy odgłos upadku.

- Zaznaczcie, gdzie spadł - powiedział Jones.

- Na pewno jest już martwy - odparł człowiek z mieczem.

- Możliwe. Ale dopóki się nie upewnimy, nie zasługujemy na miano solidnie pracujących ludzi.

Poniżej stoku znaleźli martwe ciało Hulla. Zaznaczyli jego położenie, aby łatwo mogli je znaleźć ludzie zajmujący się pogrzebem, i podążyli w stronę rezydencji.

18

Myśliwi wrócili do miasta i urządzili szalone przyjęcie. Podczas wieczoru Jones zapytał Blaine'a, czy nie chciałby wziąć udziału w innych polowaniach.

- Podpisałem niezłą umowę - powiedział Jones. Pewien Rosjanin chce zorganizować kilka walk gladiatorów. Musiałbyś walczyć włócznią, ale niewiele się to różni od posługiwania się bagnetem. Nauczę cię tego. Potem w Manili będzie wielkie polowanie. Samobójstwo chce popełnić pięciu braci, razem. Zatrudniają pięćdziesięciu myśliwych. Idziesz na to?

Blaine zastanowił się, zanim odpowiedział. Życie myśliwego odpowiadało mu. Dobrze się czuł w towarzystwie prostych, nieokrzęsanych ludzi typu Sammy Jonesa. Odpowiadało mu to zwykłe życie: bez zadawania zbędnych pytań, bez tracenia czasu na jałowe rozmyślenia, wypełnione działaniem nie pozostawiającym żadnych wątpliwości.

Z drugiej strony było coś bezsensownego w tej wędrówce po świecie po to, by zabić jak płatny morderca - nowoczesna wersja zbira, bandyty. Działanie takie ani nie pogłębiało wiedzy, ani nie było dążeniem do określonego celu. Blaine nie zaprzętałby sobie głowy tymi rozważaniami, gdyby był jednością ze swoim ciałem, które jednak ciągnęło go w swoją stronę. Musiał się z nim zmierzyć. Zresztą ten świat na pewno ma mu do zaoferowania inne rzeczy, bardziej pasujące do jego osobowości.

- Przykro mi, Sammy - odpowiedział. Jones potrząsnął głową.

- Popełniasz błąd, Tom. Jesteś urodzonym zabójcą. Nic innego tak ci się nie spodoba.

- Być może - powiedział Blaine - ale muszę spróbować.

- No to życzę ci szczęścia. I dbaj o swoje ciało. Dostałeś coś prima sort.

Blaine mimo woli zamrugnął oczami.

- Czyżby tak łatwo dało się zauważyć, że to nie jest moje?

- Ja już wiele widziałem - zachichotał Jones. - Łatwo rozpoznam, czy ktoś korzysta z żywiciela. Jeśliby twoja psychika urodziła się w tym ciele, polowałbyś wraz ze mną. Ale jeśli w innym...

- Tak?

- Nie poszedłbyś polować. Wcale. Nie jest to dobre połączenie, Tom. Lepiej zastanów się nad sobą.

- Dzięki.

Podali sobie ręce i Blaine opuścił zebranych.

\* \* \*

Dotarł do hotelu. W pokoju rzucił się nie rozbierając na łóżko. Gdy się obudzi, zadzwoni do Marii. Ale przede wszystkim musi się wyspać. Wszystko poza tym musi poczekać.

Zgasił światła. Po chwili już spał.

\* \* \*

Obudził się kilka godzin później. Wydawało mu się, że coś jest nie w porządku. W pokoju panowała ciemność. Było cicho, o wiele ciszej niż można się było spodziewać w tak ogromnym mieście.

Usiadł na łóżku. Od strony miednicy dobiegał jakiś szelest. Wychylił się i zapalił światło. W pokoju nie było nikogo. Mimo to miednica uniosła się powoli, bez niczyjej pomocy w powietrze. W tej samej chwili usłyszał chichot.

Natychmiast pojął, że jest straszony przez złośliwego i hałaśliwego ducha.

Ostrożnie wstał z łóżka i skierował się w stronę drzwi. Niespodziewanie miednica z dużą szybkością poleciała w jego stronę. Uchylił się. Naczynie roztrzaskało się o ścianę.

Teraz uniósł się w powietrze dzbanek. Wraz z nim lewitowały dwa ciężkie kubki. Wirując, skierowały się w jego stronę. Blaine porwał z łóżka poduszkę i osłaniając się nią jak tarczą pobiegł do drzwi. Obrócił klucz w zamku. Kubek roztrzaskał się nad jego głową. Drzwi nie otwierały się. Nie pozwalał na to duch.

Dzbanek uderzył go mocno w zębra. ~ Drugi kubek wirował ostrzegawczo wokół jego głowy. Musiał odejść od drzwi.

Przypomniał sobie o zejściu pożarowym. Duch jednak i o nim nie zapomniał. Ledwo Blaine ruszył w stronę okna, zasłony buchnęły płomieniem. W tej samej chwili zapaliła się jego poduszka. Rzucił ją na podłogę.

- Na pomoc! - krzyknął. - Na pomoc!

Zapędzony został do kąta pokoju. Gdy usiłował się stamtąd wydostać, łóżko uniosło się i zastawiło mu drogę. Również krzesło oderwało się od podłogi, przybierając dogodną pozycję do uderzenia go w głowę.

Przez cały czas rozlegał się ostry, złośliwy, skądś znajomy chichot.

następny

. 3 .

19

Gdy łóżko zatarasowało mu odwrót, Blaine krzyknął wołając o pomoc, ale nikt się nie zjawił. W odpowiedzi usłyszał tylko ten złowieszczy chichot.

Czyżby wszyscy ogłuchli?

Nagle pojął, że w tym świecie śmierć jest prywatną sprawą każdego człowieka. Nikt się nie będzie mieszał. Rano przyjdzie portier, wszystkie brudy zostaną uprzątnięte i znów pokój będzie do wynajęcia.

Drzwi zostały w jakiś sposób zatarasowane. Jedyne wyjście, jakie mu przyszło do głowy, to skok przez łóżko i zamknięte okno. Jeśli dobrze wymierzy odległość, uda mu się wylądować na pożarowym zejściu. Jeśli nie - spadnie z wysokości trzech pięter na ulicę.

Krzesło uderzyło go w ramię. Łóżko zaczęło zbliżać się, aby przygwoździć go do ściany. Blaine szybko ustalił kierunek i odpowiednią odległość. Skoczył.

Uderzył mocno, ale nie uwzględnił nowoczesnej techniki. Szyba elastycznie wygięła się i odrzuciła go z powrotem. Wpadł na ścianę, a z niej stoczył się na podłogę. Spoglądając w górę zobaczył nad sobą unoszącą się ciężką komodę, powoli zmierzającą w jego stronę.

Gdy złośliwy duch skupił swoją siłę, aby unieść komodę, drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł Smith. Z nieruchomą twarzą zombie odsunął komodę ramieniem.

- Chodź - powiedział.

Blaine nie zadawał zbędnych pytań. Poderwał się na nogi i chwycił za brzeg przymykających się drzwi. Przy pomocy Smitha udało mu się ponownie je otworzyć. Wyślizgnęli się na zewnątrz. Za nimi rozpętało się piekło.

Smith pospiesznie podążył przez korytarz. Jego zimna dłoń trzymała nadgarstek Blaine'a. Zeszli po schodach i wydostali się na ulicę.

Twarz zombie nadal była blada, jedynie w miejscu, gdzie uderzył go Blaine, widniała czerwona ogromna plama. Upodobało go to do Arlekina.

- Gdzie idziemy? - spytał Blaine.

- W bezpieczne miejsce.

Doszli do dawno nie używanego wejścia do metra. Zeszli na dół i zatrzymali się przed małymi



metalowymi drzwiczkami. Smith otworzył je i zaprosił Blaine'a do środka. Ten zawahał się. W tej samej chwili dobiegł go szaleńczy chichot. Duch szedł za nim, podobnie jak w starożytnej Grecji Erynie, nie odstępował swojej ofiary. Blaine mógł pozostać na górze, ale wraz z nim zostałby duch. Mógł też pójść za Smithem, zagłębić się w ciemność, niepewny, co go tam może spotkać.

Chichot narastał. Blaine nie zastanawiał się dłużej. Wszedł za Smithem i zatrzasnął za sobą drzwi.

\* \* \*

Przemierzali tunel, ledwo oświetlony pojedynczymi żarówkami. Mijali połyskujące wraki pociągów, skłębione kable. Powietrze było cuchnące i wilgotne. Ich kroki odbijały się pustym echem.

- Gdzie idziemy?

- Tam, gdzie mogę ciebie ochronić.

- Rzeczywiście jesteś w stanie?

- Duchy też mają swoje słabe strony. Jeśli zna się ducha, można odprawić egzorcyzmy.

- Wiesz, kto mnie straszy?

- Myślę, że tak. Logicznie biorąc, może to być tylko jedna osoba.

- Kto?

Smith potrząsnął głową.

- Lepiej, żebym na razie nie wymawiał jego imienia i nie wzywał, skoro go tu nie ma.

Zeszli niżej. Po przejściu olbrzymiej komnaty skręcili, aby wyminąć czarny staw. Jego powierzchnia wydawała się twarda jak beton. Wąskim przejściem dotarli do korytarza. Na jego końcu stał Murzyn, ubrany w łachmany i uzbrojony w metalowy kij. Patrząc na niego Blaine zorientował się, że jest to również zombie.

- Mój przyjaciel - przedstawił Blaine'a Smith. - Mogę go wprowadzić?

- Pewny jesteś, że nie jest inspektorem?

- Całkowicie.

- Zaczekajcie - powiedział Murzyn.

Znikł w głębi korytarza.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Blaine.

- Pod Nowym Jorkiem, wśród nie używanych od dawna tuneli metra, ścieków i kilku korytarzy, które

przystosowaliśmy dla siebie.

- Ale dlaczego mnie tutaj przyprowadziłeś?

- A co innego mógłbym zrobić? - zapytał się zdziwiony Smith. - Tu jest mój dom. Nie wiedziałeś? Jesteś w mieście zombie.

Blaine nie uważał, by miasto zombie było o wiele lepsze od zwariowanego ducha, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Powrócił Murzyn. Razem z nim szedł bardzo stary mężczyzna. Jego twarz pokryta była zmarszczkami, nawet wargi i oczy ginęły wśród zwisających policzków.

- O tym człowieku mi opowiadałeś? - zapytał Smitha.

- Tak, sir. Blaine, pozwól, że przedstawię cię panu Keanowi, przywódcy naszego miasta. Czy mogę go wprowadzić do środka, sir?

- Wolno ci - odpowiedział starzec. - Przez chwilę będę wam towarzyszył.

Poszli w głąb tunelu. Pan Kean opierał się na ramieniu Murzyna.

- Na co dzień wpuszczamy tu tylko zombie - powiedział Kean. - Ale już od bardzo dawna nie rozmawiałem z normalnym człowiekiem. Pomyślałem, że może to być wartościowe. Z~ tego powodu, ulegając prośbie Smitha, pozwoliłem panu wejść do środka.

- Jestem bardzo wdzięczny ~ powiedział Blaine, marząc o tym, żeby to była prawda.

- Niech pan mnie źle nie zrozumie. Nie mam nic przeciwko temu, aby panu pomóc. Przede wszystkim jednak jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tysiąca stu zombie, którzy żyją w podziemiach

Nowego Jorku. Dlatego nie dopuszczamy do siebie normalnych ludzi. To odosobnienie jest naszą jedyną nadzieją w tym ignoranckim świecie. Być może mógłby pan nam pomóc, Blaine.

- Jak?

- Przez zrozumienie naszej sytuacji i poinformowanie o tym świata. Zmiana stosunku ludzi do nas jest naszą jedyną nadzieją. Co pan wie o zombie?

- Niewiele.

- Oświecę więc pana. Zombizm jest chorobą, wokół której powstała aura sensacji i kłamstwa, podobnie jak to było z epilepsją czy chorobą świętego Wita. Schizofrenię z kolei odbierano niegdyś jako opętanie przez diabła, a ludzi chorych na wodogłowie traktowano jako szczególnie błogosławionych. Podobne przesady dotyczą zombizmu. Przez kilka chwil wędrowali w milczeniu.

- Poglądy związane z zombie wywodzą się z Haiti kontynuował Kean. - Ta choroba rozprzestrzeniła się szeroko, chociaż występuje raczej rzadko. Wywołuje niemiłe skojarzenia w umysłach ludzi. W ich wyobraźni zombie jest jednym z elementów wierzeń. Uważa się, że jest człowiekiem pozbawionym duszy za pomocą czarów. Ciało zombie czarownik wykorzystywał do swoich celów. Jeśli zombie zjadł sól lub zanurzył się w morzu, stawał się martwy i powracał do grobu. Łatwo się zorientować, że wszystko to nie ma nic wspólnego z prawdą.

Te przesady zaczęły dotyczyć osób, które zapadały na tę chorobę. Na początku takich ludzi było niewiele, ale wraz ze wzrostem liczby dokonywanych reinkarnacji zombizm zaczął się rozszerzać. Powstaje wtedy, gdy psychika nie jest w stanie opanować ciała w odpowiednio krótkim czasie. W takim przypadku ciało i psychika nie tworzą jedności, współistnieją jakby niezależnie od siebie. Weźmy jako przykład pańskiego przyjaciela Smitha. Jest w stanie kontrolować większość ruchów ciała, ale trudno to nazwać całkowitą koordynacją. Nie jest w stanie modulować swojego głosu, jego uszy nie rozróżniają subtelnych zmian dźwięku. Twarz jest bez wyrazu, gdyż nie potrafi zapanować nad jej mięśniami. Kieruje swoim ciałem, ale tak naprawdę nie jest jego częścią.

- I nic nie można zrobić?

- Jak dotychczas - nic.

- Przykro mi.

- Nie mówiłem tych słów, aby wzbudzić pańską sympatię. Chcemy tylko zrozumienia. Po prostu pragnę, żeby każdy zrozumiał, że zombizm nie jest karą za grzechy ani niczym takim. To choroba - jak rak czy świnka.

Kean oparł się o ścianę, aby przez chwilę odpocząć.

- Nie przeczę, że wygląd zombie nie jest przyjemny. Trzęsie się, jego rany się nie goją, ciało ulega szybkiemu rozkładowi. Bełkocze jak idiota, porusza się jak pijak. Ale czy można uczynić go odpowiedzialnym za całe zło, które istnieje na Ziemi w naszym dwudziestym drugim wieku? Mówi się, że zombie atakują ludzi, a przecież jego ciało wciąż się trzęsie, i tak naprawdę poradzi sobie z nim nawet małe dziecko. Ludzie są przekonani, że choroba ta jest zaraźliwa. Oczywiście tak nie jest. Uważa się ponadto, że zombie są perwersyjni i mają ogromne potrzeby seksualne. W rzeczywistości zombie wcale nie mają takich potrzeb. Ludzie nie chcą dowiedzieć się prawdy; jedynie na stosie lub na stryczku widzą miejsce dla zombie.

- Co na to władze? - zapytał Blaine.

Kean uśmiechnął się gorzko.

- Zamykają nas, niby dla naszego dobra, w szpitalach dla obłąkanych. Ale zombie bardzo rzadko są szaleni i władze zdają sobie z tego sprawę. Obecnie, za ich milczącą zgodą, zamieszkujemy te tunele i korytarze ściekowe.

- Nie moglibyście znaleźć lepszego miejsca?

- Szczerze mówiąc, tutaj jest nam dobrze. Słońce nie jest zdrowe dla naszej skóry.

Ponownie zaczęli spacerować.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytał Blaine.

- Może pan opowiedzieć, co pan tu widział. Może napisać o nas...

- Zrobię, co tylko będę mógł.

- Dziękuję - powiedział z powagą Kean. - Podniesienie poziomu wiedzy jest naszą ostatnią szansą. Oświata i przyszłość. Z pewnością w przyszłości ludzie będą bardziej światli.

W przyszłości? Blaine poczuł się niewyraźnie. Przecież to była przyszłość, w którą został przeniesiony z pełnego nadziei i ideałów dwudziestego wieku. Jakoś jednak nie nastąpiło w tym czasie spodziewane oświecenie. Przez chwilę czuł się bardzo staro, starzej niż Kean.

- Wreszcie - jego rozmyślania przerwał głos Keana dotarliśmy do celu.

Blaine otrząsnął się.

Mroczny korytarz się skończył. Blaine stał przed starą metalową drabiną, której koniec ginął w mroku.

- Powodzenia - powiedział Kean.

Opierając się na ramieniu Murzyna odszedł w kierunku, z którego przyszli. Blaine patrzył za nim, potem odwrócił się do Smitha.

- Gdzie teraz idziemy?

- W górę.

- Gdzie ta drabina prowadzi?

Smith już zaczął wspinaczkę. Spojrzał z góry na Blaine'a.

- Zamierzamy złożyć wizytę twojemu przyjacielowi. Wejdziemy do jego grobowca i poprosimy grzecznie, aby przestał cię straszyć. Lub zmusimy go do tego.

- Kto to jest?

Smith jedynie skrzywił się i ponownie podjął wspinaczkę. Blaine poszedł w jego ślady.

Przewód wentylacyjny doprowadził ich do następnego korytarza. Podeszli do ostatnich drzwi i weszli do środka.

Znaleźli się w rzęsiście oświetlonym pokoju. Na sklepieniu namalowany był obraz, który przedstawiał przystojnego mężczyznę o jasnym spojrzeniu, wkraczającego do nieba w otoczeniu aniołów. Blaine w jednej chwili rozpoznał modela.

- Reilly!

Smith skinął głową.

- Jesteśmy w jego Pałacu Śmierci.

- Jak wpadłeś na to?

- Sam mógłbyś z łatwością zgadnąć. Jedyne dwaj ludzie powiązani z tobą zmarli ostatnio. Na pewno nie mógł cię straszyć Ray Melhill. A więc Reilly.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Może sam nam wyjaśni.

Blaine rozejrzał się wokoło. Ściany grobowca pokryte były magicznymi znakami. Na podwyższeniach ustawiono figurki bóstw. Blaine rozpoznał wśród nich Zeusa, Apollina, Dagona, Odyna i Astarte. Przed każdym z posągów zbudowano ołtarz, na którym umieszczono wypolerowany kamień szlachetny.



- Po co to?

- Przesady.

- Ale przecież wieczność została naukowo udowodniona.

- Pan Kean wyjaśnił mi, że nauka ma niewielki wpływ na wierzenia. Reilly był przekonany, że będzie żył wiecznie, ale nie widział powodu, dlaczego nie miałby zwiększyć szans powodzenia. Zresztą bogacze nie lubią myśleć o tym, że w niebie znajdą się w towarzystwie zwykłych ludzi. Mają nadzieję, że za pomocą rytuałów i symboli zapewnią sobie jakiejś bardziej ekskluzywnie miejsce.

- Czy rzeczywiście jest takie?

- Nie wiadomo. Ale wielu wierzy, że tak.

Smith zaprowadził go do drzwi, pokrytych egipskimi i chińskimi hieroglifami.

- W środku znajduje się ciało Reilly'ego - powiedział Smith.

- Wejdziemy?

- Tak, musimy.

Smith otworzył drzwi. Blaine zobaczył wykładany marmurem pokój. Na samym środku stała trumna z brązu i złota, inkrustowana drogimi kamieniami. Dookoła niej znajdowało się mnóstwo rzeczy: obrazy i rzeźby, instrumenty muzyczne, przedmioty gospodarstwa domowego, takie jak lodówki czy

kuchenki, nawet cały helikopter. W innym miejscu leżały książki i ubrania. Z boku przygotowano coś w rodzaju małego bankietu.

- Po co to wszystko?

- Mają towarzyszyć właścicielowi w Zaświatach. Stare wierzenia.

Blaine poczuł coś na kształt żalu. A więc naukowe udowodnienie istnienia wieczności nie uwolniło ludzi od strachu przed śmiercią. Wprost przeciwnie, wzmocniło niepewność i rywalizację. Wraz z upewnieniem się, że istnieje przyszłe życie, człowiek natychmiast zapragnął dostać się do lepszego nieba niż inni. Równość - to mile brzmi, ale każdy ma przede wszystkim siebie na względzie. Ta filozofia sprawiała, że ludzie pokroju Reilly'ego budują grobowce jak starożytni faraoni i ze wszystkich sił starają się zapewnić sobie bogactwo i odpowiedni status społeczny w nieznannej przyszłości.

Wstyd. Przypuśćmy jednak, że rzeczywiście można w ten sposób zapewnić sobie lepsze życie na tamtym świecie. Czy wówczas nie należałoby poświęcić swojego pobytu na Ziemi na odpowiednie przygotowania? Blaine odrzucił tę myśl. Nie zgodzi się nigdy z tym, że jest to jedyna przyczyna istnienia życia na Ziemi.

Smith wszedł powoli do grobowca. Stał przed małym stołem pokrytym ornamentami. Nie zmieniając wyrazu twarzy, kopnął go. Powoli, nie spiesząc się, zaczął rozłukiwać ozdoby.

- Co robisz?

- Chcesz, żeby przestał cię straszyć?

- Oczywiście.

- Należy więc coś zrobić, by tego zaprzestał - wyjaśnił Smith, kopiąc hebanową rzeźbę.

Wydało się to logiczne, nawet duch o tym wie, że kiedyś opuści Przedstonek i przejdzie w Zaświaty. Chciałby z pewnością, żeby jego rzeczy czekały tam na niego nie naruszone. A więc cios za cios, oko za oko, ząb za ząb.

Mimo to Blaine czuł się jak wandal, gdy uniósł stary obraz olejny, żeby go zniszczyć.

- Nie rób tego - powiedział głos, dobiegający gdzieś spod sufitu.

Spojrzeli w górę. Nad ich głowami uformowała się lekka, srebrna mgiełka, z której dochodził głos:

- Proszę, odłóż obraz.

Blaine wyciągnął przed siebie obraz, naszykował pięść.

- Jesteś Reilly? - zapytał.

- Tak.

- Dlaczego mnie straszysz?

- Bo jesteś winny! Zabiłeś mnie swoją morderczą psychiką. Tak! Ty, ty ohydny rzeczy z przeszłości, ty przeklęty potworze!

- Nie zrobiłem tego! - krzyknął Blaine.

- Zrobiłeś! Nie jesteś człowiekiem! Wszyscy unikają ciebie, masz tylko jednego przyjaciela - zombie. Czemu nie zdechłeś, ty morderco?!

Pięść Blaine'a zbliżyła się do płótna.

- Nie! - krzyknął głos.

- Dasz mi spokój?

- Odłóż obraz - poprosił Reilly.

Blaine odłożył go ostrożnie.

- Zostawię cię w spokoju. Dlaczego miałbym tego nie zrobić? Są sprawy, o których nie wiesz, Blaine, ale ja wiem. Twój pobyt na Ziemi będzie krótki, boleśnie krótki. Ci, którym ufasz - zdradzą cię, ci, których nienawidzisz - pokonają cię. Umrzesz, i to wkrótce, nie za lata, wcześniej, wcześniej niż ci się wydaje. Będziesz zdradzony i popełnisz samobójstwo.

- Wariat! - krzyknął Blaine.

- Ja? - zachichotał Reilly. - Czyżby na pewno ja?

Zniknął.

Smith odprowadził go do wyjścia na ulicę. Wstawał poranek. Powietrze było orzeźwiające.

Blaine chciał mu podziękować, ale Smith potrząsnął głową.

- Nie musisz mi dziękować. Nie zapominaj, że ja potrzebuję ciebie. Kim byłbym, gdyby jakiś upiór zabił ciebie? Dbaj o siebie, bądź ostrożny. Bez ciebie jestem nikim.

Zombie spojrział na niego niespokojnie, po czym pospiesznie się oddalił. Blaine popatrzył za nim. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby mieć tuzin zajadłych wrogów niż jednego Smitha za przyjaciela.

Pół godziny później znajdował się u Marie Thorne. Przywitała go na wpół śpiąca, bez makijażu i w szlafroku. Poszedł za nią do kuchni, gdzie zaprogramowała kawę, grzanki i jajecznicę.

- Wolałabym, żebyś pojawił się nieco później. Jest teraz wpół do siódmej.

- Postaram się poprawić na przyszłość - odpowiedział jej radośnie. .

- Obiecałeś, że zadzwonisz. Co się stało?

- Niepokoiłaś się?

- Ani odrobinę. Co się stało?

Jedząc opowiedział jej o polowaniu i egzorcyzmach. Wyszchawszy powiedziała:

- Najwyraźniej jesteś z siebie bardzo dumny i, jak domyślam się, masz do tego powody. Ale wciąż nie wiadomo, czego chce od ciebie Smith. Ani nawet kim jest. - Nie mam zielonego pojęcia. On również.

- Co się stanie, gdy odkryje swoją tożsamość?

- Będę się tym martwił, gdy to się stanie.

Marie uniosła brwi, ale nie skomentowała jego zdania.

- Tom, jakie są teraz twoje plany?

- Zamierzam znaleźć pracę.

- Jako myśliwy?

- Nie. Może to nielogiczne, ale spróbuję dostać się do pracowni projektowej jachtów. Potem zamierzam wpadać tutaj, ale o bardziej odpowiedniej porze. Co o tym myślisz?

- Niepraktyczne. Chcesz dobrą radę?

- Nie.

- I tak ci to powiem. Tom, wyjedź z Nowego Jorku. Tak daleko, jak możesz. Pojedź na Fidżi lub na Samoa.

- Po co?

Marie zaczęła przemierzać kuchnię.

- Po prostu nie rozumiesz tego świata.

- Myślę, że nie masz racji.

- Tom, doświadczyłeś kilku przygód, ale to nie oznacza, że się zasymilowałeś. Straszono cię i byłeś na polowaniu. Tak naprawdę twoje przeżycia przypominają wycieczkowe atrakcje, a nie rycie. Reilly miał rację: jesteś równie nieprzystosowany do obecnego świata jak jaskiniowiec.

- Nie zgadzam się z takim porównaniem.

- Dobrze, lepsze będzie czternastowieczny Chińczyk? Przypuśćmy, że przeniesiony do dwudziestego wieku Chińczyk zobaczył Coney Island, spotkał się z gangsterem i pojeździł trochę autobusem. Czy mógłbyś powiedzieć, że rozumiał twój wiek?

- Oczywiście, że nie. Ale jakie to ma znaczenie?

- Oznacza to - powiedziała - że nie jesteś tu bezpieczny. Nawet nie wiesz, czego się bać. Przede wszystkim jest ten cholerny Smith. Należy też uwzględnić spadkobierców Reilly'ego, którzy nie będą zadowoleni, gdy odkryją, że demolowałeś jego grobowiec. Poza tym istnieją dyrektorzy Rexa, którzy nadal nie wiedzą, co z tobą zrobić, ale są zgodni, że coś trzeba. Czy naprawdę nie czujesz, ile namieszałeś?

- Mogę sobie poradzić ze Smithem. Spadkobiercy Reilly'ego mogą iść do diabła. A jeśli idzie o dyrektorów, to co oni mogą mi zrobić?

Podeszła do niego i objęła go za szyję.

- Tom, każdy, kto znajdowałby się na twoim miejscu, nawet urodzony tutaj, w tych czasach, uciekałby gdzie go oczy poniosą.

Blaine przytulił ją na chwilę, pogłaskał jej włosy. Troszczyła się o niego, chciała, żeby był bezpieczny. Ale nie miał zamiaru zastosować się do jej rad. Poradził sobie na polowaniu, nic mu się nie stało w mieście zombie, nawet Reilly nie dał mu rady. Teraz, siedząc w kuchni Marie, czuł się pogodzony z całym światem. Niebezpieczeństwo wydawało mu się czysto akademickim problemem, niewartym tracenia czasu na dyskusje o nim. Myśl o opuszczeniu Nowego Jorku wydała mu się absurdalna.

- Powiedz mi, czy i ty jesteś wśród tych osób, którym pomieszałem szyki?



- Nie wiem, o co ci chodzi, ale prawdopodobnie stracę pracę.
  
- Nie, nie o to mi chodzi.
  
- W takim razie odpowiedź jest oczywista... Tom, proszę, wyjedź z Nowego Jorku.
  
- Nie. I proszę ciebie, przestań mnie straszyć.
  
- O Boże - westchnęła. - Mówimy tym samym językiem, a ja nie jestem w stanie nic ci przekazać. Pozwól, że spróbuję raz jeszcze - przez chwilę się zastanawiała. Przypuśćmy, że jakiś człowiek jest właścicielem łodzi...
  
- Lubisz pływać na żaglówce?
  
- Tak, uwielbiam. Ale nie przerywaj. Przypuśćmy, że chce na niej przepłynąć ocean.
  
- Przez morze życia... - wtrącił Blaine.
  
- Wcale nie jesteś zabawny - wyglądała na bardzo poważną, było jej z tym do twarzy. - Ten człowiek nie wie nic o łodziach. Patrzy na swoją i wydaje mu się, że wszystko jest na swoim miejscu: piękna, świeżo pomalowana. Wtedy ty dokonujesz oględzin. I szybko odkrywasz, że świdraki przedostały się do układu sterowania i porządnie go nadwerężyły, że szkielet konstrukcji jest spękany, gniazdo masztu spróchniało, żagle zbutwiały, kil zardzewiał, a wiązania właśnie mają zamiar puścić.
  
- Skąd wiesz tyle o żaglówkach?

- Pływałam na nich od małego. Czy mógłbyś wreszcie skupić uwagę na tym, co mówię? Powiedziałeś temu człowiekowi, że jego jacht nie nadaje się do podróży po morzu. Pierwsza fala go zatopi.

- Musimy gdzieś wspólnie popłynąć - przerwał jej Blaine.

- Ale ten człowiek - ciągnęła Marie nie zniechęcając się - nie wie nic na temat jachtów. Wszystko wygląda znakomicie i mimo że się starasz, nie jesteś w stanie powiedzieć mu, co i kiedy może się stać. Być może popływa przez miesiąc, rok, a może utonie następnego dnia po wypłynięciu z portu. Może pierwszy zawiedzie kil, a może maszt. Dokładnie przecież nie wiesz. Teraz jest taka sama sytuacja. Nie potrafię ci wyjaśnić jak, kiedy. Mimo to widzę, że się nie nadajesz. Musisz stąd wyjechać!

Spojrzała na niego z nadzieją. Blaine pokręcił głową i powiedział:

- Straciłaś masę czasu.

- A więc nie wyjedziesz?

- Nie. Spędziłem całą noc na nogach. Zamierzam teraz iść do łóżka i jest to jedyne miejsce, gdzie się dziś wybieram. Czy masz ochotę mi towarzyszyć?

- Idź do diabła!

- Kochanie! Gdzie jest twoja życzliwość dla bezdomnego wędrowca z przeszłości?

- Wychodzę. Zadbaj o siebie sam. Lepiej znajdź trochę czasu i przemyśl moje słowa.

- Oczywiście. Ale czym mam się martwić, skoro ty stoisz obok, śledząc każdy mój krok?

- Smith również.

Pocałowała go i wyszła z pokoju.

\* \* \*

Blaine skończył śniadanie. Obudził się wczesnym popołudniem. Marie wciąż jeszcze nie wróciła. Zanim wyszedł, zapisał na kartce papieru swój adres.

Przez następne kilka dni szukał pracy w pracowniach projektowych jachtów. Bez powodzenia. Wreszcie w Jaakobsen Yachts zapytano go o wygasłą już teraz wiedzę dotyczącą budowy łodzi rybackich z wysp Bahama i łodzi używanych w Zatoce Chesapeake. Blaine popisał się stosowną wiedzą, podobnie jak i dawnym kreślarstwem.

- Złożono u nas zamówienia na kilka starych typów łodzi - powiedział kierownik działu. - Zatrudnimy pana jako gońca. Będzie pan mógł projektować te stare typy, korzystając ze swojej wiedzy, a jednocześnie podszkoli się pan w projektowaniu. Gdy osiągnie pan odpowiedni poziom, zmienimy panu stanowisko. Co pan na to?

Nie była to luksusowa posada, ale miał wreszcie możliwość zatrudnienia w normalnym fachu i szansę na poprawę swojej pozycji. A to oznaczało, że wreszcie stanął na nogi w tym cholernym 2110 roku.

- Zgadza się - odpowiedział. - Dziękuję.

\* \* \*

Tego wieczoru, aby uczcić to ważne wydarzenie, poszedł do sklepu kupić odtwarzacz i kilka nagrań. Uważał, że należy mu się odrobina luksusu.

Podobnie jak telewizory w czasach Blaine'a, tak obecnie sensoryki były częścią 2110 roku. Szeroko wykorzystano je w teatrach, a także w niektórych dziedzinach reklamy i propagandy. Dzięki nim można było przeżywać wrażenia zaspokajające indywidualne potrzeby i upodobania.

Oczywiście, pewne koła występowały przeciwko takiej formie spędzania czasu, doprowadzającej do całkowitej pasywności. Wzburzało je to, że człowiek oglądając i przeżywając obraz, wcale nie musi się starać, by go zrozumieć i przyswoić. Tak przynajmniej twierdzono. Prawdę mówiąc, wiele niepracujących kobiet miało puste, nieprzytomne oczy: bardziej realny stał się dla nich sen niż rzeczywistość.

Czytanie książki czy oglądanie telewizji wymaga od człowieka pewnego wysiłku. Natomiast sensoryki po prostu zalewają rzeczywistość swoim światem - wszystko jest żywe, namacalne, prawdziwe. Ma to tylko jedną wadę - nie jest realne. Stwarza jednak wrażenie, że sny w porównaniu z prawdziwym życiem są ciekawsze i godne większej uwagi. Wszystkie te poglądy miały~na celu jedno - wykazanie, że sensoryki są niebezpieczne. Oczywiście, nikt nie mógł zaprzeczyć, że istniały też artystyczne osiągnięcia (na przykład to, co robił Verreho, Johnston, Telkin czy Mikkelsen), ale większość produkcji nie przedstawiała większej wartości. Oznaczało to obniżenie ogólnego poziomu kultury, zakłócenia w psychice, wzrastającą pasywność...

Krytycy byli pewni, że następne generacje zupełnie przestaną czytać, myśleć, nie będą aktywne!

Ich argumenty były dość przekonujące, ale Blaine już spotkał się z podobną kampanią. Wpierw dotyczyła radia, potem rozpętała się wokół telewizji, wcześniej zaś rzucono gromy na kino, komiksy, literaturę gazetową. Nawet powieść, tak obecnie wynoszona na ołtarze, była w swoim czasie potępiana jako gorsza siostra poezji. Każdą nowość w kulturze najpierw zaciekle się atakuje, widząc w niej zagrożenie dla istniejącego porządku, by później, po iluś tam latach, traktować ją jako wyróżnik starych, dobrych czasów, oddający ducha epoki. Dopóki - rzecz jasna - nie zostanie wyparta przez kolejną nowość.

Z pewnością sensoryki były takim właśnie wyróżnikiem w 2110 roku. Blaine wszedł do sklepu, aby się z nimi zapoznać bliżej.

Obejrzawszy kilka modeli, kupił niedrogi sensoryk, produkowany przez Bendixa. Potem, korzystając z rady sprzedawcy, wybrał trzy nagrania i skierował się do pomieszczenia, w którym mógł je przejrzeć. Przyczepiwszy elektrody do czoła, włączył pierwsze z nich.

Była to bardzo popularna opowieść historyczna, a dokładniej - romans przygodowy, rozgrywający się w scenerii dawnych czasów. Tytuł nagrania: "Pieśń o Rolandzie". Sen się zaczął...

...i Blaine znalazł się w wąskim przesmyku górskim. Był sierpień 778 roku. Słońce prażyło niemiłosiernie. Stał nieopodal Rolanda jako członek straży przybocznej. Śledził z wysoka ruchy armii Charlemagne'a, powoli sunącej doliną w stronę Frankonii. Zmęczeni żołnierze powłóczyli nogami, skrzypiała skóra, dźwięczała broń. W powietrzu unosił się zapach potu, spalenizny ze startej z powierzchni ziemi Pampelony, oleju, którym nasmarowana była broń, i wyschłej na słońcu trawy...

Zdecydował się na zakup. Następne nagranie dotyczyło polowania na zupełnie niewinnego człowieka. Akcja przebiegała na Wenus. Ostatnie nagranie opowiadało treść "Wojny i pokoju"; widz mógł wybrać sobie, z kim chce się identyfikować podczas oglądania.

Podczas płacenia za nabytki, sprzedawca mrugnął do Blaine'a.

- Interesuje pana coś specjalnego?

- Może.

- Mam kilka pornosików. Całkowita identyfikacja. Nie? To może wspaniały horror - człowiek umiera zasypany przez piasek. Mordercy dokonali zapisu specjalnie dla dobrych klientów.

- Może kiedy indziej - powiedział Blaine, idąc w stronę drzwi.

- Mam również wyjątkowe nagranie - powiedział niezrażony sprzedawca - zrobione legalnie, ale nie dopuszczone do sprzedaży. Zrobiono kilka nielegalnych kopii. Człowiek z przeszłości rodzi się ponownie. Coś wspaniałego.

- Doprawdy?

- Tak, niezwykle nagranie. Emocje są niesłychanie silne. Coś dla koneserów. Pewny jestem, że kiedyś to nagranie przejdzie do historii.

- Chciałbym w takim razie zobaczyć - powiedział ponuro Blaine.

Zabrał nagranie do pomieszczenia, w którym już był przed chwilą. Po dziesięciu minutach wrócił wstrząśnięty i kupił nagranie po wygórowanej cenie. Zupełnie jakby kupował kawałek siebie.

Sprzedawca i chłopcy od Rexa mieli rację. Rzeczywiście, powstało nagranie warte zachowania dla potomnych.

Niestety, wszystkie nazwiska zostały zmienione, aby policja w razie czego nie mogła natrafić na miejsce, gdzie się to stało. Był sławny - ale jednocześnie zupełnie nieznan.

Codziennie chodził do pracy, zamiatał podłogę, opróżniał kosze, adresował koperty i zajmował się projektowaniem w miarę swoich możliwości. Wieczorami studiował nowoczesne sposoby konstrukcji jachtów. Po pewnym czasie otrzymał łatwe do wykonania zadanie, a gdy sobie z nim poradził, przeniesiono go na stanowisko młodszego konstruktora jachtów.

Kontynuował naukę, chociaż zamówień na łodzie o klasycznej linii było niewiele. Bracia Jaakobsen wykonywali większość projektów, starszy, Ed Richter, znany jako Czarodziej z Salem, zostawił sobie projektowanie wyścigowych żaglowców i jachtów. W tych warunkach nie pozostawało Blaine'owi nic innego, jak wziąć się za reklamę.

Jego praca była odpowiedzialna i bardzo przydatna, ale miała niewiele wspólnego z projektowaniem jachtów. Nieodwołalnie jego życie wpadło w podobną koleinę jak w 1958 roku.

Blaine rozmyślał nad tym. Z jednej strony czuł się szczęśliwy - wreszcie jego psychika zwyciężyła ciało. Ale czy po to trzeba było pokonywać tyle trudności, zwyciężać wrogów, aby pracować tak, jakby nie opuszczał swoich czasów? W jego charakterze musiała istnieć jakaś skaza, coś, co ograniczało jego ambicję.

Ponuro wyobraził sobie, jak przeniesiony miliony lat wstecz zostaje członkiem społeczności jaskiniowców. Pewnie też po krótkim czasie zostałby kimś w rodzaju młodszego konstruktora dłubanek. Ale tak naprawdę nie zajmowałby się tą pracą, tylko liczyłby wampumy, sprawdzał wartość zamówionego drzewa, podczas gdy jacyś neandertalscy geniusze zajmowałiby się resztą roboty.

Można było, oczywiście, spojrzeć na tę sprawę od innej strony. Oto bowiem był człowiekiem, który rzeczywiście wiedział, kim jest. Bez względu na otaczające warunki, zmierzał ku swemu przeznaczeniu, pozostawał wierny sobie.

Z tego punktu widzenia mógł być z siebie dumny.

Od czasu do czasu spotykał się z Marie, która zazwyczaj była zajęta pracą u Rexa. Przeprowadził się ze swego hotelu do umeblowanego ze smakiem mieszkania. Zdomowił się w 2110 roku.

Gdy napadała go chandra, mówił sobie, że przynajmniej udało mu się rozwiązać problem istniejący w jego wnętrzu - konflikt pomiędzy ciałem a psychiką. Niedługo jednak się tym cieszył.

\* \* \*

Jak zwykle opuścił biuro. Czekał na rogu na autobus, zauważył wpatrzoną w siebie kobietę. Miała prawdopodobnie dwadzieścia pięć lat. Była urodziwą, rudowłosą dziewczyną. Nie wyróżniała się elegancją, ale i trudno byłoby ją nazwać pospolitą.

Zdał sobie sprawę, że spotyka ją nie po raz pierwszy. Śledziła go, być może już od dłuższego czasu. Dlaczego?

Czekał, nie spuszczał z niej wzroku. Kobieta się zawahała.



- Czy może mi pan poświęcić trochę czasu? - miała miły głos, może nieco chrapliwy. Była zdenerwowana. Panie Blaine, jest to dla mnie bardzo ważne.

Znała więc jego nazwisko.

- Oczywiście - odpowiedział. - Słucham panią.

- Może nie tutaj. Czy nie moglibyśmy... czy nie moglibyśmy pójść gdzieś?

Blaine potrząsnął głową. Nie wygląda groźnie, ale Orc również nie budził grozy. Ten, kto ufał nieznanemu, mógł łatwo stracić swoją psychikę, ciało lub obydwie rzeczy.

- Nie znam pani. I nie wiem, skąd zna pani moje nazwisko. Bez względu na to, czego pani chce, wolę, żeby pani powiedziała mi to tutaj.

- Wiem, że nie powinnam niepokoić pana - zaczęła nieśmiało - ale nie mogłam się powstrzymać. Czasem czuję się bardzo samotna. Zna pan to uczucie?

- Samotność? Oczywiście, ale dlaczego chce pani ze mną rozmawiać?

Spojrzała na niego smutnymi oczami.

- Racja, nie wie pan.

- Tak, nie wiem - odpowiedział cierpliwie. - A więc o co chodzi?

- Czy nie możemy iść gdziekolwiek? Nie chciałabym mówić tego w miejscu publicznym.

- Musi pani - powiedział Blaine, myśląc, że uczestniczy w raczej skomplikowanej rozmowie.

- No więc, jak pan sobie życzy - zgodziła się wyraźnie zmieszana. - Chodzę za panem już od dawna, panie Blaine. Dowiedziałam się, jak się pan nazywa, gdzie pan pracuje. Muszę z panem porozmawiać. Chodzi o pańskie ciało.

- Jak to?

- Pańskie ciało - powtórzyła nie patrząc na niego. Rozumie pan - należało kiedyś do mojego męża, zanim sprzedał je Korporacji Rexa.

Blaine otworzył usta, ale nie przyszło mu do głowy żadne odpowiednie słowo.

Blaine zawsze zdawał sobie sprawę z tego, że jego ciało, zanim przypadło jemu, wiodło swoje życie. Odcisnęło się w świecie, gdzieś pozostał jego ślad. Przypuszczał, że nawet było kiedyś żonate - tak zresztą, jak większość ciał. Wolał jednak o tym nie pamiętać. Założył, że cała przeszłość, związana z poprzednim właścicielem, nie istnieje.

Spotkanie z ciałem Raya Melhilla uprzytomniło mu, że jego filozofia jest naiwna. Teraz został zmuszony ją zweryfikować.

Poszli do mieszkania Blaine'a. Alice Kranch usiadła na brzegu kanapy. Poczęstował ją papierosem.

- Jak to się zaczęło - zamyśliła się. - Frank tak nazywał się mój mąż. Frank Kranch nigdy nie był zadowolony. Czy rozumie pan, o co mi chodzi? Miał dobrą pracę jako myśliwy, ale nigdy nie potrafił się cieszyć z tego, co ma.

- Był myśliwym?

- Tak. Walczył włócznią.

Blaine ponownie zastanowił się nad tym, dlaczego wziął udział w polowaniu. Sam tego chciał, czy zażyczyło sobie tego jego ciało? Zaczął się obawiać, że problem, który wydawał się gładko rozwiązany, ponownie zaistniał.

- Ale nigdy nie potrafił się cieszyć z tego, co ma powtórzyła. - Spotykając się z bogaczami, którzy znudzeni życiem bawią się nawet śmiercią, nie mógł znieść myśli, że pewnego dnia umrze jak jakieś zwierzę.

- Nie dziwię się mu.

Wzruszyła ramionami.

- Nie miał szans na zakup ubezpieczenia na życie po śmierci. Nigdy by nie zdobył odpowiedniej sumy. Martwił się tym. A gdy o mało co nie zginął... Pan chyba też ma tę bliznę na ramieniu?

Skinął głową.

- Nigdy potem już nie był sobą. Myśliwi zazwyczaj niewiele myślą o śmierci. Ale Frank był inny. Nie przestawał o niej myśleć. Wtedy właśnie spotkał tę sprytną panienkę z Rexa.

- Marie Thorne?

- Tak, o nią chodzi. Ostra jak sztylet i zimna jak lód. Nie mogłam zrozumieć, co Frank w niej widział. Oczywiście zdarzało mu się już przedtem spotykać z jakąś kobietą większość myśliwych postępuje w ten sposób. Ale z nią... byli nierozłączni jak papużki. Doprawdy, nie mogę zrozumieć, co w niej widział. Chodzi mi o to, że ona jest tak mało kobieca... jest ładna, nie przeczę, ale rozumie pan, co mam na myśli?

Skinął głową, czując coś w rodzaju bólu.

- Oczywiście, nie ma co dyskutować na temat gustów, ale byłam pewna, że znam dobrze Franka. Okazało się, że nie myliłam się. Wkrótce bowiem wyszło na jaw, że oni wcale nie spotykają się ze sobą, aby poflirtować. Pewnego dnia powiedział mi: "Kochanie, opuszczam cię. Zabieram się w długą podróż w zaświaty. Dla ciebie też mam pewną niespodziankę".

Chlipnęła i wytarła oczy.

- Ten idiota sprzedał swoje ciało! Rex opłacił mu wieczne życie i zapewnił mi dożywotnią rentę. Był tak cholernie z siebie dumny, że załatwił taką sprawę! Całe dnie straciłam na gadaniu, usiłując zmienić jego decyzję. Nic z tego, zamierzał powędrować do nieba. Według niego bezsensowne było czekać na rychłą śmierć w polowaniu, skoro mógł tanim kosztem kupić sobie życie. No i udało mu się. Rozmawiałam z nim po wszystkim, gdy był już w Przdiesionku.

- Jest tam nadal? - spytał, czując jak cierpnie mu skóra na karku.

- Nic o nim nie wiem. Już ponad rok się nie odzywa. Sądzę więc, że przeszedł w Zaświaty.

Płakała przez kilka chwil. Potem wytarła małą chusteczką oczy i spojrzała ze smutkiem na Blaine'a.

- Naprawdę, nie chciałam niepokoić pana. Wszystko przecież odbyło się legalnie. Frank miał prawo rozporządzać swoim ciałem. Nie mam do pana ani do nikogo żadnych pretensji, ale jest mi tak smutno, czuję się taka samotna...

- Wiem, co pani czuje - powiedział, myśląc, że nie jest w jego typie. Obiektywnie rzecz biorąc, była naprawdę ładna. Można ją sobie wyobrazić tańczącą flamenco, z rękami opartymi na biodrach, kłócącą się z policjantem, w rozchełstanej koszuli wspinającą się po zboczu góry. Ale nie była w jego typie.

Jednakże - przypomniał sobie - Frank Kranch miał odmienne zdanie. A on, Blaine, składał się między innymi z ciała Krancha.

- Większość naszych znajomych - ciągnęła Alice to myśliwi. Czasem wpadali do mnie, ale wie pan. Im tylko jedno na myśli.

- Rzeczywiście?

- Tak. Wyprowadziłam się więc z Pekinu. Zamieszkałam ponownie w mieście, w którym przyszedłam na świat w Nowym Jorku. I nagle pewnego dnia natykam się na Franka, czyli na pana. Myślałam, że zemdleję. Oczywiście, nigdy nie wykluczałam, że spotkam ciało Franka, ale co innego zobaczyć je żywe.

- Zgadza się.

- Poszłam więc za panem. Nie zamierzałam niepokoić pana, ale świadomość tego, że pan istnieje, nie dawała mi spokoju. Wreszcie postanowiłam dowiedzieć się... rozumie pan, Frank był tak... było nam dobrze razem.

- Na pewno.

- Zachowuję się okropnie!

- Wcale nie - zaprzeczył.

Patrzyła na niego nie spuszczać wzroku. W jej oczach malował się smutek, ale widać też było kokieterijne błyski. Blaine poczuł dreszcz.

Pomyślał, że przecież nie jest Kranchem. Jest Blaine'em, jego wola nim rządzi, jego gusty...

Czy rzeczywiście?

Należy rozstrzygnąć ten problem - pomyślał, obejmując Alice i całując ją z dziwnie obcym Blaine'owi temperamentem.

\* \* \*

Rano, podczas gdy Alice robiła śniadanie, Blaine patrząc przez okno snuł niewesołe myśli.

Ostatniej nocy przekonał się, że niestety, nie jest panem w układzie Blaine-Kranch. Zachowywał się brutalnie, zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Oznaczało to jedno - triumf ciała.

Nieciekawa go czekała przyszłość. Pewnego dnia z pewnością podda się zupełnie. Zostanie awanturnikiem, pełnym wigoru włóczęgą. Dojdzie do tego, że polubi takie życie... - Śniadanie gotowe - oznajmiła Alice.

Jedli w milczeniu. Alice ze smutkiem dotknęła siniaka na przedramieniu. Blaine nie mógł już dłużej tego wytrzymać.

- Przepraszam - powiedział.

- Za co?

- Za wszystko.

Na jej wargach pojawił się na chwilę blady uśmiech.

- Nic się nie stało. Sama tego chciałam.

- Wątpię. Czy mogłabyś mi podać masło?

Przez kilka minut milczeli. Tyrn razem pierwsza odezwała się Alice.

- Byłam głupia.

- Dlaczego?

- Myślałam, że przeszłość może wrócić. Nie należę do tego pokroju kobiet, panie Blaine. Ale myślałam, że to będzie jak z Frankiem.

- Nie było?

Potrząsnęła głową.

- Nie, oczywiście, że nie.

Blaine odstawił ostrożnie kubek z kawą.

- Podejrzewam, że Kranch był znacznie brutalniejszy. Podejrzewam, że...

- Och, nie! Nigdy! - krzyknęła. - Panie Blaine, Frank, jako myśliwy, nie miał lekkiego życia. Ale w stosunku do mnie zachowywał się zawsze jak dżentelmen. Był dobrze wychowany.

- Rzeczywiście?

- Ależ tak! Frank był zawsze łagodny, delikatny, jeśli wie pan, o co mi chodzi. Miły. Łagodny. Nigdy brutalny. Prawdę mówiąc, różnił się od pana o sto osiemdziesiąt stopni.

- Hm...



- Nie chciałam przez to powiedzieć, że uważam, iż z panem jest coś nie w porządku - dodała pospiesznie, kierowana uprzejmością. - Pan jest trochę brutalny, ale podejrzewam, że są o wiele bardziej...

- Pewnie tak - powiedział. - Na pewno tak.

Skończyli śniadanie całkowicie zażenowani. Alice, uwolniona od swojej obsesji, wyszła natychmiast, nie wspominając ani słowem o następnym spotkaniu. Blaine usiadł w głębokim fotelu, ponownie zagłębił się w siebie.

A więc nie zachowywał się wcale jak Kranch!

Smutna prawda mówiła, że postępował w taki sposób, gdyż myślał, że Kranch tak by się zachował. Coś w rodzaju autosugestii. A teraz przyszło mu odkryć, że na pozór szorstcy, brutalni mężczyźni nie traktują kobiet jak przeciwnika w zapasach.

Wierzył w stereotyp. Podobnie jak Alice, gdy wspomniała Marie: ostra jak nóż, zimna jak lód.

Biorąc pod uwagę, co się jej przydarzyło, nie mógł jej za to winić.

Kilka dni później otrzymał wiadomość, że w Łącznicy Duchów czeka na niego połączenie. Poszedł tam zaraz po pracy. Znalazł się ponownie w tym samym pomieszczeniu.

- Cześć, Tom - usłyszał trochę zniekształcony głos Raya.

- Cześć, Ray. Zastanawiałem się, co porabiasz.

- Wciąż przebywam w Przdسیونku, ale chciałbym pójść dalej, obejrzeć sobie wieczność. Ciągnie mnie tam. Ale wpiерw chciałem z tobą porozmawiać. Uważam, że powinieneś być ostrożny z Marie Thorne.

- Ależ Ray...

- Takie jest moje zdanie. Całe dnie siedzi u Rexa. Nie wiem, na co się zanosi. Ich pokoje konferencyjne są zabezpieczone przed duchami. Ale wiem, że to dotyczy ciebie i ona macza w tym palce.

- Będę się pilnował.

- Tom, skorzystaj z mojej rady. Wyjedź z Nowego Jorku. Zrób tak, póki jeszcze masz ciało i psychikę, która nim kieruje.

- Zostanę.

- Jesteś upartym osłem - powiedział Melhill przejętym do głębi głosem. - Jaka korzyść z posiadania ducha opiekuńczego, skoro nie słucha się jego rad?

- Bardzo sobie cenię twoją pomoc. Naprawdę. Ale powiedz mi szczerze, co zyskam na swojej ucieczce?

- Może uda ci się trochę dłużej pożyć.

- Tylko trochę? Czyżby było tak źle?

- Wystarczająco. Tylko pamiętaj, nie wierz nikomu. Idę już.

- Porozmawiamy jeszcze ze sobą?

- Może. A może nie... - zawahał się Melhill. - Powodzenia.

Rozmowa się skończyła. Blaine poszedł do domu.

Następnego dnia, w sobotę, długo wylegiwał się w łóżku. Po śniadaniu zadzwonił do Marie. Nie odpowiadała. Postanowił, że trochę poleniuchuje i poogląda sensoryk.

Po południu odwiedziły go dwie osoby.

Wpierw pojawiła się garbata starsza pani, ubrana w niby mundur. Na jej paramilitarnej czapce widniał napis: "Stary Kościół".

- Sir - powiedziała lekko drżącym głosem. - Zbieram datki na Stary Kościół, który rozprzestrzenia wiarę w naszych bezbożnych czasach.

- Przepraszam, ale mnie to nie interesuje - odrzekł Blaine i zaczął zamykać drzwi.

Aby jednak pozbyć się tej kobiety, musiałyby wymyślić coś skuteczniejszego. Stała pomiędzy skrzydłem drzwi a framugą i nie przestawała mówić.

- Nadeszły czasy, w których zapanowała bestia z Babilonu, a dusze uległy zniszczeniu. Jesteśmy świadkami triumfu Szatana. Ale nie wolno nam dać się omamić! Pan zesłał na nas to wszystko, aby nas wypróbować. Zwycięzcy dostąpią zbawienia wiecznego. Jeszcze nie jest dla pana za późno! Porzuć drogę wiodącą do grzechu!

Blaine dał jej dolara, aby wreszcie sobie poszła. Ona jednak nie przestawała mówić.

- Strzeż się, młody człowieku, złudnego blasku, jaki rozacza wokół ciebie Szatan! Nie wierz w kłamstwo, którym mami człowieka - w to sztuczne niebo, zwane przez was wiecznością! Cóż genialniejszego mógł wymyślić ten największy oszust niż tę iluzję! Iluzję, że piekło jest niebem. A zaślepieni ludzie idą prosto do piekła.

- Jestem pani wdzięczny - odparł Blaine, usiłując, ponownie zamknąć drzwi.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam! - krzyknęła kobieta patrząc na niego szklistymi oczami. - Wieczność jest stworzona przez Szatana! Strzeż się diabelskiego życia po śmierci!

- Dziękuję! - krzyknął. Wreszcie udało mu się zamknąć drzwi.

Usiadł w fotelu i włączył odtwarzacz. Przez jakąś godzinę był pochłonięty "Lotem na Wenus". Przerwał seans, słysząc pukanie do drzwi.

Otworzył. W wejściu stanął niewysoki, doskonale ubrany, pełen energii młody mężczyzna.

- Czy mówię z panem Thomasem Blaine'em?

- Tak.

- Nazywam się Charles Farrell. Jestem przedstawicielem Korporacji "Zaświaty". Czy ma pan wolną chwilę? Jeśli panu przeszkadzam, możemy umówić się na spotkanie w innym terminie.

- Proszę wejść - powiedział Blaine, otwierając szeroko drzwi.

\* \* \*

Farrell wręczył Blaine'owi list polecający, który potwierdzał, że jest przedstawicielem korporacji. Dokument zawierał, między innymi, trzy zdjęcia i odciski palców, jak również dokładny opis wyglądu Farrella. Następnie wyjął inne dokumenty stwierdzające jego tożsamość oraz pozwolenie na wykonywanie zawodu. Gdy Blaine oglądał papiery, Farrell zrobił odciski swoich palców na kartce i wręczył mu ją, aby mógł porównać z danymi z listu.

- Czy to wszystko jest konieczne? - spytał Blaine.

- Absolutnie - usłyszał w odpowiedzi. - Mieliśmy kilka niemiłych incydentów w przeszłości. Oszuści pojawili się wśród biedaków. Zaofiarowali im ubezpieczenie, pobrali pierwszą ratę i znikli bez śladu. Zbyt wielu ludzi straciło dorobek całego życia, nie dostając nic w zamian. Nielegalnie

działające instytucje nie mają odpowiedniego wyposażenia ani wyszkolonego personelu.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Blaine. - Może pan usiądzie.

- Izby Kontrolne usiłują coś z tym zrobić, ale trudno jest przyłapać ich na gorącym uczynku. Jedynie trzy spółki, w tym oczywiście nasza korporacja, są w stanie zapewnić życie po śmierci.

- A co z różnymi praktykami - jogą, medytacjami?

- Jeśli jest pan cierpliwy i odpowiednio zdeterminowany, to po jakichś dwudziestu latach ćwiczeń osiągnie pan cel. Ale jeśli nie... pojawiają się my.

- Chciałbym coś więcej wiedzieć na ten temat.

Pan Farrell poprawił się na krześle.

- Jeśli jest pan taki jak większość ludzi, to z pewnością chciałby pan wiedzieć, czym jest śmierć? Co to jest psychika? Gdzie dochodzi do połączenia psychiki i ciała? Czy psychika jest równoznaczna z duszą? A może dusza jest jej częścią? Może są od siebie niezależne, a może nie? A w ogóle, czy istnieje dusza? - uśmiechnął się. - Nie chciałby pan usłyszeć odpowiedzi na te pytania?

Blaine przytaknął.

- Cóż, ale niestety nie umiem ich udzielić. Nie wiemy, jak naprawdę jest. Jeśli idzie o problemy natury religijnej, to Korporacja "Zaświaty" nie usiłuje ich nawet rozwiązać. Interesuje nas rezultat, a nie spekulacje. Jesteśmy pragmatykami. "Czy się udało?" - jest to jedyne pytanie, które zaprzęta naszą uwagę.

- Pańskie stanowisko jest jasne.

- Jest ważne, aby od samego początku między mną a drugą stroną nie było niezrozumienia. Chciałbym, abyśmy wyjaśnili sobie jeszcze jedno: ja nikomu nie ofiarowuję nieba.

- Nie?

- Całkowicie nie. Niebo jest częścią wierzeń religijnych, a my z religią nie mamy nic wspólnego. Nasza wieczność dotyczy psychiki, która żyje po śmierci ciała. To wszystko. Nie mamy zamiaru popełnić podobnej pomyłki, jaka przydarzyła się naszym przodkom, którzy, odkrywając kości jaskiniowców, ogłosili, że znaleźli szkielety Adama i Ewy.

- Nieco wcześniej wpadła do mnie starsza pani. Powiedziała, że nasza wieczność jest piekłem.

- Fanatyczka - powiedział Farrell chichocząc. - Zawsze mnie uprzedza. Ale biorąc pod uwagę naszą wiedzę, może mieć rację.

- Co wy wiecie na temat wieczności?

- Nie za wiele. Po śmierci psychika dostaje się do Przedśionka, który rozciąga się pomiędzy życiem na ziemi a wiecznością. Wydaje się nam, że jest to rodzaj granicy. Gdy psychika zdecyduje się na przekroczenie jej, na wejście do wieczności, wówczas traci kontakt z ziemią.

- A jak wygląda wieczność?

- Nie wiemy. Pewni jesteśmy jedynie tego, że nie jest materialna. Niektórzy ludzie twierdzą, że - podobnie jak psychika jest esencją człowieka - tak można przenieść do wieczności esencję rzeczy. Możliwe. Inni temu zaprzeczają. Są również tacy, którzy uważają, że Przedśionek jest swoistą poczekalnią, gdzie przebywają dusze przed przeniesieniem się w inne ciała na innych planetach;

życie na ziemi byłoby zatem tylko częścią reinkarnacyjnego cyklu. Może mają rację. Jeszcze inni uważają, że odkryta przez nas wieczność jest tylko pierwszym szczeblem w egzystencji pozaziemskiej. W trakcie przechodzenia przez sześć następnych osiąga się stan nirwany. Możliwe. Spotkałem się i z takim poglądem, że wieczność jest pustym miejscem, gdzie dusza wędruje samotnie, wciąż szukając i wciąż nie znajdując. Czytałem o pewnej teorii głoszącej, że w wieczności ludzie żyją w grupach dobranych według odpowiednich kryteriów: jedni uważają, że decyduje o tym przynależność rodzinna, inni - rasowa, wyznanie religijne czy pozycja społeczna. Są nawet tacy, którzy głoszą, że psychika po wejściu do wieczności znika, umiera. A niektórzy uważają, że jesteśmy oszustami na ogromną skalę i sami wymyśliliśmy tamten świat. Ostatnio pojawiły się opinie, że każdy znajdzie w wieczności to, czego pragnie - niebo, raj, nirwanę i co tylko jeszcze sobie zażyczy. Natknąłem się na książki, w których udowodniano, że wiecznością rządzą duchy Rosjan, Anglików lub Amerykanów - w zależności od tego, kto był autorem tych pozycji. Jeden z największych filozofów naszego wieku stwierdził, że skoro chęć rywalizacji jest nieodłączną częścią istoty człowieka, to również w wieczności muszą istnieć zwycięzcy i zwyciężeni. I tak dalej. Może pan wybrać z tego, co chce. Lub stworzyć sobie własną oryginalną teorię.

- A co pan myśli na ten temat?

- Ja? Nie mam zdania na ten temat. Gdy nadejdzie czas, znajdę się tam i dowiem, jak jest naprawdę.

- Podoba mi się pański stosunek. Ale dla mnie nie jest to dobre rozwiązanie. Nie starczy mi na to pieniędzy.

- Wiem. Zanim tu przyszedłem, zapoznałem się ze stanem pańskich aktywów i pasywów.

- Czemu więc...

- Każdego roku - powiedział Farrell - fundowanych jest kilka bezpłatnych ubezpieczeń. Czasem przez korporacje lub filantropów. Kilka - dzięki loteriom. Jest mi bardzo przyjemnie oznajmić panu, że został pan jednym z obdarowanych.

- Ja?



- Proszę przyjąć moje gratulacje. - Farrell wstał i wyciągnął rękę. - Jest pan szczęściarzem.

- Ale kto ufundował dla mnie ubezpieczenie?

- Korporacja Odzieżowa Maina-Farbengera.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Ale oni słyszeli o panu. Chodzi o tę podróż z 1958 roku. Akceptuje pan darowiznę?

Blaine patrzył na przedstawiciela wieczności. Hm, w razie czego będzie mógł sprawdzić prawdziwość jego słów w budynku korporacji. Nie mógł wyzbyć się podejrzeń, chociaż myślał, że w taki prosty sposób mógłby zapewnić sobie życie po śmierci, przesłoniła wszystkie obawy. Zachowa ostrożność, nie może przecież odrzucić takiej okazji, kiedy drzwi do wieczności otwierają się przed nim na oścież.

- Co mam zrobić?

- Razem ze mną pójść do siedziby Korporacji "Zaświaty". Możemy zakończyć operacje w ciągu kilku godzin.

Życie po śmierci!

- Dobrze. Przyjmuję darowiznę. Chodźmy.

W chwilę później w mieszkaniu Blaine'a nie było nikogo.

Taxihel dowiózł ich bezpośrednio do budynku korporacji. Farrell natychmiast dopełnił formalności. Blaine - między innymi - musiał zostawić odciski swoich palców i okazać dowód tożsamości. Pokazał koncesję myśliwską.

Po podpisaniu odpowiednich dokumentów został odprowadzony do pokoju, w którym odbywały się badania kontrolne. Farrell życzył mu szczęścia i zostawił go w rękach obsługi. .

Został poddany gruntownym testom. Po podłączeniu Blaine'a do elektrod różne maszyny zaczęły drukować masę wykresów i wydruków. Wielka skrzynia błyszczała światłami, coś buczało, a w tym czasie technicy wymienili między sobą uwagi.

- Interesujący jest wykres beta. Jak sądzisz, czy uda się nam otrzymać dokładne testy?

- Na pewno. Wystarczy, że obniżysz współczynnik.

- Nie cierpię tego robić. Osłabia to sieć.

- Nie musisz aż do tego stopnia. Tyle tylko, żeby przeżyć uraz.

- Być może... A co ze wskaźnikiem Henlingera? Nie ma nic?

- Dlatego, że jest w żywicielu. Obejdziemy się bez niego.

- A ten facet z ostatniego tygodnia? Wyleciał w powietrze jak rakieta.

- Od początku był niepewny.

Blaine nie wytrzymał.

- Hej! Czyżby to nie zawsze się udawało?

Spojrzeni na niego, jakby do tej pory nie zdawali sobie sprawy z jego istnienia.

- Każdy przypadek jest inny, przyjacielu.

- Do każdego należy podchodzić indywidualnie.

- Zawsze mogą być jakieś kłopoty.

- Myślałem, że macie już opanowaną całą technikę wtrącił Blaine. - Mówiono mi, że zabieg jest niezawodny.

- Pewnie, zawsze tak gadają klientom - powiedział jeden z nich z goryczą.

- Takie bujanie w celach reklamowych - dodał drugi.
- Nie wygląda to zatem tak różowo.
- Ale potraficie przewidzieć, czy zabieg się udał?
- Oczywiście. Jeśli wychodzisz stąd żywy - na pewno.
- Gdy zaś nie, nigdy stąd nie wyjdiesz.
- Zazwyczaj się udaje - odrzekł uspokajająco jeden z nich. - U wszystkich z wyjątkiem tych, którzy mają K 3.
- Ten cholerny K 3 powoduje, że wciąż nie jest zbyt dobrze. Podejdź, Jamiesen, sprawdź, czy on ma K 3?
- Nie jestem pewny - powiedział Jamiesen, nachylając się do ucha kolegi. - Aparat testujący znów dostaje szmergła.
- Co to jest K 3? - spytał Blaine.
- Sam chciałbym wiedzieć - odparł ponuro Jamiesen. Pewni jesteśmy jedynie tego, że ludzie z K 3 nie przeżywają śmierci.
- Bez względu na starania.

- Czy ja mam K 3?

- Pewnie nie. Muszę jeszcze sprawdzić.

Blaine odczekał, zanim po ponownym przeanalizowaniu wyników z psującego się komputera, nie stwierdzą u niego obecności K 3.

- Sądzę, że nie ma go u pana. Czy możemy jednak powiedzieć coś pewnego na ten temat? W każdym razie, spróbujemy.

- Co teraz? - spytał Blaine.

Zrobiono mu zastrzyk.

- Bądź spokojny, wszystko się uda.

- Pewny jesteś, że nie mam K 3?

Jamiesen skinął z powagą. Blaine chciał zadać mu więcej pytań, ale poczuł narastającą senność.

Gdy odzyskał przytomność, leżał na miękkiej kanapie, dobiegały go dźwięki muzyki. Pielęgniarka podała mu szklaneczkę sherry. Przybył nawet Farrell, stał promieniejący obok niego.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał. - Na pewno, zabieg przecież się udał.

- Do końca?

- Nie może być pomyłki, panie Blaine. Wieczność należy do pana.

Skończył sherry, spróbował wstać. Trochę trzęsły mu się nogi.

- Przeżyję śmierć? Bez względu na to, kiedy umrę? Jak umrę?

- Tak. Bez względu na to, kiedy i jak pan umrze, pańska psychika przeżyje śmierć. Jak pan się czuje?

- Nie wiem.

Dopiero gdy wrócił do mieszkania i usiadł w fotelu, w pełni zrozumiał i poczuł, co się stało. Będzie żył wiecznie! Ogarnęło go podniecenie. Wszystko jest już bez znaczenia: jest nieśmiertelny! Stara śmierć, zawsze czająca się z boku, została zmuszona do kapitulacji. Czuł się lekki jak piórko. Przepelniała go euforia. Usłyszał dzwonek telefonu.

- Halo.

- Tom? - usłyszał głos Marie Thorne. - Gdzie się podziewałeś? Dzwonię do ciebie przez całe popołudnie.

- Byłem poza domem. Ale gdzie ty byłaś?

- W Rexie. Usiłowałam dowiedzieć się, co zamierzają z tobą zrobić. Teraz skup się, mam ci do powiedzenia coś ważnego.

- Ja również, kochanie.

- Słuchaj! Przyjdzie do ciebie jakiś człowiek. Przedstawi się jako pełnomocnik Korporacji "Zaświaty". Zaproponuje ci bezpłatne ubezpieczenie. Nie zgódź się!

- Dlaczego? Ma zamiar mnie oszukać?

- Jego oferta jest uczciwa. Ale nie wolno ci z niej skorzystać.

- Już to zrobiłem.

- Co?!

Przyszedł kilka godzin temu. Zgodziłem się.

- Zdążyli dokonać zabiegu?

- Tak. Oszukali mnie?

- Nie - odpowiedziała zmartwiona. - Oczywiście, że nie. Och, Tom, kiedy się nauczysz, że nie należy przyjmować prezentów od nieznajomych? Jeszcze był czas na załatwienie ubezpieczenia... Och, Tom, Tom...

- Co się stało? To był dar Korporacji Odzieżowej Maina-Farbengera.

- Należy ona całkowicie do Korporacji Rexa.

- Ach, tak... Ale jakie to ma znaczenie?

- Tom, otrzymałeś tę darowiznę od zarządu Rexa. Tamta korporacja służyła jedynie za parawan. Czy nie pojmujesz, co to oznacza?

- Nie. Czy nie mogłabyś przestać jęczeć i zacząć jaśniej mówić?

- Tom, w ustawie mówiącej o dobrowolnym samobójstwie jest paragraf poświęcony dozwolonemu morderstwu. Zamierzają z niego skorzystać.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym paragrafie, który umożliwia korzystanie z żywiciela. Rex zagwarantował ci przeżycie po śmierci i ty się zgodziłeś. Teraz mogą legalnie zabrać twoje ciało w jakimkolwiek celu. Należy do nich. Mogą zabić je, Tom!

- Zabić mnie?

- Tak. Oczywiście, zamierzają tak zrobić. Rząd szykuje się, żeby pociągnąć ich do odpowiedzialności za bezprawne przeniesienie ciebie z przeszłości. Nie ma ciebie - nie ma problemu. Koniecznie musisz wyjechać z Nowego Jorku. Nawet z tego kraju. Pomogę ci. Sądzę, że...

Połączenie zostało przerwane. Kilkakrotnie usiłował zadzwonić, ale nie było sygnału na linii. Najwidoczniej telefon został odcięty.

Euforia zniknęła bez śladu. Jak mógł się tak zapomnieć?! Chciał żyć tu na Ziemi, w swoim ciele. Nie miał nic przeciwko pośmiertnemu życiu, ale nie teraz, nie zaraz!



Kiedy przyjdą, aby go zabić? Mogą w każdej chwili. Jego mieszkanie stało się pułapką. Szybko schował do kieszeni wszystkie pieniądze i wymknął się z pokoju.

Pospieszył korytarzem. Wtem zatrzymał się.

Zza węgła wyszedł mężczyzna. Stał pośrodku korytarza, rękę trzymał blaster, którego lufa wymierzona była w brzuch Blaine'a.

To był Sammy Jones.

- Och, Tom, Tom... - westchnął Sammy. - Uwierz mi, jest mi naprawdę przykro. Ale biznes to biznes.

Blaine stał nieruchomo. Lufa nadal była skierowana w jego pierś.

- Ale dlaczego ty? - udało mu się wykrztusić.

- A dlaczego miałby kto inny? Czy nie jestem najlepszym myśliwym na tej półkuli? Rex zatrudnił wszystkich, którzy przebywają na terenie miasta. Tym razem jednak polowanie odbywa się za pomocą blasterów. Przykro mi.

- Przecież ja też jestem myśliwym - powiedział Blaine.

- Nie jesteś pierwszy, którego to spotyka. Koniec gry, przyjacielu. Nie załamuj się. Nie będzie bardzo bolało.

- Nie chcę umierać! - zachnął się Blaine.

- Dlaczego? Masz przecież swoje ubezpieczenie.

- Nabrali mnie. Chcę żyć! Sammy, nie rób mi tego!

Sammy spoważniał. Ujął ostrożnie broń, opuścił powoli lufę.

- Zdaje się, że zaczynam mieć zbyt miękkie serce jak na taką zabawę. Dobrze, Tom. Zwiewaj. Każda zwierzyna powinna mieć jakieś fory. Tak będzie bardziej po sportowemu. Nie spodziewaj się jednak za dużo.

- Dzięki, Sammy. - Blaine pobiegł naprzód.

- Tom, jeśli chcesz rzeczywiście żyć, to pilnuj się. Zapewniam cię, więcej teraz na ulicach myśliwych niż normalnych ludzi. I wystrzegaj się środków transportu.

- Dzięki! - zawołał Blaine i zaczął zbiegać po schodach.

Znalazł się na ulicy, ale nie wiedział, gdzie się udać. Jednak nie było czasu do stracenia. Zbliżał się mrok, ciemność mogła mu pomóc. Instynktownie wybrał kierunek prowadzący w stronę slumsów.

Mijał bary i tanie hotele, stare domy i chylące się ku upadkowi kluby. Starał się stworzyć sobie jakiś plan.

Jones ostrzegł go przed środkami transportu. Jak więc ma sobie poradzić, zupełnie bezbronny... Żeby miał pistolet, od razu byłoby inaczej. Inaczej... tak. Hull powiedział, że zwierzyzna, która zabija myśliwego, jest winna morderstwa. Policja aresztuje go zanim się obejrzy. Nie będzie to miłe, ale uniknąłby w ten sposób bezpośredniego zagrożenia.

Natknął się na sklep z bronią.

- Chcę kupić strzelbę.

- Jaką?

- Macie blastery?

Mężczyzna potwierdził i poszedł na zaplecze. Przyniósł połyskujący karabin ręczny.

- Jest to ekstra model. Używają go w polowaniach na Wenus. Bije na odległość 500 jardów. Z boku znajduje się wskaźnik. Może go pan nastawić na dalszy lub krótszy dystans.

- Podoba mi się - powiedział Blaine, wyciągając plik banknotów.

- Czy mogę zobaczyć pańskie zezwolenie?

Blaine wyjął koncesję myśliwską. Sprzedawca z denerwującą powolnością wypisał kwit.

- Zapakować?

- Nie trzeba.

- Siedemdziesiąt pięć dolarów.

Gdy Blaine podawał pieniądze, sprzedawca czytał jakąś listę, wiszącą za jego plecami.

- Proszę zaczekać! - powiedział nagle.

- Co?

- Nie mogę panu sprzedać tej broni.

- Dlaczego? - zdziwił się Blaine. - Widział pan przecież moją koncesję.

- Ale nie uprzedził mnie pan, że jest zarejestrowany jako zwierzyna. Wie pan przecież, że zwierzyna nie może mieć broni. Pańskie nazwisko znalazło się tu jakieś pół godziny temu. Nigdzie w Nowym Jorku nie kupi pan broni.

Blaine sięgnął po broń, ale sprzedawca był szybszy. Wymierzył w niego.

- Powiniennem im zaoszczędzić kłopotu - powiedział. - Masz pan swoją cholerną wieczność. Jeszcze panu za mało?

Blaine stał bez ruchu. Mężczyzna opuścił lufę.

- Ale to nie mój problem. Myśliwi wkrótce pana dopadną.

Sięgnął pod ladę i nacisnął guzik. Blaine odwrócił się i wybiegł ze sklepu. Zapadła ciemność, ale niestety, już za chwilę wszyscy będą wiedzieli, gdzie się znajduje.

Miał wrażenie, że ktoś wykrzyknął jego nazwisko. Nie odwracając się, poszedł przed siebie. Nie mógł w taki idiotyczny sposób umrzeć! To nie było uczciwe!

Zauważył, że idzie za nim człowiek. Poznał go. Theseus. Niósł odbezpieczoną broń, czekając na odpowiedni moment, aby strzelić.

Blaine przyspieszył, wmieszał się w tłum i skręcił w boczną ulicę. Przebiegł ją, potem nagle stanął.

Daleko od niego stał mężczyzna, oświetlony z tyłu przez światło. Składał się do strzału.

Blaine zawahał się, spojrzał ponownie na Theseusa.

Mały myśliwy strzelił, promień rozerwał rękaw Blaine'a. Ten pobiegł ku otwartym drzwiom, które nagle zatrzęsnęły się mu przed nosem. Następny promień osmalił jego płaszcz.

Z niesamowitą ostrością uprzytomnił sobie swoją sytuację. Theseus depcze mu po piętach, drugi myśliwy zamyka drogę ucieczki. Pobiegł ku dalej znajdującemu się przeciwnikowi.

- Theseus, zejdź z linii promienia. Mam go! - krzyknął drugi myśliwy.

- Jest twój, Hendrick! - Theseus przywarł do ściany.

Strzelec wycelował. Blaine upadł na bruk, promień ominął go. Toczył się po ulicy, uciekając przed śmiercią. Nagle dostrzegł kratę od metra. Gdy upadał, wydawało mu się, że promień Mastera naruszył metal kraty. Ślepy traf! Ale jeszcze nie mógł się cieszyć. Musiał poderwać się na nogi i nie tracąc przytomności, nie tylko dostać się do środka, lecz i odpełznąć dalej. W innym wypadku wystawi się na pewną śmierć.

W połowie drogi usiłował zrobić unik. Za późno. Upadł ciężko, uderzył głową w słup. Wysiłkiem woli zebrał jednak wszystkie siły i podniósł się na nogi.

Musiał odejść jak najdalej od wejścia. Na tyle daleko, żeby nie mogli go dostrzec.

Nie stać go już było nawet na zrobienie jednego kroku. Nogi ugięły się pod nim. Upadł na twarz, przekręcił się, jego oczy spojrzały na otwór znajdujący się ponad nim.

Zemdlał.

następny

. 4 .

27

Po odzyskaniu przytomności pomyślał, że nie podoba mu się wieczność. Było ciemno, wilgotno i wokół unosił się zapach benzyny i szlamu. Bolała go głowa i plecy, miał wrażenie, że jest cały połamany.

Czy duchy mogą odczuwać ból?

Poruszył się. Nadal znajduje się w ciele. A więc jeszcze nie przeszedł w zaświaty.

- Odpocznij jeszcze trochę - powiedział jakiś głos.

- Kim jesteś? - rzucił pytanie w ciemność.

- Smith.

- Ach, to ty - usiadł i położył ręce na swojej głowie. Jak ci się udało to zrobić?

- Myślałem, że już wszystko stracone - zaczął wyjaśniać zombie. - Jak tylko ogłoszono, że jesteś zwierzyną, próbowałem ciebie znaleźć. Pomagało mi kilku przyjaciół. Krzyknąłem do ciebie, gdy wychodziłeś ze sklepu z bronią, ale byłeś zbyt szybki.

- Myślałem, że się przesłyszałem.

- Gdybyś zawrócił, już wtedy byłbyś bezpieczny. Nie pozostało nam nic innego, jak iść za tobą. Otworzyliśmy kilka klap prowadzących do podziemi, ale nie mogliśmy trafić na odpowiednią chwilę. Zawsze już byłeś za daleko.

- Nie za ostatnim razem.

- Udało mi się otworzyć wejście znajdujące się tuż pod tobą. Przykro mi, że uderzyłeś się w głowę.

- Gdzie jestem?

- Odciągnąłem ciebie od głównego przejścia. Nie znajdą cię tutaj.

Blaine ponownie nie wiedział, jak podziękować Smithowi. Smith i tym razem nie oczekiwał dowodów wdzięczności.

- Nie robię tego dla ciebie. Potrzebuję ciebie.



- Czy już wiesz dlaczego?

- Jeszcze nie - odpowiedział Smith.

Oczy Blaine'a przywykły do ciemności. Widział już zarys postaci zombie.

- Co teraz? - zapytał.

- Jesteś bezpieczny. Mogę przeprowadzić cię kanałami i chodnikami aż do New Jersey. Dalej poradzisz sobie sam. Ale nie sądzę, żeby to było trudne.

- Na co czekamy?

- Aż przyjdzie pan Kean. Zanim cię przeprowadzę, musimy otrzymać jego pozwolenie na skorzystanie z podziemnych korytarzy.

Po kilku minutach oczekiwania Blaine dostrzegł w ciemności sylwetkę przywódcy zombie. Starszy mężczyzna, opierając się na ramieniu Murzyna, zbliżył się do nich powoli.

- Przykro mi, że pan ma kłopoty - powiedział Kean, gdy siadł naprzeciwko Blaine'a.

- Panie Kean - głos Smitha był pełen szacunku - czy mógłbym otrzymać pozwolenie na przeprowadzenie starym holenderskim tunelem na New Jersey...

- Jest mi naprawdę przykro - przerwał mu Kean ale nie mogę udzielić pozwolenia.

Blaine rozejrzał się wokoło. Otaczało ich z tuzin zombie w podartych ubraniach.

- Rozmawiałem z myśliwymi - ciągnął Kean - i dałem im gwarancje, że w ciągu pół godziny opuści pan nasze tereny i wyjdzie na ulicę. Musi pan już iść.

- Dlaczego?

- Po prostu nie jesteśmy w stanie panu pomóc. Już za pierwszym razem nie powinienem wpuszczać pana do podziemi, ale uczyniłem to na prośbę Smitha, którego przeznaczenie splecione jest nieodłącznie z pana osobą. Smith jest jednym z moich ludzi. Wie pan, że jesteśmy tutaj z powodu naszej choroby.

- Tak.

- Smith powinien uwzględnić konsekwencje. W chwili gdy otworzył dla pana wejście, sprowokował myśliwych do wtargnięcia do środka. Jeszcze pana nie znaleźli, ale wiedzą, że pan tu jest. A więc szukają. Blaine, oni weszła tu i z tuzin myśliwych bada korytarze, zastrasza naszych ludzi, krzyczy do swoich krótkofalówek. Przesyłają raporty. Kilku młodych myśliwych, niedoświadczonych, zaczęło strzelać do zombie.

- Przykro mi - powiedział Blaine.

- Nie jest pan temu winien, ale Smith powinien się lepiej orientować. Nasze miasto nie jest suwerennym królestwem. Żyjemy tutaj jedynie dzięki tolerancji. W każdej chwili nastawienie dotąd odpowiedzialnych ludzi może się zmienić. Dlatego rozmawiałem z myśliwymi i reporterami.

- Co pan im powiedział? - zapytał Blaine.

- Wyjaśniłem, że otworzyła się pod panem wadliwie zamknięta krata i spadł pan do środka przez

przypadek, a potem odczołgał się gdzieś w boczny korytarz. Zapewniłem ich, że zombie nie mają z tym nic wspólnego. Obiecałem, że znajdziemy pana i dostarczymy na powierzchnię w ciągu najdalej pół godziny. Zaakceptowali moją propozycję i opuścili nasze tereny. Wolałbym nie być zmuszonym do takiego zachowania.

- Nie mam do pana pretensji - powiedział Blaine, podnosząc się z wolna na nogi.

- Nie określiłem miejsca, gdzie pan się ukaze. Ma pan przynajmniej większe szanse. Chciałbym panu pomóc, ale przede wszystkim muszę dbać o moich ludzi. Musimy być neutralni - nikogo nie niepokoić. Tylko w ten sposób możemy przetrwać.

- Gdzie pan mi proponuje wyjść?

- Wybrałem od dawna nie używane wyjście na ulicy 79 Zachodniej. Zwiększy to pańskie szanse. Postarałem się też o coś, czego prawdopodobnie nie powinienem robić.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, co takiego?

- Nawiązałem kontakt z pańskimi przyjaciółmi, którzy będą na pana czekali przy wyjściu. Proszę jednakże nic C o tym nie mówić. I czas już na pana.

Kean powiódł zebranych krętymi korytarzami. Blaine powoli dochodził do siebie, ból głowy stawał się coraz mniej dokuczliwy. Wkrótce stanęli przed wyjściem.

- Życzę panu powodzenia - powiedział Kean.

- Dziękuję. I tobie, Smith.

- Staralem się, jak mogłem. Jeśli umrzesz, ja też prawdopodobnie umrę. Ale jeśli będziesz żył - popracuję nad tym, żeby sobie przypomnieć.

- Co będzie, jeśli to się stanie?

- Wówczas się spotkamy - powiedział Smith.

Blaine skinął głową na pożegnanie i zaczął wspinać się po schodach.

\* \* \*

Na zewnątrz panowała noc. Ulica 79 Zachodnia wydawała się pusta. Stał obok wejścia, zastanawiając się, co robić dalej.

- Blaine!

Ktoś go wołał, ale nie był to głos Marie. Męski głos, skądś mu znany. Może to był Sammy Jones, może Theseus...

Szybko odwrócił się w stronę wejścia. Na próżno. Nikogo nie zauważył. Było dokładnie zamknięte.

- Tom! Tom, to ja!

- Ray?

- Oczywiście! Nie mów tak głośno. Niedaleko stąd są myśliwi. Poczekaj chwilę.

Blaine czekał, wtulony w zagłębienie wejścia, spoglądając w mrok. Rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie było widać Melhilla, żadnego kłębu ekto plazmy - dobiegał go tylko jego cichy głos.

- W porządku, idź na zachód - powiedział jego niewidzialny przyjaciel. - Szybko.

Poszedł, przez cały czas czując tuż nad sobą jego obecność.

- Ray, skąd się tu wzięłeś?

- Najwyższy czas, abym ci trochę pomógł. Kean skontaktował się z twoją dziewczyną, a ona ze mną przez Łącznicę Duchów. Zatrzymaj się!

Blaine skrył się za węglem. Przeleciał helikopter.

- Myśliwi - wyjaśnił Melhill. - Wyznaczono za ciebie wysoką nagrodę. Nawet obiecano pewną sumę pieniędzy za wiadomość, która pomoże cię złapać. Tom, powiedziałem Marie, że postaram się ci pomóc, ale nie wiem, jak długo jestem w stanie tu przebywać. To bardzo wyczerpuje energię. Gdy rozstanę się z tobą, nie pozostanie mi nic innego, jak przejść w zaświaty.

- Ray, doprawdy, nie wiem jak...

- Daj spokój... Nie mogę zbyt dużo mówić. Marie ma pewien plan. Jej przyjaciele mogą cię uratować, musimy się tylko do nich dostać. Nie ruszaj się!

Zatrzymał się i skrył za skrzynką pocztową. Minęły dziesięć chwil, po czym pojawiło się trzech myśliwych z bronią gotową do strzału. Gdy tylko skręcili za rogiem, Blaine ponownie podjął ucieczkę.

- Masz chyba sto oczu - powiedział do Melhilla.

- Stąd widzi się o wiele więcej. Przetnij szybko tę ulicę. Przebiegł. Przez następne piętnaście minut, słuchając poleceń przyjaciela, kluczył po ulicach miasta.

- To tutaj - powiedział wreszcie Melhill - drzwi numer 341. Idź tam. Będę przy tobie. Zaczekaj!

W tej samej chwili zza rogu wyszli dwaj mężczyźni. Spojrzeli uważnie na Blaine'a i jeden z nich powiedział:

- Patrz, to ten facet.

- Jaki facet?

- Ten, za którego wyznaczili nagrodę. Hej, ty tam!

Zaczęli biec w jego stronę. Blaine z łatwością znokautował jednego z nich. Odwrócił się, aby zająć się drugim, ale nie docenił swojego przyjaciela: wokół głowy napastnika krążył tajemniczo lewitujący pojemnik na śmieci. Przestraszony, kuląc się, próbował osłaniać rękami głowę. Blaine podszedł i dokończył dzieła.

- Cholernie mi się to podobało - powiedział Melhill bardzo cichym głosem. - Zawsze chciałem zabawić się w straszenie. Ale niestety, ubyło mi sporo energii... Powodzenia, Tom!

- Ray! - krzyknął Blaine, ale nie doczekał się odpowiedzi. Przestał też czuć obecność ducha.

Nie było na co czekać. Podszedł do pokoju 341, otworzył drzwi i wąskim korytarzykiem podszedł do następnych. Zastukał.

- Proszę wejść!

Otworzył i stanął jak wryty.

W małym, odciętym od świata ciężkimi zasłonami pokoiku, siedział uśmiechnięty szeroko złodziej ciał - Carl Orc. Tuż obok niego, również promieniejący, stał Joe - naganiacz od Transplantu.

Zrobił krok wstecz, ale w tym samym momencie Orc gestem zaprosił go do środka.

- Spodziewaliśmy się oczywiście ciebie. Czy pamiętasz Joego?

Blaine skinął głową. Nie trzeba mu było przypominać tego człowieczka o niespokojnych oczach, który odciągnął jego uwagę, żeby Orc mógł zatruć napój.

- Tak się cieszę, że znów się spotykamy - oznajmił Joe.

- Nietrudno mi w to uwierzyć - odrzekł ponuro Blaine, nie odstępując od drzwi.

- Wejdz do środka. I siadaj - powiedział Orc. - Nie zamierzamy ciebie pożreć. Naprawdę. Zapomnij o przeszłości.

- Chciałeś mnie zabić.

- Miałem w tym interes - odparł z rozbrajającą szczerością Orc. - Teraz jesteśmy po tej samej stronie.

- Mam w to wierzyć?



- Żaden człowiek - Orc wyglądał na nieco urażonego - nigdy nie kwestionował mojej uczciwości. Nigdy, gdy byłem szczery, tak jak to jest w tej chwili. Pani Thorne wynajęła nas, abyśmy wydostali ciebie z tego kraju. Zamierzamy dotrzymać zobowiązania. Siadaj, musimy przedyskutować sprawę. Zjadłbyś coś?

Blaine usiadł, lecz nadal miał się na baczności. Na stole ~ znajdowały się kanapki i butelka czerwonego wina. Nagle zdał sobie sprawę, że przez cały dzień nic nie jadł. Nieomal rzucił się na jedzenie. Orc zapalił cienkie cygaro, Joe wydawał się drzemać.

- Niezbyt chętnie podjąłem się tego zadania - ciągnął Orc, puszczając kłęby dymu. - Nie z powodu małej sumy. Ale Tom, jest to największe polowanie, jakie widziałem w swoim życiu. Joe, widziałeś kiedy większe?

- Nigdy - człowieczek nagle potrząsnął głową. Zaroilo się w mieście jak w ulu.

- Ludzie z Rexa rzeczywiście chcą dostać ciebie w swoje łapy. Rozmieścili wszędzie twoje podobizny i wysłali za tobą swoje psy gończe. Całe miasto się zmobilizowało. Grube ryby nie lubią być wykiwane przez mało znaczącego człowieka, jakim ja jestem. Ale taka sytuacja jest wyzwaniem dla każdego prawdziwego mężczyzny.

- Carl lubi ryzyko - wtrącił się Joe.

- Podejmuję się spraw związanych z ryzykiem, szczególnie gdy w grę wchodzi duże pieniądze.

- Ale gdzie mam uciec? - zapytał Blaine. - Gdzie Rex mnie nie znajdzie?

- Nie ma takiego miejsca - powiedział Orc ze smutkiem.

- Może poza Ziemią? Mars? Wenus?

- Niezbyt dobry pomysł. Jest tam niewiele miast, są małe. Wszyscy znają wszystkich. Wiadomość dotrze tam w ciągu tygodnia. Zresztą nie miałbyś tam nic do roboty. Na Marsie mieszkają co prawda Chińczycy, ale oprócz nich znajdują tam się również naukowcy z rodzinami. Podobnie jest na Wenus.

- W takim razie gdzie się udać?

- Takie samo pytanie zadałem Marie Thorne. Przedyskutowaliśmy kilka propozycji. Pierwsza dotyczyła miasta zombie. Ludzie z Rexa nigdy by tam ciebie nie znaleźli. Mógłbym to załatwić.

- Wolałbym umrzeć.

- Nie dziwię się - zgodził się Orc. - Odrzuciliśmy ją. Zastanawialiśmy się nad jakąś małą farmą w głębi Oceanu Atlantyckiego. Jest tam pusto, ale człowiek musi mieć odpowiednie predyspozycje psychiczne, aby tam żyć. Nie wiedzieliśmy, czy się do tego nadajesz. Wreszcie, po odpowiednim zastanowieniu, doszliśmy do wniosku, że najodpowiedniejszym miejscem dla ciebie są wyspy Markizy.

- Jakie?

- Wyspy Markizy. Mała grupka rozrzuconych wysp na Pacyfiku. Niedaleko Tahiti.

- Morza Południowe...

- Zgadza się. I co ważniejsze, będziesz się tam czuł jak u siebie w domu. Mówi się, że jest to jedyny zakątek, w którym żyją ludzie tak, jakby wciąż jeszcze był dwudziesty wiek. Co więcej, może ludzie z Rexa zostawią ciebie w spokoju.

- Czemu?

- Zastanów się przez chwilę, dlaczego chcą cię teraz zabić? Dlatego, że porwali cię, naruszając przepisy, z przeszłości i teraz obawiają się, że rząd dobierze im się do skóry. Gdy opuścisz Stany Zjednoczone, znajdziesz się poza jurysdykcją tutejszego rządu. Nie ma cię - nie ma sprawy. A twoje tak znaczne oddalenie jest wskazówką dla Rexa, że nie zamierzasz im szkodzić. Poza tym, Markizy są suwerennym państwem, odkąd Francuzi pozwolili im na niepodległość. Rex musiałby uzyskać specjalne pozwolenie, aby tam na cię polować. Zbyt dużo hałasu i problemów. Pewny jestem, że po twojej ucieczce rząd USA przestanie interesować się tą sprawą, a Rex zostawi cię w spokoju.

- Jesteś tego zupełnie pewny?

- Tak do końca nie, ale ten tok myślenia jest logiczny.

- Czy nie możemy wcześniej dogadać się z zarządem Rexa?

Orc potrząsnął głową.

- Jak długo jesteś w Nowym Jorku, łatwiej i bezpieczniej dla nich jest zabić cię.

- Zdaje się, że masz rację - powiedział Blaine. Jak zamierzacie mnie stąd wywieźć?

Orc i Joe spojrzeli na siebie niespokojnie.

- Z tym największy kłopot - powiedział Orc. - Wygląda na to, że nie istnieje taki sposób.

- Helikopter, może odrzutowiec?

- Zatrzymują się w punktach kontrolnych. Myśliwi już wszystkie obsadzili. Możemy je od razu wykluczyć.

- Mógłbym się przebrać.

- Jest to skuteczne jedynie w pierwszych godzinach polowania. Teraz, nawet jeśli przeprowadzimy operację plastyczną, mogą łatwo ciebie zidentyfikować. Mają analizatory identyfikujące.

- A więc nie ma jak uciec? - zapytał smutno Blaine.

Orc i Joe ponownie wymienili spojrzenia.

- Jest jeden sposób, ale chyba ci się nie spodoba.

- Przede wszystkim zależy mi na życiu.

Orc zapalił następne cygaro.

- Zamierzamy zamrozić ciebie do temperatury bliskiej zeru, to znaczy hibernować. Potem wyślemy ciebie jako mrożoną wołowinę. Twoje ciało zapakujemy tak, że znajdzie się pośrodku ładunku. Jest duża szansa, że go nie znajdą.

- Ryzykowne.

- Nie aż tak bardzo - powiedział Orc.

Blaine nagle coś zrozumiał.

- Mam być przez cały czas nieprzytomny, tak?

Minęła dłuższa chwila, zanim usłyszał odpowiedź Orca.

- Nie.

- Nie będę?

- Nie zrobimy tego w ten sposób. Twoje ciało i ty muszą zostać odseparowane. Właśnie tego się obawiam, że ci się to nie spodoba.

- O czym, do diabła, mówisz? - Blaine wrzał z oburzenia.

- Uspokój się. Usiądź, zapal papierosa, napij się jeszcze wina. Zrozum, Tom, nie możemy przetransportować ciała -zamarzniętego ciała z psychiką w środku. Myśliwi tylko na to czekają. Czy wiesz, co się stanie, gdy za pomocą analizatora odkryją, że w przesyłce znajduje się uśpiona psychika? Żegnaj, nadziejo. Będziesz już ich. Nie mam na celu wykiwania ciebie, Tom. Tylko w ten sposób możemy umożliwić ci wydostanie się z tego kotła.

- Co w tym czasie będzie działo się z moją psychiką?

- Na tym lepiej się zna Joe.

Joe, który przez cały czas zdawał się drzemać, skinął raptownie głową.

- Odpowiedź brzmi: Transplant.

- Transplant?

- Już ci o nim opowiadałem. Tego niemiłego wieczoru, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Pamiętasz? Transplant, wspaniała rozrywka, każdy może w niej uczestniczyć. Coś orzeźwiającego dla zmęczonych ciał. Mamy całą siatkę jak świat długi i szeroki - ludzi, którzy są tym zafascynowani. Zamierzamy uczynić ciebie członkiem naszej organizacji.

- Zamierzacie przesłać moją psychikę przez cały kraj? - Tak jest! Od ciała do ciała. - Joe wyglądał na zadowolonego. - Wierz mi, jest to niezła rozrywka. I pouczająca.

Blaine poderwał się na nogi tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, na którym siedział.

- Do diabła! Mówiłem wam, ale widzę, że muszę powtórzyć! Nie mam zamiaru bawić się w waszą świńską zabawę. Idę spróbować swoich szans na ulicy.

Skierował się w stronę drzwi.

- Wiem, że jest to nieco wstrząsające... - odezwał się Joe.

- Nie!

W pokoju rozbrzmiał podniesiony głos Orca:

- Psiakrew, Blaine! Może chociaż dasz człowiekowi dokończyć i wysłuchasz, co ma do

powiedzenia!

Blaine zatrzymał się.

- No dobrze. Mów.

Joe nalał sobie lampkę wina i wypił ją jednym haustem.

- Panie Blaine, trudno mi będzie wyjaśnić wszystko, ale spróbuję. Niech pan też postara się zrozumieć.

Blaine skinął głową niechętnie.

- Cóż, Transplant w obecnych czasach jest stosowany najczęściej jako środek umożliwiający bogatsze przeżycia seksualne. W taki właśnie sposób ja go reklamuję. Dlaczego? Ponieważ ludzie nie wiedzą o tym, że można go wykorzystać inaczej. Ponadto konserwatywne rządy nie pozwalają go stosować. Transplant jest zwiastunem nadchodzącej przyszłości.

Oczy człowieczka się rozjaśniły. Blaine ponownie usiadł na krześle.

- W społeczeństwie ludzkim od wieków istnieje podstawowy konflikt dotyczący wolności - zaczął sentencjonalnie Joe. - Podczas gdy ludzie dążą do uzyskania jak największej wolności słowa i poglądów, postępowania, wyboru rządów, nasze władze dążą do jej ograniczenia.

Blaine pomyślał, że Joe nieco upraszcza sprawy, ale nie przerywał.

- Rząd ogranicza naszą wolność z kilku powodów: aby zapewnić bezpieczeństwo, zyski, aby mieć władzę lub dlatego, że ich zdaniem społeczeństwo nie dorosło do wolności. Bez względu jednak na

powód, fakt pozostaje faktem: ludzie dążą do wolności, a rząd do ograniczenia jej. Transplant jest jednym ze środków umożliwiających wolność. Nie podoba się to władzy.

- Seksualną wolność - powiedział z ironią Blaine.

- Skądże! Nie chodzi nam o ten rodzaj wolności, choć nic przeciwko niej nie mamy. Transplant jest stworzony do wyższych celów. To prawda, reklamując Transplant posługujemy się argumentacją z tej dziedziny, ale dlatego, że ludzie nie lubią mieć do czynienia z abstrakcją. Lubią od razu wiedzieć, ile i co zyskają. Ukazujemy więc im coś ponętnego, a dalej już działa Transplant.

- A co można dzięki niemu uzyskać?

- Daje ludziom możliwość przekroczenia granic narzuconych przez środowisko, pochodzenie, dziedzictwo! - powiedział przejętym głosem Joe.

- Co?

- Nie przesadzam. Transplant umożliwia wymianę wiedzy, ciał, zdolności i umiejętności z każdym, kto się na to zgodzi. Wielu nie ma nic przeciwko temu. Ludzie lubią zmiany. Muzycy chcą zostać inżynierami, ludzie na pozór spokojni - myśliwymi, żeglarze chcą być pisarzami... Życie jest jednak zbyt krótkie, aby rozwinąć w sobie wszystkie umiejętności. Zresztą, jeszcze potrzebna jest szczypta talentu. Transplant umożliwia tę zamianę bez utraty czasu. Czy człowiek musi być przypisany do jednego ciała? Zupełnie tak, jakby od momentu narodzin musiał chorować przez resztę życia. Ludzie pragną wolności wyboru, pragną zmieniać siebie w zależności od potrzeb.

- Realizacja waszych planów - powiedział Blaine przyczyni się do stworzenia armii neurotyków, którzy, zmieniając ciała, już nie będą wiedzieli, kim są i czego chcą.

- Zawsze wytaczano podobne argumenty, gdy dyskutowano nad jakimś aspektem wolności po to tylko, aby go nie wprowadzać w życie - oczy Joeego połyskiwały. Udowodniano, że człowiek nie jest na tyle mądry, żeby mógł sam wybrać sobie religię, że kobiety nie są dostatecznie inteligentne, aby



móc głosować, że ludzie w ogóle nie powinni wybierać władzy, bo zawsze dokonują złego wyboru. Oczywiście wokół nas również istnieje mnóstwo neurotyków. Ale większość ludzi wykorzystuje swoją wolność właściwie. - Joe zaczął mówić przekonującym głosem. - Panie Blaine, powinien pan zrozumieć, że istotą człowieka nie jest jego ciało, które zresztą jest przypadkowe. Nie jest ono ani zaletą, ani wadą. Jeśli zaś chodzi o umiejętności, to nabywa się je z konieczności. Talenty z kolei są wrodzone i rozwijają się w sprzyjających okolicznościach. Ani choroby, ani ułomności człowieka - podobnie jak środowisko, w którym się urodził - nie zależą od niego. Wszystkie te cechy charakteryzują, oczywiście, człowieka. Jest on jednak kimś więcej: może zmieniać swoje otoczenie, dokonywać ułomności, może rozwijać talenty. Teraz jest w stanie zmienić jeszcze swoje ciało i uwolnić się od ograniczeń. Jest to kolejny krok na drodze ku wolności! Historycznie nieunikniony, bez względu na to, co sobie myśli na ten temat rząd. Człowiek musi stać się wolnym tak dalece, jak jest to możliwe!

Joe skończył swoje przemówienie prawie w ekstazie. Blaine niepostrzeżenie zmienił o nim swoje zdanie. Patrzył, teraz na niego jak na genialnego rewolucjonistę z 2110 roku.

- On ma rację, Tom - ponownie zabrali głos Orc. Transplant jest dozwolony w Szwecji i na Cejlonie. Jakoś nie wygląda na przyczynę wzrostu zachorowań na choroby psychiczne.

- Przyjdzie taki czas - powiedział Joe, nalewając sobie kolejną lampkę wina - że Transplant rozprzestrzeni się na cały świat.

- Być może - odezwał się Orc. - A może wynajdą inną formę rozszerzenia wolności. Nieważne. Tom, w każdym razie widzisz, że nie jest to takie niemoralne, jak myślałeś. Jak więc będzie z naszą propozycją?

- Ty również jesteś rewolucjonistą? - zapytał Blaine.

Orc zachichotał.

- Trudno powiedzieć. Raczej jestem człowiekiem, który dla zysku sprzedaje broń walczącym przeciw ograniczeniom. Ale nie jestem przeciwny zmianom.

- Tak... Lecz jak dotąd miałem wrażenie, że znajduję się wśród kryminalistów.

- Daj spokój - powiedział dobrodusznie Orc. - Spróbujesz?

- Na pewno. Nie mam wyboru. Nigdy nie myślałem, że znajdę się w awangardzie rewolucji.

Orc uśmiechnął się.

- To dobrze. Mam nadzieję, że wszystko się uda. Podciągnij rękaw - im wcześniej się zabierzemy do dzieła, tym lepiej.

Podczas przygotowania do zastrzyku Orc wyjaśnił:

- Teraz musimy cię uśpić. Aparatura znajduje się w pokoju obok. W niedługim czasie oddzielimy cię od ciała. Gdy tylko powstanie sprzyjająca sytuacja, z powrotem staniesz się jednością ze swoim ciałem.

- Przez jak wiele psychik przejdzie moje ciało? Jak długo to będzie trwało?

- Nie wiem dokładnie. Jeśli idzie o długość pobytu... Może sekundy, minuty... może pół godziny. Będziemy przysyłać cię tak szybko, jak tylko się da. Nie będzie to pełny Transplant. Nie staniesz się właścicielem żadnego ciała, zajmiesz jedynie część świadomości. Pamiętaj więc nie wtrącaj się. Pozostań obserwatorem. Rozumiesz?

- Tak - skinął głową - ale jak pracuje i na czym polega działanie tej aparatury?

- Umożliwia ci przeżycie tego, co byś uzyskał dzięki wieloletniemu praktykowaniu jogi. Zrelaksuje każdy twój mięsień i nerw, ukoi twój mózg, pomoże ci się skoncentrować. Gdy osiągniesz odpowiedni poziom, łatwo oddzielisz ciało astralne. Zresztą i ten etap zrobi za ciebie aparatura. Przeniesie też twoją psychikę do ciała osoby, którą wybierzemy. Wszystko pójdzie bardzo szybko, zobaczysz. Będziesz się czuł jak ryba w wodzie.

- Wcale nie jestem tego pewien - powiedział Blaine. Myślisz, że się uda?

- Człowieku, nic innego nie możesz zrobić, jak tylko wejść w kogoś innego. To się robi samo! Słyszałeś zapewne o ludziach opętanych przez demony? Część z nich była schizofrenikami, część stanowili zwykli oszuści. Ale wśród nich nie brakowało przypadków rzeczywistej psychicznej inwazji przez ludzi, którzy odkryli zasadę przechodzenia z ciała do ciała. Zmuszeni byli do walki, która z boku wyglądała na obłąkanie. Ty masz do swojej dyspozycji naszą aparaturę i ludzi, którzy pragną ciebie w sobie gościć. Po co się więc martwić?

- No dobrze. A jakie są te Markizy?

- Piękne - powiedział Orc, robiąc zastrzyk. - Na pewno ci się tam spodoba.

Blaine powoli tracił przytomność. Przed oczami przesuwały mu się obrazy palm, fal rozbijających się o koralowe wyspy i ciemnoskórych tubylców, rzeźbiących w kamieniu bożka.

Nagle odzyskał przytomność. Nie był już tylko Thomasem Blaine'em. Stał się również Edgarem Dyersenem. Lub raczej jego integralną częścią. Myślał tak jak on, zachował w pamięci jego życie. Odczuwał lęki, nadzieje i obawy Dyrsena. Mimo to pozostawał Blaine'em.

Dyersen-Blaine wrócił z pola i oparł się na drewnianym płocie. Był farmerem starej daty, który nie cierpiał maszyn i im nie dowierzał. Zbliżał się do siedemdziesiątki, ale wciąż cieszył się wspaniałym zdrowiem. Co prawda, rwało go w kościach na deszcz. Młody doktor powiedział mu, że ma początki arteriosklerozy, ale i tak jest zdrowszy niż tysiące innych i na pewno przeżyje jeszcze ze dwadzieścia lat.

Ruszył w stronę chaty. Jego szara koszula lepiała się od potu, również spodnie przylegały do ciała.

Dobiegło go z oddali szczekanie psa. Zauważył żółtobrązową plamę, spieszącą w jego stronę. (Okulary? O nie, wystarczą mi w zupełności moje oczy).

- Champ! Chodź tutaj, mały!

Pies zatańczył na powitanie, po czym zaczął biec truchtem przed swoim panem. W pysku niósł coś szarego. Szczura albo jakiś kawałek mięsa. Dyersen-Blaine nie mógł dokładnie dostrzec, co to takiego.

Pochylił się, żeby pogłaskać psa po głowie...

\* \* \*

Ponownie nie czuł żadnego przenoszenia. Po prostu ukazał mu się jakiś obraz - i stał się kolejną hybrydą.

Teraz nazywał się Thompson-Blaine, miał dziewiętnaście lat. Na wpół drzemiąc, leżał rozciągnięty na nagich deskach żaglówki. Sterburta dotykała niskiego brzegu, a z lewej burty widoczny był fragment Baltimore Harbor. Łódź poruszała się leniwie, radośnie szumiała woda.

\* \* \*

Przebywał zaledwie od tygodnia w domu. Przez dwa lata uczył się na Marsie. Nauka go interesowała, szczególnie podobała mu się archeologia i speleologia. Mniej ciekawiły uprawy roślin pustynnych, ale lubił za to kierować maszynami rolniczymi.

Spodziewano się, że wróci na Marsa i zostanie kierownikiem jakiejś farmy. Gdyby jednak mu to nie odpowiadało, to nikt nie będzie mógł go do tego zmusić.

Jeszcze się nie zdecydował.

Dziewczyny na Marsie nie podobały mu się. Były zbyt męskie. Jeśli wróci tam, to przywiezie ze sobą żonę. Co prawda, jest tam Marcia, ale jej osada przeniosła się na południe, a trzy wysłane listy pozostały bez odpowiedzi. Może zbyt dużo w niej widział...

- Hej! Sandy!

Thompson-Blaine podniósł głowę i zobaczył Eddiego Dueltle'a, który z pokładu swojej łodzi "Thistle" machał na niego ręką. Chłopak miał tylko siedemnaście lat, nigdy jeszcze nie opuścił Ziemi. Chciał zostać kapitanem statku kosmicznego. Nikłe były na to szanse.

Słońce chowało się za horyzontem, z przyjemnością na nie popatrzył. Umówił się dziś na spotkanie z Jennifer Hunt. Ojciec obiecał mu pożyczyć helikopter. Ale ta mała urosła w ciągu dwu lat! Jej oczy patrzą na wpół nieśmiało, na wpół zuchwale. Ciekawe, czy po tańcach do czegoś dojdzie; może nic się nie stanie, a może...

Usiadł i skierował łódź w stronę przystani. Najwyższy czas na kolację, potem...

Poczuł uderzenie pejcza.

- Do roboty, szybciej!

Piggot-Blaine natężył siły, podniósł ciężki okruch skalny i przeniósł go na zakurzoną drogę. Strażnik pozostał daleko - z bronią gotową do strzału pilnował roboty. Piggot-Blaine znał każdy rys tej twarzy, każde skrzywienie wąskich warg, zmrużenie oczu.

"Poczekaj, kupo mięsa - pomyślał. - Przyjdzie i na ciebie pora. Poczekaj jeszcze troszkę".

Strażnik zaczął przesuwać się wzdłuż szeregu więźniów. Słońce prażyło niemiłosiernie. Piggot-Blaine usiłował splunąć, ale nie starczyło mu śliny. Wspaniały, nowoczesny świat! Każdy zachłystuje się statkami kosmicznymi, zmechanizowanymi farmami, pieprzoną wiecznością. A jak wygląda prawda? Gdy się zapytasz, jak buduje się drogi w białym słońcu Missisipi, oczywiście nie odpowiedzą. Możesz jednak dowiedzieć się sam. Wówczas poznasz prawdziwy świat.

Arny, pracujący przed nim, zapytał cicho:

- Zdecydowałeś się, Otis? Jesteś gotowy?

- Jestem - odpowiedział, a jego mocne palce miarowo zaciskały się wokół rączki. - Już od dawna jestem gotowy.

- W takim razie zaczynamy. Jeff jest twój.

Piggot-Blaine oddychał szybko. Odgarnął opadające na oczy włosy i spojrzał na Jeffa, który zbliżał się ku niemu. Jeszcze dzieliło ich pięciu więźniów. Piekły poparzone ramiona, rany od kajdan na kostkach nóg i ślady pejcza na plecach. Czuł narastające pragnienie, ale żadna woda nie mogłaby go zaspokoić. Podobnie jak nic nie mogło przeszkodzić temu, że się tu znalazł po zabiciu tego śmierdzącego Indianina w saloonie w Gamsville.

Jeff poruszył ręką. Skuci łańcuchem więźniowie doskoczyli. Piggot-Blaine rzucił się na niego, podnosząc oskard. Strażnik nie zdążył wycelować broni. Z krzykiem upadł na ziemię.

- Dawaj klucze! - zawołali współwięźniowie.

Piggot-Blaine wyszarpnął z kieszeni zmarłego pęk kluczy. Dobiegł go jęk agonii. Zaniepokojony rozejrzał się wokoło...

Ramirez-Blaine leciał helikopterem nad płaskimi obszarami Teksasu, kierując się w stronę El Paso. Czuł się bardzo odpowiedzialny za swoją pracę i właściwie był całkowicie pochłonięty kierowaniem. Zaczął się zastanawiać, czy zdąży przed zamknięciem sklepów... Powoli przestrzeń pod nim stawała się coraz zieleńsza. Spojrzał na zegarek, potem na szybkościomierz.

"Tak - pomyślał Ramirez-Blaine - nie tylko zdążę przed zamknięciem sklepów, a może nawet znajdę

trochę czasu na..."

\* \* \*

Tyler-Blaine wytarł usta i przygotował kanapkę. Wstał, z wahaniem napełnił miskę mięsem, jarzynami i wziął duży kawał chleba.

- Ed - zapytała jego żona - co ty robisz?

Spojrzał na nią. Była wychudzona i posępna, zmierzwione włosy otaczały pobrużdżoną miejscami twarz. Nie odpowiedział.

- Ed, ja chcę wiedzieć!

Spojrzał na nią z niepokojem. Jej ostry, przejęty głos zawsze wytrącał go z równowagi - najostrzejszy głos w całej Kalifornii. Akurat on musiał wziąć ją sobie za żonę. Ostry głos, suche ciało bez piersi i bezpłodne. Nogi dobre jedynie jako środek lokomocji - żadnej przyjemności z patrzenia na nie. W ogóle nie było ani na co patrzeć, ani czego wziąć do ręki. Nie ma co, dostała mu się najgorsza ze wszystkich kalifornijskich dziewczyn. Wujek Rafe miał rację, gdy nazwał go wtedy głupcem.

- Gdzie zabierasz tę miskę? - zapytała.

- Idę nakarmić psa.



- Nie mamy przecież żadnego psa! Ed, nie rób tego, przynajmniej nie dziś!
- Zrobię to - odpowiedział, zadowolony z wrażenia, jakie na niej wywarł.
- Proszę, przynajmniej nie dziś. Niech pójdzie sobie gdzieś indziej. Co będzie, gdy inni się o nim dowiedzą?
- Już zapadł zmrok - powiedział Tyler-Blaine, stojąc w drzwiach.
- Ludzie są wścibscy. Ed, jeśli się dowiedzą, zlinczują nas, wiesz przecież o tym.
- Będzie ci do twarzy ze Stryczkiem na Bryi - powiedział, wychodząc na zewnątrz.
- Robisz to tylko dlatego, aby mi dokuczyć! - krzyknęła za nim.

Zamknął za sobą drzwi. Zapadł zmrok. Rozejrzał się wokoło. Najbliższy dom, Flannaganów, znajdował się w odległości stu jardów. Ale oni nie interesowali się cudzymi sprawami. Postąpił jeszcze chwilę, aby upewnić się, czy w pobliżu nie kręci się żaden dzieciak.

Spokojnym krokiem dotarł do skraju lasu. Postawił miskę.

- Wszystko w porządku - powiedział cicho - chodź, wujku Rafe.

Spośród zarośli wyczołgał się mężczyzna o bladej, nieruchomej twarzy i oczach zombie. Jego prawa noga, złamana podczas ucieczki, zwisała bezwładnie.

- Dziękuję ci, chłopcze.

Zombie szybko pochłonął zawartość naczynia. Gdy skończył, Tyler-Blaine zapytał:

- Jak się czujesz?

- Nic nie czuję. To stare ciało jest właściwie zużyte. Wytrzyma może kilka dni. Tydzień i będzie po kłopotcie.

- Będę się o ciebie troszczył tak długo, jak długo będziesz żył. Szkoda, że nie mogę przenieść cię do domu.

- Nie trzeba - odpowiedział zombie. - To zbyt niebezpieczne... Chłopcze, a jak się miewa twoja żoneczka?

- Równie miła jak zawsze - westchnął Tyler-Blaine.

Zombie wydał dźwięk podobny do śmiechu.

- Ostrzegałem cię, żebyś jej nie brał, czyż nie?

- Tak, wujku, tylko ty wiedziałeś, czym się to skończy. Szkoda, że się wtedy cię nie posłuchałem.

- Szkoda, szkoda... Cóż, wracam do swojej skorupy.

- Jesteś zadowolony, wujku?

- Tak.

- I umrzesz zadowolony?

- Na pewno, chłopcze. Dostanę się do Przedsionka i zrobię wszystko, co ci obiecałem.

- Dziękuję, wujku.

- Nigdy nie zламаłem danego słowa. Jeśli tylko dostanę się do Przedsionka, będę ją straszył. Na pierwszy ogień pójdzie jednak ten opasły konował, który zrobił ze mnie zombie. Potem zajmę się twoją turkaweczką, aż dostanie obłądu i ucieknie od ciebie na drugi koniec świata.

- Dziękuję, wujku.

Zombie ponownie się zaśmiał, po czym odczołgał się w stronę zarośli. Tylerem-Blaine'em wstrząsnął dziwny dreszcz, powoli podniósł miskę i skierował się w stronę swojego domu.

\* \* \*

Mariner-Blaine poprawiła kostium plażowy tak, aby ściślej przywierał do jej młodego, zgrabnego

ciała.

- Janice?

- Tak, mamó? - spojrzała z niewinnym wyrazem twarzy.

- Co robisz, kochanie?

- Idę popływać. Być może obejrzę nowe ogrody na dwunastym poziomie.

- Nie wybierasz się czasem na spotkanie z Tomem Leuwinem?

Czyżby matka się domyślała? Mariner-Blaine poprawiła czarne włosy.

- Ależ skąd.

- Dobrze - powiedziała matka z półuśmiechem, wyraźnie jej nie dowierzając. - Postaraj się w miarę wcześnie wrócić do domu. Wiesz, jaki ojciec jest nerwowy.

Pocałowała matkę na pożegnanie. A więc mimo że domyślała się, pozwoliła jej wyjść... Dlaczego jednak miałyby nie pozwolić? Ma przecież siedemnaście lat, wystarczająco dużo, żeby robić to, na co ma ochotę. Dzieciaki teraz szybciej dojrzewają, chociaż ich rodzice z reguły tego nie dostrzegają.

Sprawdziła maskę i aparat oddechowy. Zamknięta w śluzie ciśnieniowej otworzyła zawór. W ciągu kilku chwil pomieszczenie wypełniło się wodą. Niecierpliwie czekała, dopóki ciśnienie nie zrówna się z tym, które panowało na zewnątrz. Śluza otworzyła się automatycznie, wreszcie mogła wypłynąć.

Farma jej ojca znajdowała się na głębokości stu stóp pod poziomem morza, niedaleko Hawajów.

Tom miał czekać na nią niedaleko, w jaskini koralowej. Czy rzeczywiście niedługo będą mieli swoje własne skrzela? Co prawda, nauczyciel mówił, że jest to sprawa najbliższych lat. Ciekawe, czy będzie jej w nich do twarzy... Zresztą, zawsze będzie je można zasłonić włosami.

Zobaczyła Toma i nagle poczuła niepewność. A co się stanie, gdy będzie miała dziecko? Chociaż Tom zapewniał ją, że nie ma co się martwić, ale on ma zaledwie dziewiętnaście lat. Rozmawiali o tym wielokrotnie. Chyba zaszokowała go swoją szczerością, ale co innego jest mówić, co innego - robić. Jak zareaguje, gdy usłyszy "nie"? Czy nie powinna powiedzieć, że tylko żartowała lub chciała go sprawdzić?

Nadpływał. Już z daleka znacząco machał ręką na powitanie. Co robić? Tom uśmiechnął się i jej serce zabiło mocniej.

\* \* \*

Elgin-Blaine usiadł. Wydawało mu się, że drzemał przez dłuższy czas. Płynął na małym stateczku, nad głową świeciło rozpalone słońce. Wiatr unosił dym z komina daleko od statku.

- Czuje się pan lepiej, panie Elgin?

Elgin-Blaine spojrzał na małego, brodatego człowieczka w kapitańskiej czapce.

- Po prostu świetnie.

- Jesteśmy zawsze do pańskiej dyspozycji.

Skinął w podziękowaniu głową. Trochę zdezorientowany usiłował się pozbierać. Powoli przypominał sobie, kim jest: był mężczyzną mniej niż średniego wzrostu i bardzo dobrze zbudowanym, chociaż jego nogi były zbyt krótkie w porównaniu z szerokimi barami. Na ramieniu miał bliznę pozostałość po pewnym polowaniu...

Nagle przyszło olśnienie! Zrozumiał, że jest już ponownie w swoim ciele i podróżuje pod pseudonimem "Elgin".

Jego długi lot wreszcie się skończył.

- Przez tak długi czas był pan nieprzytomny... - powiedział kapitan.

- Teraz już czuję się świetnie. Daleko stąd do Markiz? - Nie. Wyspa Nuku Hiva jest zaledwie o kilka godzin drogi stąd.

Kapitan ponownie ujął ster. Blaine powrócił myślą do wszystkich osób, w których skórze się znalazł. Nadal czuł z nimi więź i życzył im wszystkiego najlepszego, bez względu na to, czy byli dobrzy, czy źli, inteligentni czy nie... Stanowili jego rodzinę, chociaż prawdopodobnie nigdy więcej już ich nie spotka. Podobnie jak członkowie innych rodzin, kórzy różnili się między sobą, ale jednocześnie należeli do siebie. Nigdy ich nie zapomni.

- Nuku Hiva na horyzoncie! - zawołał kapitan. Blaine spojrział na wąską smugę odcinającą się od oceanu. Postanowił nie zajmować się dłużej rodziną. Czekają go inne problemy. W niedługim czasie zawita do nowego domu. Trzeba zastanowić się nad swoim nowym życiem.

Podczas wpływania do Zatoki Taiohae, kapitan - urodzony na tych wyspach - opowiedział Blaine'owi ich historię.

Markizy - jak objaśniał - składają się z dwóch grup wysp. Wszystkie są skaliste i o pofałdowanej powierzchni. Jedno z tych skupisk nazywa się Wyspami Kanibali. Ich mieszkańcy znani byli ze swoich grabieżczych umiejętności. Francuzi podbili wyspy w 1842 roku, a w 1933 otrzymały one autonomię. Nuku Hiva była największą wyspą. Jej najwyższy szczyt, Temetiu, sięgał na wysokość prawie czterech tysięcy stóp. W porcie mieszkało około pięciu tysięcy ludzi. Spokojne, miłe miejsce, wymarzone na odpoczynek, wyróżniające się wśród niespokojnych, wiecznie spieszących się gdzieś ludzi z Mórz Południowych. Ostatni prawdziwy zakątek dwudziestowiecza.

Blaine kiwał machinalnie głową, zajęty podziwianiem krajobrazu. Poczuł, że mu się tu spodoba.

Wkrótce statek przybił do brzegu i Blaine wyszedł na małą przechadzkę.

W czasie spaceru napotkał supermarkety, trzy kina, obejrzał wiele białych domów, zauważył dużo rosnących palm. Światła regulowały ruch na ulicach, po których poruszały się tuziny samochodów. Dostrzegł też motele. Po chodnikach spacerowali ludzie odziani w kolorowe koszule; wszyscy nosili okulary przeciwsłoneczne.

A więc tak wyobrażano sobie życie w dwudziestym wieku... Istna Floryda. Czyż można było

spodziewać się po nich czego innego? Nigdy przecież nie widzieli na oczy dawnej Polinezji. A poza tym, Floryda również w jego czasach należała do przyjemniejszych miejsc na Ziemi.

Gdy przemierzał główną ulicę, rzucił mu się w oczy budynek filii Korporacji "Zaświaty". Nieco dalej stał mały czarny budynek opatrzony napisem: "Budka samobójców".

Cywilizacja sięgnęła więc nawet tutaj... Ciekawe, gdzie jest Łącznica Duchów?

Dotarł do skraju miasta. Gdy zaczął iść z powrotem, podszedł do niego szybkim krokiem otyły, czerwony na twarzy mężczyzna.

- Przepraszam, czy pan Elgin? Thomas Elgin?

- Tak - odpowiedział, czując pewną obawę.

- Przepraszam, że nie czekałem na pana w porcie. Nie ma oczywiście słów, które mogłyby usprawiedliwić takie niedopatrzenie z mojej strony. Wadą tych wysp jest to, że człowiek się rozleniwia. Nazywam się Davis, jestem właścicielem przystani dla łodzi. Witam na Taiohae.

- Miło mi.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie. Chciałbym jeszcze raz podziękować za to, że odpowiedział pan na moje ogłoszenie. Na takiego mistrza w projektowaniu łodzi czekałem już od dawna. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że człowieka o tak rzadko spotykanych kwalifikacjach zainteresuje moje ogłoszenie.

- Hmm - powiedział Blaine, mile zaskoczony kompleksowością działania Orca.



- Niewielu ludzi zna sztukę budowy łodzi z dwudziestego wieku - stwierdził smutno Davis. - Obejrzał pan już wyspę?

- Po trosze.

- Zostanie pan? - zapytał z niepokojem. - Nie ma pan pojęcia, jak trudno znaleźć dobrego konstruktora, który zgodziłby się zamieszkać w tym odciętym od świata rejonie. Wie pan, gdzie indziej płaca jest wyższa i więcej jest rozrywek. Ale Taiohae też ma swoje uroki.

- Znudziłem się już wielkoświatowym życiem - powiedział Blaine, uśmiechając się z lekka. - Nie mam zamiaru tak szybko stąd wyjechać.

- Wspaniale! - krzyknął Davis. - Nie musi pan od razu przychodzić do pracy. Niech pan trochę odpocznie, rozejrzy się po okolicy. Proszę, to klucze do pana domu, który znajduje się na ulicy Temetiu - tam w górze, pod numerem pierwszym. Czy wskazać panu drogę?

- Dziękuję, poradzę sobie.

- To ja jestem panu wdzięczny. Wpadnę jutro, gdy już pan się zdomowi. Jeśli będzie pan miał ochotę, to zapoznam pana z kilkoma ludźmi stąd. Żona burmistrza organizuje w czwartek lub w piątek przyjęcie... Nieważne, dowiem się kiedy i powiadomię pana.

Pożegnali się i Blaine podążył w górę ulicą Temetiu.

Dotarł do swojego domu, który okazał się małym, świeżo odnowionym bungalowem, z oknami wychodzącymi na trzy zatoki, wcinające się w południową część wyspy. Przez kilka minut podziwiał krajobraz, potem podszedł do drzwi. Nie były zamknięte, wszedł do środka.

- Najwyższy czas, abys wreszcie przyszedł.

Spojrzał, nie wierząc własnym oczom.

- Marie!

\* \* \*

Była taka jak zawsze. Śliczna, szczupła i chłodna jak dawniej. Była czymś zdenerwowana. Mówiła szybko, unikając jego spojrzenia.

- Myślałam, że dobrze będzie, jeśli przygotuję grunt przed twoim przybyciem. Jestem tutaj od dwóch dni. Spotkałeś już pana Davisa? Wygląda na miłego człowieczka.

- Marie...

- Powiedziałam mu, że jesteśmy parą narzeczonych. Mam nadzieję, że nie uraziłam tym ciebie. Musiałam przecież znaleźć jakiś powód swojego pobytu tutaj. Powiedziałam, że przybyłam wcześniej, aby zrobić ci niespodziankę. Pan Davis był, oczywiście, zachwycony. Tak bardzo pragnie, aby jego mistrz osiedlił się tutaj na stałe. Gniewasz się, Tom? Zawsze możemy powiedzieć, że się pokłóciliśmy...

Blaine wziął ją w ramiona.

- Nie mam zamiaru zrywać zaręczyn. Kocham ciebie.

- To dość dziwne.

- Bardzo dziwne. Mogę przysiąc, że jego broda nie była prawdziwa.

- Nie?

- Wyglądała na sztuczną. Zresztą cały wyglądał sztucznie i powłóczył nogami.

- Powiedział, jak się nazywa?

- Smith. Tom, gdzie idziesz?

- Muszę natychmiast iść do domu. Wyjaśnię ci wszystko później.

Szedł pełen niepokoju. Najwyraźniej Smith przypomniał sobie, kim jest i czego od niego oczekuje. Wrócił - tak jak obiecywał - aby mu o tym powiedzieć.

Marie wymogła na nim, aby do ślubu mieszkali oddzielnie. Blaine chciał, by była to cicha ceremonia, ale ku jego zdumieniu Marie zażyczyła sobie inaczej. Tak też się stało w pewną słoneczną niedzielę.

Pan Davis pożyczył im mały kuter, którym popłynęli na Tahiti, by tam spędzić miodowy miesiąc.

Blaine miał wrażenie, że przeżywa cudowny sen. Płynęli po morzu, widzieli zanurzający się w wodzie księżyc. Po jakimś czasie z czarnej chmury wyłoniło się słońce. Potem powoli wzniosło się nad horyzont i po minięciu zenitu opadło ku morzu, zamieniając go w połyskliwą masę brązu. Zatrzymali się w lagunie Papeete i obejrzelili góry Moorei, płonące w zachodzącym słońcu - bardziej tajemnicze niż te na Księżycu. Przypomniał sobie wieczór w Chesapeake, wypełniony marzeniami o południowych wyspach...

Po zwiedzeniu Tahiti wrócili do domu. Marie zajęła się gospodarstwem, a Blaine rozpoczął pracę u Davisa.

\* \* \*

Przez kilka najbliższych tygodni z niepokojem śledzili nowojorską prasę, usiłując wykryć, co zamierzają ludzie z Rexa. Ale nie poświęcono mu ani słowa, doszli więc do wniosku, że sprawę można uważać za niebyłą. Mimo to z ulgą przeczytali w dwa miesiące później, że polowanie na Blaine'a zostało odwołane.

Praca Blaine'a była interesująca i różnorodna. Wciąż trafiały się łodzie wymagające naprawy.

Zaprojektował także kilka dżonek i szkuner.

Zajmował się pracą biurową. Napisał też kilka artykułów do miejscowej prasy. Po ich opublikowaniu przybyło im klientów. Wkrótce więc Blaine przejął całą robotę związaną z reklamą.

Jego praca coraz bardziej przypominała tę, którą wykonywał jako młodszy konstruktor jachtów. Ale już się tym nie zajmował. Widocznie taki rodzaj pracy był jego przeznaczeniem. Zaakceptował ten fakt.

Jego życie się unormowało. W dni robocze przebywał w pracy i w swoim białym domku, a w soboty chodzili do kina i jeździli na krótkie wycieczki po okolicy. Bywali u burmistrza i grywali w karty w klubie jachtowym. Zaczął się już przyzwyczajać do myśli, że wreszcie osiągnął upragniony spokój.

Wtedy właśnie, po czterech miesiącach od chwili przybycia na wyspę, znów dał o sobie znać zewnętrzny świat.

\* \* \*

Obudził się, jak zwykle, wczesnym rankiem. Po śniadaniu pocałował Marie na pożegnanie i poszedł do pracy. Po drodze rozmyślał o problemach, wymagających szybkiego załatwienia. Należało naprawić pewną łódź, która wpadła na podwodne skały. Zdaje się, że wymagała wymiany części szkieletu, ale należy to zbadać dokładnie.

Właśnie sprawdzał stan łodzi, gdy podszedł do niego pan Davis.

- Tom - powiedział - jakiś człowiek pytał o ciebie. Czy spotkałeś się z nim?

- Nie. Kto to był?

- Jakiś obcy, przybył właśnie parowcem. Powiedziałem mu, że ciebie nie ma, a on na to, że poczeka na ciebie w domu.

- Jak wyglądał? - zapytał Blaine, czując, że serce podchodzi mu do gardła.

Davis spoważniał.

- Prawdę mówiąc, trochę dziwnie. Był mniej więcej twojego wzrostu, szczupły. Nosił brodę. Takich ludzi nie widuje się często. Zalaatywało od niego silnie wodą toaletową.

- Och, Tom, ja też ciebie kocham! - przytuliła się do niego, ale po chwili się odsunęła. - Musimy szybko zrobić wesele. Tutejsi ludzie są bardzo małomiasteczkowi, niesłychanie dwudziestowieczni. Wiesz, co mam na myśli.

- Tak, wiem, co masz na myśli - powiedział.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

Wyjaśnił wszystko Marie. Podeszła do szafy i wyciągnęła walizki. Zniosła je pospiesznie na łóżko i zaczęła pakować rzeczy.

- Co robisz? - zapytał.

- Pakuję ubrania.

- To widzę. Ale dlaczego?

- Dlatego, że wyjeżdżamy.

- O czym ty mówisz? Zostajemy.

- Nigdy. Nie będziemy tu mieszkać z tym cholernym Smithem; jego obecność tutaj oznacza tylko kłopoty.

- Pewnie tak - zgodził się - ale to nie powód, aby uciekać. Przestań na chwilę pakować i posłuchaj mnie. Jak myślisz, czego on może ode mnie chcieć? W czym mi zagrozi?

- Nie będziemy specjalnie czekać, aby zaspokoić swoją ciekawość.

Nie przestawała układać ubrań, dopóki Blaine nie schwycił jej za nadgarstki.

- Uspokój się i zrozum, że ja nie chcę przed nim uciekać.

- Naprawdę, jest to jedyna sensowna rzecz, jaką możemy i powinniśmy zrobić. Z pewnością przysporzy to nam kłopotów, ale przecież niedługo umrze, może za miesiąc, tydzień... Zresztą, ten straszliwy zombie już dawno powinien umrzeć. Tom, wyjedźmy.

- Zwariowałaś? Nic się nie stanie bez względu na jego żądania.

- Dawniej też tak mówiłeś.

- Wtedy sprawy miały się inaczej.

- Teraz też! Tom, możemy przecież pożyczyć kuter pan Davis zrozumie - możemy popłynąć...

- Nie! Zapominasz, że Smith dwukrotnie ocalił mi życie.

- Czy wiesz, dlaczego to zrobił? - załkała. - Tom, ostrzegam ciebie: nie wolno ci się z nim spotkać, nie wolno, skoro sobie wszystko przypomniał.

- Zaraz, zaraz... Czyżbyś coś wiedziała? Coś, o czym ja nie mam zielonego pojęcia?

W jednej chwili się uspokoiła.

- Nie, oczywiście, że nie.



- Marie, nie kłamiesz?

- Oczywiście, że nie. Tak bardzo boję się Smitha. Proszę, Tom, ze względu na mnie, wyjedźmy stąd.

- Nie zrobię ani kroku, dla nikogo. Chcę żyć tutaj. Wreszcie skończmy tę rozmowę.

Marie usiadła. Wyglądała na zupełnie wyczerpaną.

- Dobrze, kochanie, zrób tak, jak uważasz.

- Teraz mówisz rozsądnie. Zobaczysz, wszystko dobrze się skończy.

- Na pewno - odpowiedziała.

Blaine powiesił z powrotem rzeczy, schował walizki i usiadł. Wyglądał na opanowanego, ale jego myśli krążyły wokół słów, które powiedział Reilly, unosząc się pod sufitem swojego grobowca:

- Są sprawy, o których nic nie wiesz, Blaine, ale ja wiem. Twój pobyt na Ziemi będzie krótki, boleśnie krótki. Ci, którym ufasz - zdradzą cię, ci, których nienawidzisz - pokonają cię. Umrzesz, i to wkrótce, nie za lata, wcześniej, wcześniej niż ci się wydaje. Będziesz zdradzony i popełnisz samobójstwo.

Zbikowany staruszek! Blaine poczuł dreszcz, spojrzał na Marie. Siedziała z zamkniętymi oczami. Czekala. On również czekał.

Po niedługim czasie dobiegło ich miękkie stukanie do drzwi.

- Proszę! - powiedział Blaine, nie wiedząc, kto i co czai się za progiem.

34

Blaine rozpoznał Smitha od razu, mimo iż był zamaskowany.

- Wybaczcie tę maskaradę. Nie chciałem nikogo wprowadzać w błąd lub oszukać ciebie, Blaine. Noszę to wszystko, gdyż nie mogę już pokazać swojej twarzy wyjaśnił Smith.

- Masz za sobą długą drogę - powiedział Blaine.

- Tak, bardzo długą i najeżoną trudnościami, ale nie będę ciebie zanudzał opowiadaniem o nich. Najważniejsze, że tu dotarłem.

- Dlaczego?

- Wiem już, kim jestem.

- Uważasz, że twój los związany jest ze mną?

- Tak.

- Cóż, nie wiem, jak to jest możliwe, ale wysłuchajmy.

- Chwileczkę, Smith - wtrąciła się Marie. - Czy nie możesz go zostawić w spokoju? Odkąd przybył na ten świat, wciąż ma same kłopoty. Czy nie można zostawić wszystkiego tak, jak jest? Nie możesz od nas odejść?

- Wpierw muszę mu wszystko opowiedzieć.

- Zaczynaj więc - powiedział Blaine.

- Nazywam się James Olin Robinson.

- Nigdy nie znałem człowieka o tym nazwisku - powiedział Blaine po chwili zastanowienia.

- Zgadza się.

- Czy spotkaliśmy się wcześniej, przed pobytem u Rexa?

- Nieformalnie.

- Ale spotkaliśmy?

- Tak. Na krótko.

- Dobrze. Jamesie Oknie Robinsonie, opowiedz mi o tym. Kiedy to się zdarzyło?

- Stało się to w ułamku sekundy pewnej nocy w 1958 roku, na autostradzie - może trwało to trochę dłużej, może krócej. Ty jechałeś swoim samochodem, a ja swoim.

- Tym, z którym się zderzyłem?

- Tak, o ile można nazwać to zderzeniem.

- Ależ tak! Przecież to był wypadek, zupełnie niespodziewany wypadek!

- Jeśli mówisz prawdę, to nie mam tu nic do roboty. Wiem jednak, że to nie był przypadek. To było morderstwo. Nie wierzysz mi? Zapytaj więc swoją żonę.

Wystarczyło jedno spojrzenie na woskową twarz Marie, ale pragnął się upewnić.

- Marie, co wiesz na temat tamtej nocy? Skąd wiedzieliście, że się rozbije?

- Prowadziliśmy badania statystyczne... wykorzystywaliśmy teorię prawdopodobieństwa i inne czynniki... jej głos brzmiał niepewnie.

- Czy czasem to nie wy spowodowaliście ten wypadek, aby porwać mnie w przyszłość i wykorzystać do celów reklamowych?

Marie milczała. Blaine gorączkowo przypominał sobie szczegóły tamtej nocy. Nagle uprzytomnił sobie, że kierownica samochodu, która wyglądała na zablokowaną, w ostatniej chwili zaczęła się swobodnie poruszać...

- Mój Boże! To wy spowodowaliście ten wypadek! krzyknął w kierunku żony. - Ty i inni ludzie z Rexa! Doprowadziliście do zderzenia. Popatrz na mnie i powiedz coś! To prawda?

- Tak, to prawda - powiedziała - ale Robinsona nie chcieliśmy' zabić. Znalazł się tam przez przypadek. Przykro mi.

- Przez cały czas wiedziałaś, kim on jest.

- Tylko podejrzewałam.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś - podniecony Blaine zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju. - Marie, do cholery, zabiłaś mnie!

- Nie zrobiłam tego, Tom! Przeniosłam przecież ciebie w 2110 rok, dałam ci inne ciało, ale nie zabiłam!

- Zabiłaś mnie - powiedział Robinson.

Spojrzała na niego z wysiłkiem.

- Chyba jestem odpowiedzialna za pana śmierć, choć była ona przypadkowa. Pana ciało zmarło pewnie w tej samej chwili, co Toma. Energia, którą wykorzystaliśmy na przeniesienie psychiki Toma, najwidoczniej również podziałała na pana. Potem zawładnął pan żywicielem Reilly'ego.

- Zresztą niewiele wartym w porównaniu z moim dawnym ciałem.

- Z pewnością. Czego więc pan chce w zamian? Wieczność...

- Nie chcę wieczności. Jeszcze niczego nie przeżyłem na Ziemi.

- Ile miałeś lat w chwili wypadku? - zapytał Blaine.

- Dziewiętnaście.

Blaine smutno pokiwał głową.

- Nie czuję się przygotowany do życia wiecznego. Chcę podróżować, zobaczyć różne rzeczy, dotykać je. Chcę się dowiedzieć, kim jestem, na co mnie stać. Chcę żyć! Czy wiecie, że ja tak naprawdę nigdy nie miałem kobiety? Za dziesięć lat, spędzonych tu na Ziemi, jestem gotów oddać całą waszą nieśmiertelność.

Robinson się zawahał. Chwilę milczał, potem powiedział:

- Chcę ciała. Dobrego ciała, w którym mógłbym żyć. Blaine, twoja żona zabiła moje ciało.

- Chcesz moje?

- Jeśli myślisz o tym poważnie.

- Zaczekajcie! - krzyknęła Marie. Jej twarz ożywiła się. Wyglądało na to, że otrząsnęła się już z paraliżu i była gotowa do dalszej walki o życie.

- Robinson - powiedziała - nie możesz go prosić o coś takiego. To nie on, lecz ja jestem winna. Przykro mi. Nie chcesz kobiecego ciała? Zresztą i tak ci swojego nie dam. Co było - to było. Wynos się stąd!

Robinson zignorował ją. Patrzył na Blaine'a.

- Zawsze wiedziałem, że o ciebie chodzi. Troszczyłem się o ciebie, uratowałem ci życie.

- Tak - zgodził się Blaine.

- Co z tego! - krzyknęła Marie. - No i uratował twoje życie! Ale przecież nie stał się jego właścicielem! Ludzie ratują czyjeś życie, ale nie wymagają tak dużo. Tom, nie słuchaj go!

- Nie zamierzam cię zmuszać, Blaine. Ty zadecydujesz, a ja się podporządkuję. Przypomnij sobie wszystko.

Blaine spojrzał na niego prawie z czułością.

- Robinson, to zdarzenie kryje w sobie coś więcej. Mam rację?

Zombie skinął głową, nie odrywając oczu od twarzy Blaine'a.

- Skąd ty o tym wiesz?

- Ponieważ rozumiem ciebie. Przez cały ten czas moje myśli krążyły tylko wokół twojej osoby. Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej byłem pewien.

- Być może masz rację...

- O czym wy mówicie? - wtrąciła się zaniepokojona Marie. - Co jeszcze może się w tym kryć?

- Muszę trochę pomyśleć - powiedział Blaine. - Proszę, Robinson, poczekaj na zewnątrz.

- Oczywiście - odpowiedział zombie i natychmiast wyszedł.

Blaine usiadł, schował twarz w dłoniach. Potrzebował wszystko jeszcze raz dokładnie przemyśleć, prześledzić wydarzenia z minuty na minutę. Zrozumieć.

\* \* \*

W uszach wciąż słyszał słowa wypowiedziane przez Reilly'ego:

- Jesteś odpowiedzialny! Zabiłeś mnie swoim diabelskim, pełnym chęci mordy mózgiem. Czemuż wtedy nie zginąłeś, ty morderco!

Czy Reilly coś wiedział?



Przypomniawszy sobie słowa Sammy'ego Jonesa, gdy po polowaniu powiedział:

- Tom, jesteś urodzonym zabójcą.

Czyżby Sammy się domyślał?

To był najważniejszy moment jego życia: kierownica się odblokowała, lecz on zignorował ten fakt. Wypełniła go żądza zniszczenia, pragnienie bólu i śmierci.

Wspomnienia o zdarzeniu, o którym zawsze chciał zapomnieć, wstrząsnęły nim: mógł zapobiec katastrofie, ale wolał popełnić morderstwo.

Podniósł głowę i spojrzał na żonę.

- Zabiłem go. To jest ta tajemnica Robinsona. Teraz ja też ją znam.

Wszystko spokojnie wyjaśnił Marie. W pierwszej chwili nie chciała mu uwierzyć.

- Tom, przecież minęło już tyle czasu! Jak możesz być pewny, co wtedy czułeś?

- Wiem. Sądzę, że nikt nie zapomina o tym, jak umierał - co wtedy czuł i myślał. Ja pamiętam dokładnie.

- Nie możesz nazywać siebie mordercą, przecież to była tylko jedna chwila.:

- Ile potrzeba czasu, aby strzelić, wbić nóż? Ułamek sekundy! Wystarczy chwila, aby stać się mordercą.

- Ależ Tom, przecież nie miałeś żadnego motywu!

Potrząsnął głową.

- To prawda, nie zabiłem dla zysku czy z zemsty. Dowodzi to tylko jednego - że nie jestem tego rodzaju mordercą. Jestem przeciętnym człowieczkiem, zdolnym do wszystkiego po trosze, również do morderstwa. Zabiłem gdyż pojawiła się taka sposobność. Nie groziła mi za to kara. Być może nie popełniłbym tego czynu, gdyby nie specjalne okoliczności, nastrój, temperatura, skojarzenia myślowe i diabli wiedzą co. Ale zrobiłem to.

- Nie powinieneś siebie winić! Nigdy byś nie zabił, gdyby ludzie Rexa nie stworzyli tych specyficznych warunków.

- Tak. Ale to ja skorzystałem ze sposobności. I dokonałem morderstwa z zimną krwią, ot tak, dla zabawy. Mojego morderstwa.

- Niech ci będzie... Twojego morderstwa - zgodziła się Marie.

- Tak.

- No dobrze, więc jesteśmy mordercami - powiedziała spokojnie. - Czy nie mógłbyś tego po prostu przyjąć do wiadomości, zaakceptować? Zabiliśmy raz, możemy zabić ponownie.

- Nigdy więcej.

- Przecież on właściwie już jest martwy! Starczy jedno pchnięcie. Jedno uderzenie.

- Tego nie potrafię.

- A ja mogę to zrobić?

- Tobie też nie pozwolę.

- Idiota! Więc siedź i czekaj! Poczekaj miesiąc i on sam się wykończy. Przecież możesz poczekać...

- To też byłoby morderstwo - powiedział ponuro.

- Tom, chyba nie zamierzasz oddać mu ciała! A co będzie z nami?

- Myślisz, że po tym wszystkim jeszcze możemy być razem? Nie wydaje mi się. Teraz przestań się ze mną spierać. Nie wiem, czybym to zrobił, gdybym nie był pewny wieczności. Prawdę mówiąc, uważam, że nie postąpiłbym tak. Ale wieczność jest. Chciałbym tam pójść po uregulowaniu

wszystkich rachunków. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedziała ze smutkiem.

- Szczerze mówiąc, jestem ciekaw, jak wygląda przyszłe życie. Chciałbym już tam być. Jeszcze jedno...

- Co takiego?

Blaine wrócił myślą do I-Iulla i jego filozofii. Umrzeć we właściwym czasie... Przypomniał sobie wrażenie, jakie zrobił na nim ten człowiek, i swoją śmierć.

- O czym chciałeś powiedzieć? - przerwała jego zadumę.

- Ach - zawahał się - chciałem tylko powiedzieć, że wasze czasy też wycisnęły na mnie jakieś piętno, szczególnie poglądy wyższych sfer.

Uśmiechnął się i pocałował ją.

- Zresztą, jak wiesz, zawsze miałem dobry smak.

Otworzył drzwi chaty.

- Robinson, chodź ze mną do budki samobójców. Zamierzam oddać ci swoje ciało.

- Byłem pewny, że tak postąpisz, Tom.

- Chodźmy.

Skierowali się w stronę miasta. Marie patrzyła za nimi przez chwilę, wkrótce pospieszyła ich śladem.

Zatrzymali się przy budce.

- Myślisz, że sobie poradzisz? - zapytał Blaine.

- Tak, z pewnością. Tom, jestem ci taki wdzięczny. Będę dbał o twoje ciało.

- Tak do końca to ono nie jest moje. Należało do człowieka, który nazywał się Kranch, ale polubiłem je. Powinieneś sobie poradzić. Tylko od czasu do czasu przypomnij mu, kto z was jest panem. Czasem ma ochotę na polowanie.

- Myślę, że też je polubię.

- Pewnie. Cóż, życzę ci powodzenia.

- Nawzajem, Tom.

Podeszła Marie. Pocałowała Blaine'a na pożegnanie.

- Co zamierzasz ze sobą zrobić? - zapytał ją. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Jestem tak przybita i otępiała... Czy musisz?

- Tak.

Spojrzał po raz ostatni na palmy, połyskujące w słońcu morze, wznoszącą się nad nim ciemną skałę. Odwrócił się i wszedł do środka.

Wewnątrz nie było żadnych mebli, tylko pojedyncze krzesło. Do ściany przyczepiona była instrukcja. Bardzo prosta. Należało usiąść i przekręcić gałkę, znajdującą się ponad prawą ręką. Śmierć miała być szybka i bezbolesna.

Usiadł. Sprawdził położenie gałki i oparł się o poręcz. Ponownie przypomniał sobie pierwszą śmierć i ponownie poczuł żal, że była tak pospolita. Powinien przynajmniej teraz inaczej to załatwić, pójść w ślady Hulla, walczyć do końca. Cóż - jakie życie, taka śmierć.

Nie miał się na co skarżyć. Mimo że żył w tych nowych czasach zaledwie przez rok, udało mu się otrzymać największy z dostępnych przywilejów - nieśmiertelność. Ponownie poczuł tę euforię, jaka wypełniła go po zabiegu gwarantującym wieczność. Nie czuł już żalu za życiem. Dostarczyło mu wystarczającej satysfakcji.

Przekręcił gałkę.

37

- Gdzie jestem? Kim jestem?

Cisza.

- Pamiętam. Nazywam się Thomas Blaine. Właśnie przed chwilą umarłem. Teraz znajduję się w Przedśionku. Jest to zupełnie realne miejsce, ale riie~ sposób je opisać. Czuję Ziemię, a przede mną jest wieczność.

- Tom...

- Marie!

- Tak.

- Ale jak ty... nie sądziłem, że...

- Pewnie pod niektórymi względami nie byłam zbyt dobrą żoną. Kocham ciebie i zawsze starałam się robić wszystko, co w mojej mocy. Nie ma w tym nic dziwnego, że poszłam za tobą.
  
- Marie, czuję się szczęśliwy.
  
- Cieszę się.
  
- Idziemy tam?
  
- Gdzie?
  
- W Zaświaty.
  
- Tom, boję się. Czy nie moglibyśmy zostać tu jeszcze przez jakiś czas?
  
- Nie bój się, nic się złego nie stanie. Chodź ze mną.
  
- Co będzie, jak nas rozdzielią? Jak tam jest? Nie wiem, czy mi się spodoba. Obawiam się, że jest tam dziwnie i strasznie.
  
- Marie, przestań się bać! Już trzykrotnie byłem młodszym konstruktorem jachtów. To jest moje przeznaczenie i nie może mnie ominąć w tej krainie.
  
- No dobrze. Jestem gotowa. Chodźmy.



KONIEC